

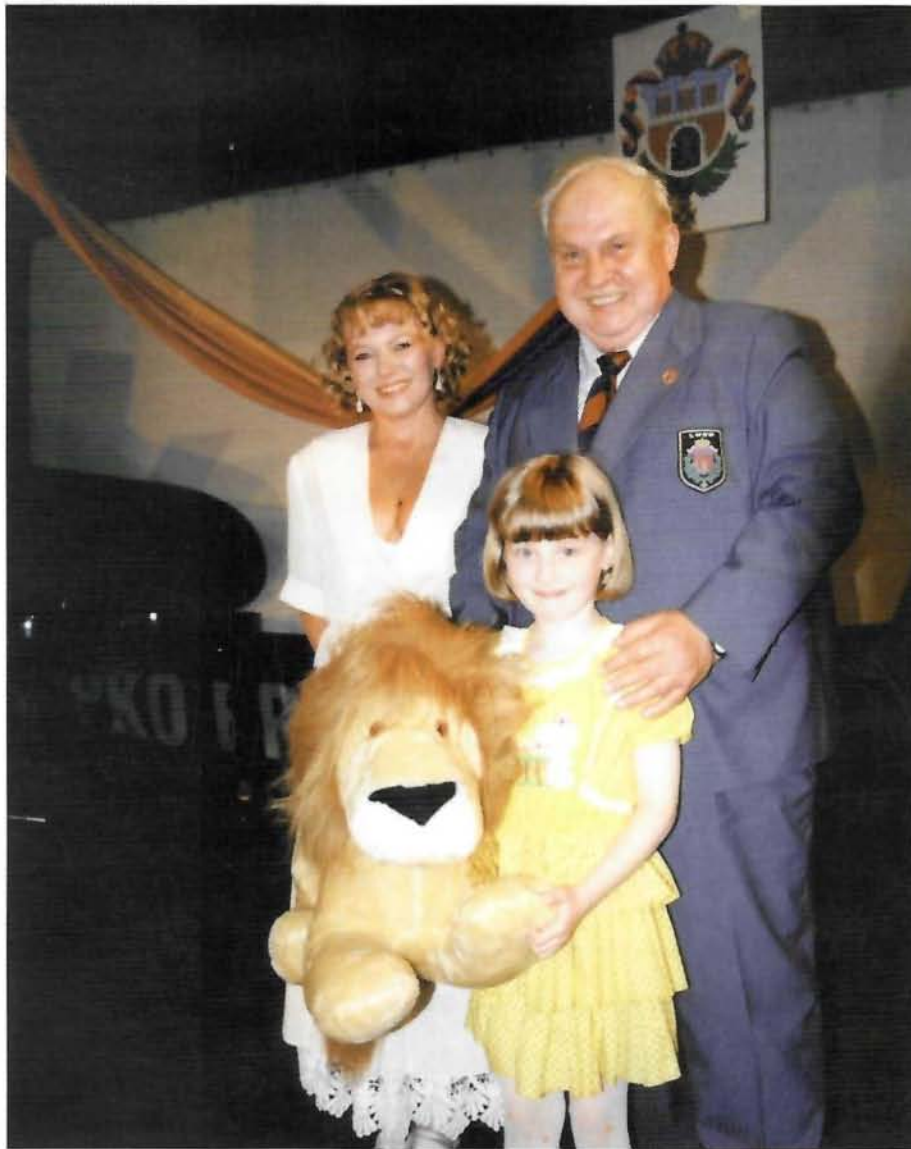


SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

MAJ - CZERWIEC 3 (50) 1999

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH · WROCŁAW



Janusz Ragankiewicz - Prezes Oddziału TMLiKPW w Lesznie odznaczony za zasługi w popularyzowaniu historii i kultury Kresów Wschodnich - Złotym Krzyżem Zasługi.

Red. Elżbieta Kuśnierek prowadząca VII Ogólnopolski Dziecięcy Festiwal Piosenki Lwowskiej: "Ta joj".
Kasia Kaczmarczykówna z Nowego Sącza, najmłodsza laureatka festiwalu z nagrodą im. Heleny Ragankiewiczowej.

Foto: Marek Rogalski

Spis treści

Andrzej Kaminski – Słowo wstępne Redaktora Naczelnego	1
Jerzy Masior – Epatowanie złymi widokami	2
Danuta Nespiak – W stronę Europy czy Azji?	3
Florencja Wschodu budzi sentyment – rozmowa z profesorem Olgierdem Czernerem	4
Henryk Ostrowski - Odświętna racja stanu	5
Zdzisław Lubicz-Ojrzyński – Drodzy Kosowianie!	6
KRESOWI KAPŁANI	
Władysław Łukaszyński – Ksiądz Prałat Walenty Bal – Kapelan Rzeszowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich	7
KRESOWE SYLWETKI	
Zbigniew Kratochwil – Marian Kratochwil – artysta malarz (1906-1997) (II) (c.d.)	9
Stanisław Błasiak, Stanisław Babiarczyk – Bolesław Orliński – wielki Kresowiak (II) (c.d.)	12
Bolesław Broś – Dr inż. Zbigniew Schneigert (1910-1998)	16
WSPOMNIENIA	
Stan Scheller – Obrońcy Lwowa w czasach pokoju (I)	18
Michał Siera – Samotna ucieczka z Reichu (c.d.)	21
Franciszka Grodecka (Kanada)	23
Komunikat dla Harcerzy z Podwoleczysk i ich sympatyków	25
UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW	
Janusz Ragankiewicz – Uroczystości Oddziału TMLiKPW w Lesznie	26
Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Oddział Wrocławski	26
Dziesięciolecie Lwowiaków w Kłodzku	27
Uroczystości w Nysie	28
Andrzej Przewoźny – Lwowskiej piosenki czar	29
WIADOMOŚCI WSPÓŁCZESNE	
Wiktor Poliszczuk, Ph.D. – Ślepotą czy amoralność (I)	31
Jacek Dębicki – Uroczystości w Kielcach	33
WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO	
Zbigniew Umański – Kronika Kresowa	35
A. Michniewski – A co słyhać w Zabrze?	38
Jubileusz 10-lecia powstania TMLiKPW w Przemyśle	39
Janina Oparowska – „Święcone” u Kresowiaków	40
Alfred Janicki – Opowiadania Mamy	41
Tadeusz Kukiz – Z dziejów Ziemi Radziechowskiej	43
KRESOWE MIASTA	
Edward Rudka – Gród nad Stryjem	45
Poszukiwani	47
WŚRÓD KSIĄŻEK	47
Z ŻAŁOBNEJ KARTY	49
Wykaz Oddziałów i Klubów TMLiKPW	50
Anegdoty lwowskie – Opracowała Danuta Śliwińska	52
Drodzy Przyjaciele Lwowa	52
Informacja	52
Errata do Nr 2 (49) 1999	52

Czasopismo jest współfinansowane przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

Redaguje Kolegium:

Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Zbigniew UMAŃSKI.

Redaktor naczelny:

Andrzej KAMINSKI

Właściciel tytułu i adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, tel. 344-88-93; konto bankowe PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-99192-270-1-111

Wydawca:

Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” (adres i telefon jak wyżej). Zarząd: D. TABIŃSKA-JUHASZ – dyrektor, Z. BAKULIŃSKA, Z. UMAŃSKI.

Konto bankowe Fundacji Kresowej „SF”:

PKO-BP IV O/Wrocław Nr 10205255-10012-270-1-111.

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.



Lew z Cmentarza Orłąt. Tarnowska wycieczka V.1998

Szanowni Państwo,

Pismo naszego Towarzystwa, które Państwo otrzymujecie, to kolejny już 50-ty numer. Nie jest to wielka rocznica, ale stanowi ważny sygnał, że wysiłek wielu ludzi spełnia swój cel. Moim zdaniem pismo wypełnia dużą lukę historyczną – o ludziach, ziemiach, o Kresach Wschodnich. Ogrom wiadomości, wspomnień, relacji i dokumentów fotograficznych stanowi pokaźne źródło wiedzy dla nas i przyszłych pokoleń.

Minęło również 10 lat istnienia Towarzystwa i jednocześnie kończy się kolejna kadencja Zarządu Głównego. Zastanawiam się nad tymi latami. Czy nie były to lata stracone? Pociuszający jest fakt, że Towarzystwo trwa i chyba będzie trwało nadal. Szeregi nasze strasznie się przerzedzają, ludzie „stamtąd” odchodzą pełnić wartę na drugim brzegu.

Przez ostatnie lata skupiałem się na sprawie Cmentarza Orłąt i wszystkimi wynikającymi z tym kłopotami i problemami. Jakie były i są, wszyscy – tak mi się wydaje – wiedzą. Ale i w tej sprawie zdania są podzielone. Stałem i stoję na stanowisku, że należy ratować we Lwowie i na Kresach, a zwłaszcza na Cmentarzu Orłąt i Łyczakowskim, to co się da. Nie zgadzam się ze stanowiskiem pewnej grupy, która nie chce żadnego kompromisu. Ogrom pracy i duże pieniądze jakie zostały już wydane są niewyobrażalne. Ale i to co już zostało wykonane na Cmentarzu Orłąt napawa optymizmem. Cmentarz powoli wraca do swego wyglądu – okaleczonego, ale niech będzie wizytówką, do czego są zdolni ludzie, którym nawet groby żołnierskie przeszkadzają.

Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa i Sekretarz Generalny Andrzej Przewoźnik gwarantują kontynuowanie dalszych prac. Nie możemy zapomnieć o tych, którzy dla Polski pracowali, walczyli i umierali. Dziś przypominają o nich cmentarze i pomniki. Naszym obowiązkiem jest zadbać o to, aby odnoszono się do nich z należną czcią i szacunkiem. Aby otoczono je opieką zarówno ze strony Państwa jak i społeczności lokalnych. Nie wszyscy mieszkańcy dzisiejszego Lwowa zgadzają się z poglądami swoich władz, o czym mogą świadczyć słowa, jakie zostały skierowane do Wrocławia przez młodego Ukraińca – cytuję:

„Wspominam często z wielką przyjemnością pobyt we Wrocławiu, wspominam nasze rozmowy – o Lwowie, o tej Atlantydzie, która kwitła kiedyś pod całkiem innym słońcem, w innym jakby klimacie, w innej aurze miłości i młodości. Chciałbym tylko jeszcze raz powiedzieć, że mimo wszystko – mimo całego zniszczenia i zakłamania – Lwów pozostał sobie wierny, wierny swojej wewnętrznej prawdzie; Lwów jakoś przedziwnie nadal jest semper fidelis...! I to nie tylko w swoich murach, w swoim bruku, w swoich lśniących szybach, w swojej zieleni – Lwów teraz powoli i z bólem oczyszcza po trosze swoje oblicze, odsłania swój przepiękny obraz, również i dla nas, nowych jego mieszkańców. Można by nawet powiedzieć, że my, młodzi, zaczynamy teraz widzieć, rozumieć i doceniać to, czego nie widzieli, nie pojmowali nasi barbarzyńcy ojcowie. Widocznie piękno potrafi przebić się nawet przez barbarzyństwo...”

Z tego należy się cieszyć i wierzyć, że Duch Święty nie tylko odnowi oblicze tej ziemi, ale również na umęczonych Kresach.

Życzę Państwu miłej lektury, oczekuję na listy i propozycje, a z okazji zbliżającego się okresu wakacyjnego życzę dużo spokoju, odpoczynku i nabrania sił do dalszej działalności.

Andrzej Zambrak

Pamiętanie, ale jakie

Jerzy Masior

Epatowanie złymi widokami

Moich Czytelników nie przyzwyczajałem nigdy do politycznych grzmotów. Tym bardziej, że polityka terazniejsza jakoś ani rusz nie naprawia świata w którym żyjemy. Z potrzeby serca błądziłem po minionym Lwowie by utrwalać przemijające, do czego nawet w najlepszych okolicznościach (układach) – jakich: domyślcie się – powrotów nie ma. Od ładnych kilku lat oglądam na miejscu raz, lub dwa razy w roku odbudowę cmentarza Obrońców Lwowa, usiłowania przywrócenia jego pierwotnego kształtu, takiego, który nam żyjącym i pamiętającym jest najbliższy. Jakoś trudno nazwać to, co się na tym cmentarzu dzieje, odbudową. Tylko miejsce to samo, choć okrojone. Ale przecież krzyże inne, krzewy pełzające po mogiłach wprawdzie bujne i zawsze zielone, ale nie z lwowskich, rodzimych one grządek, a z czarodziejskiego ogrodu w Bolestraszcach pod Przemysłem. Piękny to dar, ale jednak przeflancowany, jakby pod kocem krzewin dla tych mogił zabrakło... Na kolumnadę i na lwy słaba nadzieja, anioly się tamtejszym nacjonalom nie podobają, choć to twory pozaziemskie i ponadczasowe. Słyszysz się i czyta, że Ukraina ciągotki do Europy to ma, ale niektórym obywatelom Lwowa żołnierze francuscy i skrzydlaci amerykańscy chłopcy do gustu nie przypadają – nawet kamienni. Kaplica bez Madonny Luny Drexlerówniej pusta, bezimienna. Madonna gdzieś „wyparowała”, przepadła. Jakoś mnie to jej „wyparowanie” w niebyt, z tego właśnie miejsca, do uwierzenia nie przypadło. Ktoś świadomie i być może na zawsze tej nieobecności dopomógł. Hm, gdyby tak po lwowskich lapidariach poszukać... Biel kaplicy wieńcząca rujnację w dole jakoś nie przystaje do całości. W jej wnętrzu odnajduję za każdym razem coś, co rozczuła: wieńce, omdlewające wieńce z Polski, skrzętnie zbierane z płyty Pięciu Nieznanych przez ekipę p. Eugeniusza Cydzika – póki co skrzydlatego aniola tego cmentarza. Na wieńcach szarfy, zawsze biało-czerwone. Jest więc taka malutka przestrzeń opuszczonego Miasta gdzie trwa pamięć jego barw odwiecznych. I napisy: „Od Szkoły Orłąt w Nowym Sączu, od IV Liceum w Nowym Sączu i od innych szkół i grup mogiły nawiedzających. Ja z imienia wymieniam te, które mi najbliższe i tę młodzież, którą sam tu przyprowadzałem. Trochę mnie boli, że tych wieńców od polskich szkół niewiele. A tyle już szkół orłęcych w Polsce.

Jestem z pokolenia, które przedwojenny cmentarz Obrońców pamięta dość dobrze. Zachodziłem tam wielokrotnie, zwłaszcza wieczorami po majówkach u Zmartwychwstańców na Piekarskiej. Najczęściej nie sam. Zapadający zmierzch, gęstniejąca w nim zieleń zachęcały do kroków niespiesznych. W ciszy, która tam trwała i trwała, nasze ludzkie słowa nabierały dźwięków boskich, jedynek i na zawsze... Powód do przystanków wśród katakumb, pod kolumnadą, zawsze się znalazł, choćby chłód wiatru od Pohulanki, choćby poszukiwanie śmigieł samolotowych, których tam było kilka, a mnie się wtedy marzyło – jak wielu z nas – zostać lotnikiem. Tu śmigła można było do woli dotykać, niemal pieścić.

Mam w oczach obraz tego cmentarza żołnierskiego, na pozór architektonicznym zamysłem zunifikowanego, ale za-

kwitającego różnorodnością mogił otulonych krzewami najrozmaitszymi. Krzyżami najczęściej spotykanymi były małańskie, ale ile było przecież grobowców rozmaitych wedle woli rodziny. To złamanie żołnierskiej, sepulkralnej karności serdeczną troską najbliższych, upodobniały Campo Santo do modlitwy raz szeptem, raz głośno odmówionej, to znów wyśpiewanej – nigdy monotonnej.

A jak jest dziś. Cmentarz mimo starań i rozmów na wszystkich szczeblach, mimo olbrzymiego wysiłku Energo-polu, wciąż nie powraca do dawnego kształtu, gdyż „strona ukraińska” wynajduje coraz to inne, nieudolnie motywowane przeszkody. Jasnym już się stało, że cmentarz ten nie przystaje do pielęgnowanej wciąż we Lwowie archaicznej ideologii pogrobowców UPA. A mer miasta, władza to dość autorytarna, sprawia wrażenie, jakby sam ustalenia celowo lekceważył, albo strach go ogarnia przed swoim magistratem, albo już zawnazę myśli o kolejnych wyborach... Jest bowiem nie do zaakceptowania by „dyrektor” Cmentarza-Muzeum, czyli Łyczakowskiego sam stanowił cmentarne prawa i od jego decyzji zależało to czy prace będą kontynuowane. To wprost nie do pomyślenia w społeczności, która chce się zwać demokratyczną. Takie sprawy jak przestrzeganie konwencji o wojennych cmentarzach zobowiązują. Tak więc Orłęta nie powracają do dawnej Indruchowskiej świetności. Dominantami jego są teraz okaleczone pylony i łuk triumfalny ze szczerbami dowodzącymi, że i jego powalić chciano. Tylko sił i pomysłu – na szczęście – zabrakło. Trwają więc te samotne szczerby cmentarne – świadkowie bezradności: ostrzelane z broni maszynowej, jakby zawzięcie oplute, pozbawione spajających ich kolumn i zwieńczenia, trwają tragicznie u granicy dopiero teraz odgruzowanej części cmentarnego pola na zboczu od Pohulanki. Zapamiętajmy te widoczne jeszcze zwały gruzu, śmieci i ziemi, bo to olbrzymie nagromadzenie nienawiści do tych z którymi od wieków można było współżyć, pogardy do pokolenia Jabłonowskich, Żółkiewskich i Króla Jana, wreszcie do dzieci i młodzieży, która świadomości innej jak ta, ażeby ziemia i miasto, w których im żyć wypadło, mogły być inne niż polskie – nie miała. Legenda pokoleń miasta powstrzymującego przez wieki nawałnice ze wschodu na przedpolach Rzeczypospolitej, nieodległe dzieje powstańczych listopadowych i styczniowych zrywów kryjących mogiły także w łyczakowskiej ziemi, zaowocowały Listopadem 1918. Na Campo Santo są ich kości. Tych szczątków nie udało się unicestwić choć i takie opętane zamysły na Cmentarzu Łyczakowskim i w orłęcych katakumbach się trafiały. Barbarię, choć to ponoć cmentarz chroniony, można oglądać niemal na każdym kroku. Przydarza się ona tak zwłokom jak i nagrobkom, szczególnie ostatnio. Do tego dochodzą spory o napisy na żołnierskich mogiłach: nie obrońcy, a żołnierze ponazywani ostatnio „wojakami”. Taki lingwistyczny, obrzydliwy prezencik dla prezydenta Polski.

Najczęściej obecnie fotografowanymi obrazkami dla prasy i TVP są prezydenckie uściski dłoni i wieńce ze stosownymi napisami nad płytą Pięciu Nieznanych z Persenkówki. A w tle okaleczona panorama cmentarna. Przyznam, że dla mnie, ale i chyba dla wszystkich, którzy ten cmentarz zapamiętali, widok ten jest zaskakujący i głęboko upokarzający. Bo mimo tych powtarzających się prezydenckich pokłonów, duserów i przyrzeczeń, tylko małeńkie kroczki do przodu. Mimo uzgodnionych terminów zakończenia renowacji wciąż tylko samotne pylony bez połączenia ich kolumnadą. Szczerby tej kolumnady tkwią w tych pylonach. A gdzie

Iwy, nawet ze zmienionymi herbami i napisami? Trudno więc wciąż o krok do przodu. Upór w wynajdywaniu takich pojęć jak „monumentalność cmentarza”, jak nieestosowność napisów na tabliczkach w obecnej, pojałtańskiej rzeczywistości – świadczą niezłomnie o jednym: to dzisiejsi oponenci, a więc Ukraińcy pod skrzydłami sowieckiego ustroju i partyjnych ówczesnych władz Lwowa zniszczyli cmentarz, bo był koronnym dowodem na polskość miasta. I nadal jest tym dowodem, bo czymże kierują się obecne władze tak uparcie przeszkadzając w rekonstrukcji obiektu naszej narodowej pamięci.

Nie miejmy więc zaufania do „braterskich”, czy tylko partnerskich uścisków prezydenckich dłoni, na dodatek nad mogiłą, którą się od czasu do czasu dewastuje nazywając obrońców pogardliwie „wojakami” i zmuszając do czytania niegodziwej tablicy polskiego prezydenta. W stosunkach międzynarodowych to fakt zaiste kuriozalny. Wola upokorzenia naszego narodu i jego historii sięga we Lwowie szczytów. Kołaczę tam duch nacjonalizmu w jego najgorszej edycji. Nie ukazujmy więc w krajowych środkach przekazu, z częstotliwością jak dotychczas, Cmentarza Obrońców Lwowa 1918-1920 ze szczerbami pylonów. Nie przyzwyczajajmy się do tych widoków. Zwłaszcza młodzieży widok okaleczonych pozostałości nad mogiłami Obrońców powinien być oszczędzany. Niech pod ich powiekami obraz ten – jakże daleki od rzeczywistego onegdaj – nie utrwała się. Są na świecie polskie cmentarze wojenne, nietknięte ani zębem czasu, ani nieprzychylnością ludzką: w Tobruku, w Narwiku, pod Monte Cassino. Jest wileńska Rossa, która mimo sowieckiej tam obecności i litewskiej nieprzychylności – przechowała w nienaruszonym stanie mogiłę Matki i serce Syna, a także mogiłę Jego żołnierzy z tych samych co lwowskie boje lat. Przeto z Rossy sączy się zgoda narodowa. A z cmentarza Orłąt? Jakaż z tamtąd zgoda? Ta deklarowana? Obu oficjalnym stronom bardzo o nią zapewne chodzi, bo postrzegają dobrze jej cele strategiczne i być może ludzkie. Tylko pozostające w cieniu nacjonalistyczne struktury Lwowa pokazują nam z determinacją godną lepszej sprawy: kto tu dziś panem, kto decyduje. I toczy się lokalna, cicha wojna z Polakami, zwłaszcza z tymi co pamiętają... Nie wiedzą, że wojny z historią się nie wygrywa! Nie dostrzegają krótkowzroczni, że to spór także z Europą, z całym światem, z jego niewzruszonymi prawami do godności żołnierskich mogił. Nie liczy się w jakim miejscu i na czyjej ziemi w obronie ojczyzny polegli. W 1772 roku dzielono Rzeczpospolitą między zaborców. To jej granice zniknęły wtedy z mapy Europy. Jednakże zaborca austriacki i tu w Małopol-

sce (ichniej Galicji), i we Wiedniu miał świadomość, że zawładnął krainą polską. I tak naznaczoną autonomię przyznawał swojej Galicji w latach sześćdziesiątych XIX wieku. Nastąpiły wówczas czasy stygmatyzacji Lwowa polskością. Dlatego ci, co chwycili za broń w listopadzie 1918 roku walczyli o niepodległość strony ojczyznej. Nikt trzeźwo myślący nie zaprzeczy, że ziemie te jak i Lwów były zamieszkiwane od wieków także przez Rusinów, późniejszych Ukraińców, ale wiemy i to, że gdyby nie cesarsko-królewskie sianie niezgody między narodami na rubieżach rodzącej się Rzeczypospolitej, to później nie polałyby się rzeki bratobójczej krwi na Wołyniu i Podolu. Pod koniec naszego wieku wyznacznikiem wiodącym granice państw, stała się demografia. Jednakże są liczne dowody, że tak być nie musi. Współżycie narodów tylko je wzbogaca: ich kulturę, ich szczebel cywilizacji, ich siłę. Walka jaka rozgorzała w roku 1918 i później, w latach II wojny światowej, była zwaremieniem się o historycznie dla Rusinów nieuzasadnione cele. Niepodległej Ukrainy do tego czasu nie było na mapie Europy. To aksjomat. Oko cyklonu nienawidzące nacji polskiej, które zawirowało w 1918 roku, nadal to przycichnie, to rozdmucha żagiew wrogości. A w tym tle jakże trudno odnaleźć chęć do życia współczesnego i przyszłego w jednoczącej się Europie. Zewsząd rozlegają się głosy o logikę opamiętania. To stąd te prezydenckie wizyty. Ale ileż ustawicznej złej woli po tamtej stronie. Ile działań pozornych i kłamliwych gestów obecnych władców Lwowa. My Polacy łatwo wybaczymy, ale pamiętliwi także jesteśmy, bo nikt nas od pamięci historii narodu nie uwolnił. Bardzo ciężko jest poprosić Ukraińcom o wybaczenie, a chyba jest za co i przypominać tu nie trzeba, bo jeszcze świeże to dzieje i żyją ci, co byli świadkami. Tak trudno wykonać wiarygodny, pojednawczy gest, bardzo potrzebny i jednostkom i narodom. Znacznie łatwiej roztrzaskiwało się onegdaj dziecięce główki o węgły wołyńskich i podolskich chat. Jednak nie jest moim zamiarem powracanie do tamtych dni pożogi. To nie jest perspektywa pojednania.

Gdyby jednak w niedalekiej przyszłości – chciałbym tego dożyć – tak się zdarzyło, że przywiezione fotografie z żołnierskich mogił na Łyczakowskim cmentarzu powtórzyły indruchowską wizję, byłby to najlepszy dowód szczerych, mądrych ukraińskich intencji. Pokolenia odchodzą, pokolenia przychodzą. Oczyścimy im ścieżki z naszych zapiekłości. Pod koniec wieku. Pod koniec tysiąclecia. Zróbmy to dla kraju gdzie wspólna historia tyle lat trwa. Jeżeli nie potrafimy otworzyć serc – otworzymy umysły.

Nowy Sącz, 22 maja, 1999

Danuta Nespiak

W stronę Europy czy Azji?

Trzytygodniowe walki o Lwów, które miały miejsce od 1 do 22 XI 1918 roku należą i należeć będą do wspaniałych przykładów w historii wojen o przynależność zawsze wiernego miasta do Polski. Przeciwnikiem w listopadowych walkach o miasto były ukraińskie oddziały Siczowych Strzelców, a byli to żołnierze, a nie ludobójcza formacja jaką w okresie II wojny światowej była UPA.

Tak jest w cywilizowanym świecie, że mogiły i cmentarze wojskowe podlegają ochronie prawnej. I takiej ochronie

na mocy rozszerzonej konwencji genewskiej podlega – mimo, że się to nie podoba ukraińskim władzom Lwowa – Cmentarz Orłąt. Wielokrotne spotkania, trudne rozmowy i negocjacje, protokoły i uzgodnienia w sprawie odbudowy tego Cmentarza prowadzone i podpisywane w ciągu kilku ostatnich lat między stroną polską i ukraińską okazały się ostatnio zupełną klęską dyplomatyczną strony polskiej. Podczas ostatniej wizyty Aleksandra Kwaśniewskiego we Lwowie, który w dniu 14 V br. razem z prezydentem L. Kuczmą złożył kwiaty i miał odsłonić na Cmentarzu Orłąt płytę upamiętniającą 5 nieznanymi żołnierzy polskich poległych w obronie miasta w 1918 roku, miał miejsce fakt noszący cechy międzynarodowego skandalu. Zamiast uzgodnionego w trudnych negocjacjach z Ukraińcami napisu „Nieznany

żołnierzom polskim poległym w walce o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej” wyryta była następująca inskrypcja: „Nieznany polskim wojakom poległym w wojnie polsko-ukraińskiej 1918-1919”. Trudno o większą beczelność ze strony? właśnie – bo odpowiedzialnością za taki napis obarczają siebie nawzajem dyrektor Cmentarza Łyczakowskiego I. Hawryszkiewicz, twierdząc, że taka była uchwała rady miejskiej Lwowa i mer Lwowa W. Kujbida oświadczając, że nie była to jego decyzja i nic on o takim napisie nie wiedział. Pikanterii tej ponurej sprawie dodaje jeszcze ta okoliczność, że obaj panowie są w jednej rodzinie bo dyrektor Cmentarza Łyczakowskiego jest szwagrem mera Lwowa. Rączka rączki nie myje?

Tablicy już nie ma, ale ten przejaw fałszu i beczelności zaciąży znowu na stosunkach polsko-ukraińskich.

Kto to są „wojaki”? „Wojaki” w rodzaju dzielnego wojaka Szwajka na pewno o Lwów w 1918 roku nie walczyli. Intencja pomysłodawców i realizatorów tego napisu jest zupełnie czytelna. Chodziło o ośmieszenie i poniżenie polskich obrońców Lwowa. Chodziło również o to, żeby pokazać obydwu prezydentom kto rządzi we Lwowie i kto tutaj ma władzę. Ale aspiracje polityczne i poczucie własnej „wielkości” rady miejskiej Lwowa wskazują niezbicie, że grono to uważa siebie za supereuropejskie, no bo przecież

prezydent Kuczma zwołał szczyt prezydentów państw środkowo-europejskich właśnie do Lwowa, jako miasta najbardziej europejskiego, i Kijów nie wchodził w rachubę. Rzeczywiście Lwów jest miastem europejskim z uwagi na swoją historię i dziedzictwo kulturalne bogate i różnorodne, ale obyczaje lokalnej władzy przypominają niestety obyczaje azjatyckie dla których ugoda, porozumienia, sojusze, podpisane dokumenty wagi państwowej były nic nie znaczącymi faktami, którymi można było manipulować lub po prostu zaprzeczyć, że w ogóle istniały.

Rodzi się pytanie czy Aleksander Kwaśniewski pełniący funkcję prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej powinien był złożyć kwiaty na płycie i udawać, że nie znał napisu o „wojakach”. Opinie w Polsce są na ten temat podzielone. Ciężkość jaką strona polska okazuje przy negocjacjach w sprawie Cmentarza Orłąt czy też w sprawie braku zgody władz ukraińskich na budowę polskich szkół w Mościskach i Strzelczyskach nie może przemieniać się w zwykłą uniżoność i uległość wobec partnera, któremu w lokalnych wydaniach lwowskich daleko do europejskich standardów.

Czy polscy politycy aktualnej koalicji AWS-UW nie różnią między nacjonalistycznymi oszołomami we Lwowie, a wagą i znaczeniem całej Ukrainy, strategicznego sąsiada Polski? □

Lwów jest w UNESCO!

Florencja Wschodu budzi sentyment

● Rozmowa z profesorem Olgierdem Czernerem



Profesor Olgierd Czernek z Politechniki Wrocławskiej, dyrektor Muzeum Architektury, brał w ubiegłym tygodniu udział w międzynarodowym sympozjum konserwatorskim we Lwowie. Było ono poświęcone rewaloryzacji zabytków tego miasta, które z końcem ubiegłego roku zostało – między innymi dzięki usilnym staraniom Polski – wpisane na listę dziedzictwa kulturowego UNESCO

● Panie Profesorze, międzynarodowe grono spotkało się we Lwowie, by radzić nad jego konserwacją. Proszę opowiedzieć o szczegółach tego sympozjum.

– Odbywało się ono w ubiegłym tygodniu, a dotyczyło ściśle opracowania kalendarza kolejnych kroków w rewaloryzacji Lwowa. Reprezentowałem tam Pełnomocnika Rządu do spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego. Najliczniejsi byli oczywiście gospodarze, naukowcy z Politechniki Lwowskiej, sporą grupę stanowili Polacy, byli także Austriacy. Podnoszone były różne aspekty wartości tamtejszego dziedzictwa: kulturalne, historyczne, estetyczne, ale też techniczno-ekonomiczne, wobec stopnia zniszczenia tej substancji. Referowano też przypadki błędów w postępowaniu władz samorządowych Lwowa.

● Prawie jednocześnie we Lwowie gościli prezydenci kilku państw; ponoć miasto z tego powodu znacznie wypiękniało...

– Lwów otrzymał spore pieniądze, by go, że tak powiem, umyło i pomalowano. Wszystko to jednak działo się bez nadzoru konserwatorskiego, widać, że zrobiono tylko po-

wierzchnowne prace. A sytuacja lwowskich zabytków nie jest dobra. Tamtejsi konserwatorzy i władze chwalać się faktem wpisania miasta na listę UNESCO, ale nie ma tam nawet gruntownego programu polityki konserwatorskiej, strategii postępowania wobec całego kompleksu urbanistycznego dla tego obszaru. To jest zupełnie niewiarygodne, ale tam wszelkie prace odbywają się bez jakiegokolwiek nadzoru koordynacji.

● Czyli nie remontuje się np. kamienic kwartał po kwartale, ale prowadzi się szczątkowe prace w różnych miejscach jednocześnie?

– Tak. Faktem jest, że akurat teraz kończono wyburzanie kilku kamienic na wschodniej pierzei placu Mickiewicza; nadal, choć to już z osiem lat minęło, nic się nie dzieje w ruinach pięknej renesansowej kamienicy Bandinellich przy Rynku 2. Tam zapadł się dach i stropy, stoją tylko ściany. Władze miasta są w trudnej sytuacji, podnoszona była ta kwestia wielokrotnie podczas ubiegłotygodniowego spotkania. Dotyczy ona kwestii nieuregulowania praw własnościowych. Tam są one jeszcze bardziej skomplikowane niż np. we Wrocławiu. Otóż nie jest nawet rozdzielony status własnościowy obiektów skarbu państwa i samorządowe, gminne.

● A jakie widać w centrum zmiany?

– Nie takie jak u nas. Ale niektóre witryny sklepowe wypiękniały, przybyło lokali gastronomicznych. Na kościele Bernardynów kładzie się blachę miedzianą. Zrekonstruowana została także fontanna z figurą Matki Boskiej niedaleko pomnika Mickiewicza. Zawsze teraz leżą tam kwiaty. W Rynku zostały pomalowane fasady kamienic, zrekonstruowany został fragment murów miejskich i baszta. Ale jak wspominałem, wszystko to trudno ogarnąć, bo nie widać

jakiegoś nadrzędnego sensu w tych poczynaniach.

● Jakie warunki muszą być spełnione, by kompleks urbanizacyjny został wpisany na listę światowego dziedzictwa?

– Musi być po pierwsze dobrze zachowany w swoich historycznych założeniach, cechować go ma wartość skali ogólnoludzkiej, rząd kraju, na którego terytorium się znajduje, musi się zobowiązać do troski o taki kompleks.

● I Lwów te zalecenia wypełnił.

– Tak. Lwów znalazł się na tej liście dzięki zachowaniu całości autentycznych założeń urbanistyczno-architektonicznych, także dlatego, że powstał przy udziale ludzi różnych narodowości i kultur: łacińskiej, prawosławnej, ormiańskiej. Pod specjalną ochroną wpisane jest nie tylko centrum miasta średniowiecznego, ale także wcześniejsze, ruskie miasto przedlokacyjne na wzgórzu Wysokiego Zamku. Prawdą jest, że Lwów wyróżnia się szczególnym urokiem, wielu porównuje go z urodą Florencji i Rzymu.

● Mówi się o tym, że Wrocław jest bardzo podobny do Lwowa. Czy to prawda?

– Zasadniczą różnicą jest położenie i charakter zabudowy: tu rzeka, nizina, średniowiecze; tam praktycznie bez

rzeki, wzgórza i renesans. Rzeczywiście, związki są: przy budowie Lwowa brali udział budowniczowie ze Śląska i z samego Wrocławia. Wrocławian spotykamy wśród budowniczych katedry, znajdziemy ich także wśród artystów, którzy zajmowali się budową obiektów z początku wieku siedemnastego, renesansowych, manierystycznych. W tym sensie jest jakaś paralela. A z drugiej strony: we Wrocławiu znajdziemy nagrobki alabastrowe z kamienia sprowadzanego właśnie ze Lwowa.

● I jeszcze jedna sprawa, czego teraz Ukraińcy oczekują od nas w stosunku do lwowskiego dziedzictwa?

– Wydaje mi się, że doceniają nasze starania o umieszczenie miasta na liście UNESCO. Powołane zostało także konsorcjum polsko-amerykańsko-ukraińskie, którego celem będzie odbudowa Kamieńca Podolskiego; także we Lwowie, między innymi na Cmentarzu Orłąt Lwowskich pracują polskie firmy. Konserwatorzy zaś deklarują swoją pomoc.

● Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał

Igor Borkowski

Fot. M. Worsztynowicz

(przedruk z Wieczoru Wrocławia)

Henryk Ostrowski

Odświętą racją stanu

Zwykle w świątecznej telewizji pojawiają się programy poświęcone kresom, „ziemiom utraconym”, oczywiście wielu żyjących jeszcze Polaków. Pełne nostalgii za minionym czasem emitowane są w porze dużej oglądalności i wpisane w szereg podobnych, odświętnych, sentymentalnych wspomnień. Tak było i w minione święta wielkanocne. W Wielką Sobotę w Dwójce wyemitowano o 13.25 program pt. Kresy w reżyserii Jacka Sypniewskiego i w 4 godziny później dokument o Lwowie pt. „... bardzo przyjemne miasto” w reż. Grzegorza Linkowskiego. Obie audycje telewizyjne opatrzyli polemicznymi felietonami w Gazecie Telewizyjnej młodzi dziennikarze: Wojciech Maziarski i Jacek Rakowiecki.

Kresy – najogólniej – to ogromny temat i o wartości ich wyrazu w rzeczonym programie powiem pod koniec. Mnie, jako rodowitego Lwowianina, zainteresował przede wszystkim program o Lwowie. Powiem wprost, obejrzałem ten żałosny „dokument” z niesmakiem, jego poziom należałoby ocenić z pozycji leżącej. Czemu i komu miał on służyć – nie wiadomo. Skonstruowano to na zasadzie pocztówek ze Lwowa, w których głosu udzielano dwóm młodym historykom ukraińskim, dwóm plastynom, a na koniec jakiś wesoły Żyd wyglądający na ortodoksa wypowiedział się na temat tego co to jest batiar. I jeszcze prezes Tow. Opieki nad Mogiłami Wojskowymi mówił jak karczowali topole z cmentarza Obrońców Lwowa, a jakiś konserwator przekonywał jakim to, przede wszystkim wielonarodowym, zabytkiem jest Cmentarz Łyczakowski. Jeden z historyków zaserwował rewelacyjne odkrycie. Doszukał się mianowicie, że Lwów właściwie, niczego nie ujmując Daniłowi Halickiemu, założyli Niemcy i niemiecki był do XVI wieku. To wszystko było przetykane panoramą z wieży ratuszowej i pędzącym tramwajem z Ruskiej przez Rynek. Widoczne były odrapane, pełne liszajów i grzyba

tynki, rozpadające się bruki, lokal nazwany kawiarnią artystów na dziedzińcu kamienicy królewskiej, brudny i smutny arsenał... W tle słychać było jakiś wesoły motyw sztajerka usia siusia. Oto Lwów! Patrzcie młodzi do czego ci starzy tak tęsknią. Jak ci historyk powi, że z jednej rynwy woda kapi do Buga, a z drugiej rynwy do Dniestra, to masz się tak samo podzielić z braćmi Ukraińcami. Oni na jakimś odrapanym murze nawet nie zamalowali polskich napisów jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej: „kawa, likiery i koniaki”, a ty haukasz na obstrukcję z cmentarzem Obrońców Lwowa.

Ani słowem o nauce polskiej rodem ze Lwowa, o sztuce polskiej rodem ze Lwowa i obecnej we Lwowie, o kilkusetletnim dziedzictwie cywilizacji europejskiej wynikającej z przynależności Lwowa do Polski, o stołecznym XIX wiecznym mieście krystalizującym polską tradycję obyczajową i literacką. Raz tylko młody plastyk powiedział, że zakończył się pewien etap, następny etap dopiero zaczynamy i chamstwo wypełnimy! Tak powiedział. Może miał na myśli bojówki nacjonalistyczne i chciał uspokoić Polaków, żeby się nie martwili o losy polskich pamiątek narodowych?

Ten program trzeba potraktować jako ostrzeżenie. Uważam, że tak Lwowa pokazywać już nie można! Trzeba wybierać. Mamy już za sobą to pierwsze zachłyśnięcie się możliwością publicznego wyartykułowania naszej miłości do rodzinnego miasta, te stereotypowe obrazki Ślepej Mińci i balu u weteranów, niewypowiedzianego smaku wody dobrostańskiej i sznycli w bratru-rze, Szczepcia i Tońcia, trzech arcybiskupów, trambalu gdzie skręcał i się zatrzymywał i ćmągi od Baczewskiego. Panie redaktorze Janicki, niech Pan się szanuje i kiedy dają Panu kilkanaście sekund na wypowiedź nie bierze w tym udziału!

Albo pokazujemy Lwów dzisiejszy z jego ukraińskimi problemami, bez retuszu, bez prymitywnych rodzynek historycznych; profesjonalny, aktualny reportaż, albo inaczej; pokazujemy historyczny wkład polskiego Lwowa do nauki i kultury polskiej, za co z kolei byle

kto brać się nie powinien. Pięknie to robi np. prof. S. Nicieja poprzez upowszechnianie dokonań ludzi uwiecznionych na nagrobkach Cmentarza Łyczakowskiego. Aby nie była to działalność zbyt elitarna, wymaga szerzej popularyzacji, w bardziej różnorodnych, przystępnych i dostępnych wszędzie i każdemu formach. Można to zrobić nie tylko naukowo, ale i w sposób lekki, łatwy i przyjemny. To jest zadanie. I wreszcie po trzecie: możemy pokazywać w odrębnych programach tłące się dziś życie polskiego Lwowa. Biją we Lwowie polskie serca! Trzeba je pokazywać. Są też tacy, którzy ich wspierają. Ich też trzeba pokazywać: ludzi skupionych wokół Gazety Lwowskiej, wokół Radia Lwów, wokół kościoła katolickiego, wokół Tow. Kultury Ziemi Lwowskiej, węgietującej polskiej szkoły. Ci ludzie myślą już innymi kategoriami. Oni tam są i chcą nie tylko przeżyć, ale starają się podnieść i przekazać w lepsze czasy zjednoczonej Europy polski język i polski obyczaj – polskie dziedzictwo we Lwowie. O tym też nie było ani słowa w programie TV.

Program o Lwowie osadzony był w aktualnych okropnościach czystek etnicznych w Kosowie i poprzedzony reportażem pt. Kresy, pokazującym przede wszystkim piękno i urok tych ziem. Dla równowagi w programie wystąpił Czesław Miłosz, który odzegnał się po raz kolejny od „etnicznie obcych nam ziem na zawsze”. Pozwalam sobie zauważyć, z całym szacunkiem dla noblisty, że np. wileńszczyzna to ziemie etnicznie polskie. Nie one pierwsze pozostają poza granicami Polski. Już przed wojną utraciliśmy etnicznie polskie okolice Żytomierza i Winnicy. Kresy odchodzą jako terytorialna część Polski i ojczyzna tysięcy Polaków bo takie są wyroki dziejowe. Nigdy natomiast nie odejdą Kresy jako nasza ojczyzna duchowa. Można tylko ubolewać nad stwierdzeniami autora Doliny Issy, ale sięgnijmy do wypowiedzi młodych dziennikarzy. Otóż Wojciech Maziarski, który „nudził się tymi banałami jak mops” stwierdził: „bo ja nie utraciłem Kresów. Gdy się urodziłem od dawna już były wspomnieniem pokolenia nie moich rodziców nawet, lecz dziadków (!).. Dlaczego-

go miałbym się dziś wzruszać czymś (...) co od dawna już nie istnieje?” Bliższa mu jest od Ostrobramskiej np. Świdnicka we Wrocławiu, bo przypomina happening Pomarańczowej Alternatywy. Jest to zwyczajny szczeniacki humbug prasowy nie wart polemiki, z którą wystąpił jego oponent Jerzy Rakowiecki. Streszczając ich tezy, pierwszy protestował przeciwko pokazywaniu w TV banałów i ruin, bo „nie da się przekazać swojej emocjonalnej pamięci”, drugi pisał, że to element polskiej kultury i opowiedział się za jednakowym kochaniem baśni i realności. Oczywiście bardzo bliskie mi są poglądy Rakowieckiego, który gorąco bronił takich programów mówiąc, że on Kresy utracił właśnie dlatego, że utracili je jego pradziadkowie i podkreślał walory artystyczne i poznawcze programu. I zdumiewał go, w dobie Kosowa, przedstawiony tu obraz narodów, które mogą żyć obok siebie w „niełatwej, ale pasjonującej symbiozie”.

Nasuwa się jednak wrażenie, że tak ustawiona polemika była zamierzoną prowokacją i w istocie obaj nie zrozumieli przesłania tych programów, jak nie zrozumieli wymowy roboty którą wykonali ich twórcy. Nie wnikajmy jednak głębiej w przebogata problematykę Kresów, która powraca i będzie powracać przy każdej okazji. Tutaj we wspomnianym kontekście czystek etnicznych w Kosowie nieodparcie narzuca się analogia: Kresy – Bałkany, działalność serbskich nacjonalistycznych formacji paramilitarnych w Kosowie i działalność kureni UPA na Wołyniu i Podolu. Te ostatnie, także przy wsparciu władzy, ale bardziej skutecznie i dokładniej wyczyściły etnicznie w różny sposób Kresy z kilku milionów Polaków. Przedwojenny ponad 300 tysięczny Lwów z ludnością etnicznie polską w ponad 60 procentach, został w bardzo krótkim czasie kilku lat tak dokładnie wyczyszczony, że została tam zaledwie garstka Polaków. To także informacja dla tych, którzy nie wiedzą skąd Serbowie wzięli wzory.

Popatrzcie, kochani Kresowianie, takie sobie zwykłe programy świąteczne polskiej telewizji, a wyszło zgoła nieświęte. □

Zdzisław Lubicz-Ojrzyński

Drodzy Kosowianie!

My, Polacy z Kresów Południowo-Wschodnich, z dawnych województw wołyńskiego, lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego, które to województwa „z wielkiej przyjaźni po wygranej wojnie” zabrał nam Związek Radziecki i po jego rozbiciu się przekazał nowopowstającemu państwu – Ukrainie – dobrze rozumiemy Wasz los.

Losy naszych narodów są prawie podobne – też utraciliśmy naszą ojcowiznę, ulegając gwałtom i przemocy. Około pół miliona naszych rodaków, w tym kobiety i dzieci, zostało w okrutny sposób zamordowanych, spalonych w swych domach, w kościołach w czasie nabożeństw, w swych gospodarstwach i w czasie prac gospodarskich przez nacjonalistów ukraińskich spod znaku OUN_UPA tylko dlatego, że byli Polakami. Setki wsi po dokonanych uprzednio grabieżach i wy-

mordowaniu mieszkańców zostało spalonych, po których dziś nawet śladu nie ma. Zniknęły nawet nazwy na mapach.

Nikt nam wtedy nie pomógł, wszystko było okryte tajemnicą, tragiczne wydarzenia przeżywaliśmy sami. Do dziś nasze obecne władze udają, że się wtedy nic na Kresach nie wydarzyło.

O Waszych losach wie i reaguje na nie cały świat!

W wyniku czystki etnicznej, wojny i machinacji politycznych, po jej zakończeniu około 5 milionów Polaków bezpowrotnie utraciło swoją małą Ojczyznę – bez jakiegokolwiek na razie nadziei na powrót.

Do dziś wielu naszych rodaków nadal mieszka w Kazachstanie i w innych częściach dawnego Związku Radzieckiego, a nie mając oficjalnej pomocy w powrocie do kraju – ulegają wynarodowieniu.

Wy przy pomocy organizacji międzynarodowych macie szansę odzyskać swe straty.

Nieliczni Wasi rodacy przyjechali do naszego Kraju, gdzie znaleźli pomoc, na jaką nas stać. □

Władysław Łukaszyński

Ksiądz Prałat Walenty Bal – Kapelan Rzeszowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich



Ks. Prałat Walenty Bal

Owiana legendą postać, jest nieodłączną częścią historii tego miasta i jego krajobrazu, znana zarówno starym jak i młodym mieszkańcom. Miastu temu poświęcił 50 lat swojego pracowitego życia i swoje zdrowie.

Ksiądz Prałat Walenty Bal urodził się 17 stycznia 1920 roku we wsi Jasinka k. Rzeszowa. W 1933 roku rozpoczyna naukę w I Gimnazjum im. ks. Stanisława Konarskiego w Rzeszowie (I i II kl.). Od 1935 roku kontynuuje naukę w klasycznym II Gimnazjum i Liceum im. Kazimierza Morawskiego w Przemyślu (z greką i łaciną) i tam zdaje maturę w 1939 roku.

W roku 1939 rozpoczyna naukę w Wyższym Seminarium Duchownym w Przemyślu (przeprowadzonym na czas wojny do Brzozowa-Zdroju), które kończy w 1944 roku. Święcenia kapłańskie otrzymuje 30 grudnia 1944 roku.

Od lipca 1948 roku pracuje w Rzeszowie w Kościele Farnym (p.w. Św. Stanisława i Wojciecha) jako wikariusz i katecheta, a przez kilka lat również jako administrator tej

parafii. Od 1951 roku sprawuje funkcję rektora Kościoła Świętego Krzyża (gimnazjalnego), a od sierpnia 1970 roku zostaje proboszczem nowo utworzonej parafii Św. Krzyża w Rzeszowie. Kościół ten, w którym przez 47 lat swoje obowiązki duszpasterskie sprawował Ks. Prałat Walenty Bal, należy do najcenniejszych zabytków miasta Rzeszowa. Wybudowany w 1645 roku stanowi integralną (środkową) część b. klasztoru O.O. Pijarów. Lewe skrzydło zajmuje I Liceum Ogólnokształcące, prawe Muzeum Okręgowe w Rzeszowie (ryc. 1).

Jako rektor, a następnie proboszcz tego pięknego, położonego w centrum Rzeszowa kościoła okazał się nie tylko dobrym duszpasterzem, ale i doskonałym gospodarzem mogącym stanowić przykład wzorowego opiekuna zabytków. Przeprowadził kapitalny remont tego kościoła po zniszczeniach wojennych, pokrył go miedzianą blachą, założył centralne ogrzewanie, a ponadto już dwukrotnie odnowił elewację zewnętrzną i wewnątrz kościoła oraz wyłoccił ołtarze i ambonę.

W czasie swojej duszpasterskiej działalności był pod stałym nadzorem służb specjalnych PRL. Za czynności podjęte na rzecz odzyskania przynależnej do kościoła kaplicy (zakończony sukcesem), wyrokiem Sądu Rejonowego w Rzeszowie z dnia 2 października 1979 roku zostaje skazany na 1 rok więzienia z zawieszeniem oraz 200 tys. zł grzywny. Wyrok ten został, na szczęście, uchylony przez Sąd Wojewódzki w Rzeszowie wyrokiem z dnia 30 grudnia 1980 roku.

Jak na jednego człowieka i jedno życie dokonał rzeczy wielkich.

Ksiądz Prałat Walenty Bal, gorący patriota, człowiek prawy, wielkiego serca, o dużym poczuciu humanitaryzmu, przyjazny ludziom, wrażliwy na zło i krzywdy ludzkie. Doskonały nauczyciel kilku pokoleń, lubiany, cieszący się ogromnym uznaniem, szacunkiem i sympatią mieszkańców i wszystkich Organizacji Kresowych i kombatanckich Rzeszowa. Doceniany i szanowany przez władze wojewódzkie, miejskie i kościelne. Jego zasługi zarówno dla Kościoła, miasta jak i jego mieszkańców są ogromne i nie można ich przecenić.

Za te zasługi przyznano Mu znaczne odznaczenia i urzędy kościelne: dziekan, kanonik i prałaturę, a od 1992 roku prałaturę papieską. Rada Miasta w dniu 23 kwietnia 1994 roku nadała Ks. Prałatowi W. Balowi tytuł Honorowego Obywatela Miasta Rzeszowa. Zarząd Główny TMLiKPW uchwałą nr 99 z dnia 3 lutego 1999 roku uhonorował Ks. Prałata W. Bala, naszego Kapelana, złotą odznaką zasłużonego dla TMLiKPW.

Jest znakomitym kaznodzieją. Jego słynne, odważne kazania o treści patriotyczno-religijnej wygłaszane z okazji

różnych uroczystości patriotycznych zawsze przyciągają ludzi i są dla nich piękną lekcją historii i patriotyzmu.

Kiedy w listopadzie 1938 roku, jako uczeń-gimnazjalista wygłaszał patriotyczne przemówienia na uroczystości odsłonięcia pomnika Orłąt Przemyskich w Przemyślu (ocenione bardzo dobrze przez mieszkańców i lokalną prasę), nie przypuszczał, że 60 lat później wygłosi, już jako kapłan, podobne przemówienia na podobnej uroczystości w Rzeszowie.

W dniu 22 listopada 1998 roku Ks. Prałat Walenty Bal (ryc. 2) Kapelan Rzeszowskiego Oddziału TMLiKPW, wygłosił wzruszające, patriotyczne przemówienie na Mszy świętej w Kościele Świętego Krzyża, celebrowanej przez Ks. bpa Edwarda Białogłowskiego. Msza Święta odprawiona była w intencji obrońców Lwowa i Ojczyzny z okazji 80 rocznicy Obrony Lwowa oraz odsłonięcia, na ścianie tego kościoła, tablicy pamiątkowej poświęconej Orłętom Lwowskim (S.F. Nr 1 (48) 1999 s. 14-15).

W dniu 30 sierpnia 1998 roku Ks. Prałat Walenty Bal przechodzi na własną prośbę na emeryturę, ale nie w stan spoczynku. W dalszym ciągu wygłasza swoje patriotyczne kazania „ku naprawie Rzeczypospolitej i pokrzepieniu serc”.

Za wszystko co uczyniłeś i czynisz dla dobra Rzeczypospolitej, Kościoła i nas Kresowiaków dziękujemy Ci Księżo Prałacie!!!

Przemówienie Księdza Prałata Walentego Bala wygłoszone w dniu 22 listopada 1998 roku na uroczystości poświęconej 80 rocznicy obrony Lwowa

„Przechodniu powiedz Polsce, że tu leżą jej synowie do końca posłuszni jej prawu” – taki testament zostawili walczący pod Monte Cassino.

W imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen.

Kochani Lwowiacy i Wy wszyscy miłujący Ojczyznę Polskę.

Za chwilę poświęcimy tablicę ku pamięci obrońców Kresów Wschodnich i Orłąt Lwowskich. Będzie ona przemawiała do każdego przechodzącego: „Powiedz Polsce, że jest naszą Ojczyzną, że przez 6 wieków walczyliśmy w obronie Jej granic”. Jestem wzruszony. Sześćdziesiąt lat temu, 11. XI.1938 roku wypadło mi przemawiać w imieniu polskiej młodzieży przy poświęceniu pomnika Orłąt Przemyskich. Występował przede mną generał Wieczorkiewicz, starosta, burmistrz, profesor z Krakowa, jeden z Orłąt, a na końcu ja, 18-latek-licealista, jako młody Polak. Wspaniała to była uroczystość. Przemysłanie zajęli Plac Konstytucji, inni siedzieli na balkonach, a byli i tacy, którzy z dachów obserwowali przebieg wspaniałych obrzędów.

Ale przyszła wojna, Niemcy wysadzili w powietrze pomnik. Przemysłanie w kilka lat później, po odzyskaniu niepodległości, wybudowali nowy. Pod nim obecnie odbywają się uroczystości narodowe, a w niewielkiej odległości umieścili tablice ku czci Orłąt Lwowskich.

Lwów – to miasto kresowe, to miasto, które jest przedmurzem chrześcijaństwa. Jako Semper Fidelis – zawsze wiernie. To miasto, które Józef Piłsudski udekorował krzyżem Virtuti Militari. To miasto, którego dzieci nazwano Orłętami Lwowskimi.

Lwów sięga historią XIII wieku. Kronikarz ruski – nestor z XII wieku mówi o tym, że już w X wieku ziemie, na których zbudowano Lwów i jego okolice należały do Polski.

W początkach XIV wieku został Lwów zniszczony przez najazdy Tatarów. A kiedy w roku 1340 Kazimierz Wielki odzyskał Grody Czerwieńskie, województwo lwowskie, sta-

niślawowskie i tarnopolskie, założył niejako na nowo Lwów, który stał się ośrodkiem kultury zachodnio-europejskiej.

Z Lwowem wiązą się pewne fakty polskie.

– Po pierwsze – śluby Jana Kazimierza złożone 1.IV.1656 roku.

– Przemianowanie kolegium jezuickiego przez króla Jana Kazimierza na Uniwersytet Lwowski w dniu 20.I.1661 roku.

– Usypanie Kopca Unii Lubelskiej w 1869 roku na pamiątkę zawarcia Unii Polsko-Litewskiej w roku 1569.

Kiedy patrzymy na historię Lwowa, wówczas budzą się te uczucia, uczucia ojczyzniane. Powstały wiersze, modlitwy m.in. Litania Ziemi Lwowskiej. „Spójrzcie o matki w cierpienia zaprawne, ile mąk, ile kości wygnańców i ile cierpienia broni waszej Ojczyzny”. „Amen, amen” – mówią żołnierze..

W XIX wieku Ukraińcy coraz bardziej zaczęli rościć sobie pretensje do Galicji Wschodniej. I gdy pod koniec I wojny światowej rozpadła się Monarchia Austro-Węgierska, Ukraińcy popierani przez Niemców i Austriaków w dniu 1 XI 1918 roku nad ranem o godzinie czwartej zajęli Lwów i okolice. Lwowianie nie spodziewali się tego. Zerwali się do boju, zwłaszcza młodzież. Jaki był nastrój – odzwierciedla wiersz Hemara:

„Matka płakała: Czyś Ty zwariował?

Ojciec się gniewał: Czyś Ty się wścik?

Zamknął go w domu. Czapkę mu schował.

Kolega gwizdnał i – chłopiec znikł..”

Podobnie dwóch braci na prześcieradłach z 3-go piętra spuściło się, ażeby uciec przed zakazami rodziców i walczyć. Jest wiersz ku czci lwowskich dzieci – Orłąt Lwowskich, który mówi: „Gdzie ty wleciesz ten większy od ciebie karabin, drogi chłopcze”. A nie była to zabawa. Oto kilka obrazków.

Ukraińcy z taką wścikłością walczyli, zwłaszcza z nienawiścią odnosili się do tych młodych chłopców, a było ich 1421. Najmłodszy – 9 lat liczył. Kiedy dorwali jednego z nich, kolbami roztrzaskali mu głowę. Inny myślał, że walka to zabawa. Raz po raz wspominał matkę, ale walczył. A kiedy kończył życie, ostatnie jego słowo było „Mamo”. I w Persenkówce kończy życie porucznik Mazanowski. Leżał całą noc, ciężko ranny, samotnie. Niedaleko paliła się stodoła. Rano przyszli koledzy i patrząc na nich smutnym okiem uśmiechnął się i powiedział: „Wiedziałem, że przyjdziecie po mnie”. I na ich rękach zakończył życie. Inny kończąc swój żywot napisał krótko „Mamo – nie płacz – ginę za Ojczyznę”.

Szałę zwycięstwa przechylił pułkownik, a późniejszy generał Michał Karaszewicz-Tokarzewski. Przyszedł z odsieczą z Przemyśla, przybyli także rzeszowianie – Rzeszowska Kompania Studencka. Na tablicy znajdującej się przy ołtarzu św. Stanisława Kostki, też znalazłbym nazwiska rzeszowian, którzy brali udział w odsieczy lwowskiej.

I znowu o godzinie 4 nad ranem 22 XI wycofali się Ukraińcy. Kapitan Czesław Mączyński – artylerzysta tak pisze o tym: „Rzucali się z radości na szyję żołnierzom, całowali ich, całowali wozy i konie, ściskali armaty polskie”. A potem wspomniany już Tokarzewski tak przemawiał do zwycięzców: „Od naporu waszych bagnietów wycofali się wrogowie, zyskaliście sławę”.

Ferdynand Foch na Uniwersytecie Lwowskim tak mówił: „Kiedy wykreślano granice państw europejskich – Lwów zakrzyknął: Tu jest Polska”. I po 146 latach Polska znowu

znalazła się we Lwowie. Inny generał Bertelene pisze tak: „Skłaniam głowę przed szlachetnymi matkami lwowskimi i przed bohaterską młodzieżą. Na cały świat krzyczeliście – my chcemy do Polski należeć.”

Bracia moi, jak wobec tego wygląda wypowiedź niby Polaka, polityka polskiego, który powiedział: „...cieszę się, że Lwów należy do Ukrainy”. Tak mówił Stalin!

Co mówi do nas ta tablica, na starożytnym kościele Św. Krzyża? Mówi tak, jak wiersz: „A o Lwowie pamiętać, pamiętać, pamiętać. Matka pamiętała, pamięta i matka zawsze pamiętać będzie o swoim dziecku”.

Taką matką jest nasza ojczyzna – Polska. W roku 1925 generał Sikorski zarządził wybudowanie Grobu Nieznanego Żołnierza w Warszawie. Wybrano 15 pól bitewnych, spośród nich ogniomistrz Józef Buczkowski wybrał jedno. Los padł na Lwów. Ekshumowano trzy trumny. Jadwiga Zarugiewiczowa, matka zaginionego Orlecia, wybrała z tych trzech jedną. Kiedy odkryto, znaleziono ciało zwykłego żołnierza. Obok niego leżała maciejówka, biały orzełek przyciemniały od wilgoci. Przemawiał wtedy prałat Antoni Szlagowski, późniejszy biskup. A mówił tak: „Kim jesteś chłopcze? Nie wiem. Kim są twoi rodzice? Nie wiem. Gdzie jest twój dom? Nie wiem. Ale w tym Twoja wielkość, żeś nieznan. Ale na Boga chłopcze! Kim jesteś? Jesteś Niepodległością”. A potem zwrócił się do matek. Jeden płacz był w Kościele. „Matko nie płacz, znalazłaś syna. Matki polskie ilekroć utracie dla Ojczyzny syna, przychodźcie tu do Grobu Nieznanego Żołnierza, klękajcie i módlcie się za nich.”

Była to uroczystość wspaniała, uroczystość nie tylko Warszawy, ale całej Polski, na którą przysłały wieńce i delegacje: Francja, Anglia, Ameryka, Lotwa, Japonia, Szwecja,

Czechosłowacja, Jugosławia, Rumunia, Belgia, Finlandia, Estonia, Włochy, Węgry, Portugalia. Nie było wieńców najbliższych sąsiadów! Ani Niemiec, ani Rosji.

Co mówi ta tablica: „Noście Lwów głęboko w sercu, między dwoma krzyżami. Między tym Krzyżem 350 lat liczącym w Wielkim Ołtarzu a Krzyżem Misyjnym z dębu z lasu błazowskiemu wisi tablica i ona głosi: „Z trudu naszego i znoju Polska powstała, by żyć.” Dlatego z szacunkiem spoglądajmy na ten napis, czytajmy. Pokazujmy swoim dzieciom, wnukom, uczniom. I ta tablica mówi, że my Polacy możemy liczyć tylko na Polskę i na Opatrzność Bożą, i na własne siły.

Czy Rosja lub Niemcy broniły nas kiedykolwiek? Rozdzierały i dążyły do tego, żeby naród polski zniszczyć i zdeptać. A widomymi znakami to Katyń, to Syberia, to Dachau, to Oświęcim, to Majdanek. Widziałem w Majdanku kości porozrzucane i kopiec z prochów ludzkich, które miały służyć jako nawóz do ogródków. Dziś ani Niemcy, ani Rosja nie będą nas bronić.

Ojciec Święty Jan Paweł II z Wysypiska Gdańskiego tak mówił: „Každy ma swoje Westerplatte.” A ja ośmielałam się dodać do tych słów Ojca Świętego: każdy ma swój Lwów. Ojcowie, matki, młodzież, żołnierze polscy, inteligenci, parlamentarzyści i wy kapłani z biskupem na czele, bądźcie Semper Fidelis Polsce i Bogu. Chowajcie honor Polski w swoich sercach. A ty Polsko! Ojczyzno nasza, rośnij pracą i miłością swoich synów, żyj wiecznie. Bądź królestwem Chrystusa i Maryi. A gdy dziejów odwróci się karta, co Bóg da, choć droga daleka, wrócimy po licznych wędrowkach do domu, tam Lwów na nas czeka. Amen. □

KRESOWE SYLWETKI

Zbigniew Kratochwil

Marian Kratochwil – artysta malarz (1906-1997) (II) (c.d.)



Marian Kratochwil. Londyn 1980

W 1981 r. została zorganizowana wystawa w Zachęcie, obejmująca wszystkie darowane przez Mariana dzieła. Wrażenie było ogromne. Artysta otrzymał medal Zachęty oraz medal „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Nie zapomniano też o medalu dla uczestnika wojny z 1939 r. Ogółem w muzeach polskich znajduje się 28 obrazów o tematyce hiszpańskiej i kilka o tematyce brytyjskiej.

Niestety po zamknięciu wystawy ogłoszono stan wojenny. Potem wypadki w Polsce nie potoczyły się pomyślnie dla Mariana. Muzeum Narodowe w Krakowie rozdzieliło część obrazów na 5 muzeów w Warszawie, Poznaniu, Gdańsku, Bydgoszczy i Toruniu mimo braku większego poparcia ze strony artysty dla tego przedsięwzięcia.

Niestety, Muzeum Narodowe w Krakowie nie honorowało przyrzeczenia złożonego przez dyr. J. Banacha, dotyczącego stałej ekspozycji obrazów.

Od tego czasu były one przetrzymywane w magazynach mimo zgłoszonych przez artystę zastrzeżeń. Niefortunny stan wojenny w Polsce pogłębił tę sytuację, gdyż umilkli niemal ci wszyscy, którzy popierali artystę. Być może stan ten ulegnie obecnie poprawie.

W 1986 r. następuje kolejna wystawa 33 obrazów w Toledo, uzupełniona 40 rysunkami. W odróżnieniu od Polski Hiszpanie nie zapomnieli o artyście. Otrzymuje on jedno z największych odznaczeń hiszpańskich, order Izabeli Katolickiej. Zostaje przyjęty do Akademii Sztuk Pięknych i Wiedzy Historycznej. Przyznano mu złoty medal Akademii.

Dalszy okres do 1990 poświęca Marian na skompletowanie większej ilości rysunków z b. Kresów Wschodnich. Maluje w dalszym ciągu obrazy o tematyce hiszpańskiej uzupełniając je portretami, w których dotychczas nie specjalizował się. Część rysunków została wystawiona wraz z dziełami żony artysty Kathleen Browne w Polskim Instytucie Kulturalnym w Londynie w 1994 roku. Rok później 80 rysunków przekazał jako dar dla Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Należy podkreślić, że wszystkie obrazy jak i rysunki zostały przez Mariana dostarczone w stanie oprawionym z pięknymi ramami. Koszt ram do wszystkich darowanych obrazów wyniósł około 20 tys. funtów.

Okres po 1996 roku sprowadza się do uzupełnienia i wykończenia dalszych obrazów, które w ilości 30 szt. przekazuje Hiszpanii. Tematyka tych obrazów jest różna. W jednym z nich nawiązuje do upadku kultury w Europie.

W 1997 r. obrazy te zostały pokazane na wystawie w Madrycie, a następnie przesłane do muzeów w Granadzie i Rondzie oraz dla Zamku Rycerzy Maltańskich w Consegua k. Madrytu. Z tych 30 obrazów 12 znalazło się w Muzeum Granady. Gubernator Granady przekazał Marianowi serdeczne podziękowania i zaproponował nazwanie jednej ulicy w Granadzie jego nazwiskiem. Artysta uznał, że ze względu na skomplikowane nieco nazwisko, nie warto tę propozycję realizować. I tu wyszła na jaw jego znana skromność.

W uzupełnieniu jeszcze garść wspomnień z życia artysty

Marian Kratochwil był wielkim entuzjastą idei Polski Jagiellońskiej. Niestety, uznał po wojnie, że tendencje nacjonalistyczne naszych sąsiadów nie odpowiadają już jego dawnym poglądom. Szczególnie nie mógł przeboleć faszystowsko-nacjonalistycznej morderczej działalności ukraińskich organizacji OUN i UPA. Jak mówił, w głowie mu się nie mieściło, że dojdzie do takiego zwyrodnienia części społeczeństwa ukraińskiego. Szczególnie ubolewał nad losem polskiej wsi Huta Pieniacka, położonej blisko Podkamina k. Brodów. W tej wsi w 1944 r. Ukraińcy spod znaku UPA wraz z hitlerowcami wymordowali ponad 1000 mieszkańców. Mord ten zamierzał opisać szczegółowo w swej książce „Metamorfozy”.

Gdy rodacy z dawnego Pokucia prosili o pomoc w odbudowie kościołów, przekazał pokaźną sumę na remont świątyni w Nadwórnej, za co ks. arcybiskup Jaworski ze Lwowa przesłał mu podziękowanie.

W Polsce był w sumie czterokrotnie. W latach 1965 i 1967 były to wizyty prywatne u rodziny. Właśnie w 1965 r. spotkał się po 26 latach rozłąki z matką. Padli sobie w objęcia po tylu latach rozłąki. Należy podkreślić, że cała rodzina Mariana wyszła cało z wojennych przeżyć. W początkowych latach po wojnie Marian wspomagał finansowo matkę i młodsze rodzeństwo. Następne przyjazdy w 1980 i 1981 były już związane z wystawami w Krakowie i Warszawie. W obu tych latach za zasługi wojenne przyznano Marianowi z żoną kilkutygodniowe pobyty w Ciechocinku dla podratowania zdrowia.

Niezależnie od działań malarskich w swej dziedzinie zajmował się artysta literaturą z zakresu sztuki, a także

wspomnieniami ze swego bogatego w zdarzenia życia. W okresie pracy we własnym studio prowadził wykłady w EPSOM School of Art. Cztery lata poświęcił dziełu w języku angielskim pt. „Technika malarska”. Rękopis jej przekazał do Courthauld Institute przy Uniwersytecie Londyńskim.

W 1992 r. napisał i doprowadził do wydania książki poświęconej twórczości swej żony Kathleen Browne. Książka została napisana w języku angielskim, została też przekazana papieżowi Janowi Pawłowi II. Również w tematyce wspomnieniowej wykazał dużą aktywność. W 1988 r. razem ze swym bratem Zbigniewem napisali „Wspomnienia o Mieczysławie Kistrynie”. Był to znany pedagog lwowski w okresie do 1939 r. Do jego gimnazjum uczęszczało całe rodzeństwo tzn. trzech bracia: Marian, Zbigniew, Zygmunt i siostra Jadwiga. Marian był w tej szkole tylko przez krótki okres, ale właśnie Kistryn umożliwił mu podjęcie wstępnych studiów u artysty malarza St. Batowskiego.

Zredagował też Marian ciekawsze zdarzenia w mającej się ukazać pracy pt. „Pogaduszki lwowsko-złoczowskie”. Miał dużą bibliotekę szczególnie z dziełami z zakresu sztuki i filozofii. Dużo książek o różnej treści przekazał do Biblioteki Polskiej w Londynie. W bibliotece jest jego obraz poświęcony Marszałkowi Piłsudskiemu. Bardzo dużo wysiłku włożył w wieloletnią pracę pt. „Metamorfozy”. W tym przypadku pisał ją w języku angielskim, co było niełatwym zadaniem dla obcokrajowca. Praca ta obejmuje zdarzenia z jego życia poczynając od czasów polskich. W każdym bądź razie nawet w przypadku trudności z literackim opanowaniem języka angielskiego może pozostać ciekawy dokument, który warto przetłumaczyć na język polski. Rękopis powieści jest zdeponowany w British Museum.

Inna dziedzina, którą artysta się entuzjasmował to była muzyka poważna. W swej młodości zastanawiał się czy nie zostać kompozytorem, ale rozdwojenia jaźni nie było. Został malarzem. Sam grywał dobrze na fortepianie. Jego wielkim przyjacielem był znany kompozytor polski, żyjący w Anglii Andrzej Panufnik. Mawiał on, że na terenie angielskim ma znaczenie tylko dwóch artystów tzn. On i Marian. Niestety Panufnik wkrótce potem umiera. Poświęcił Marianowi kwartet pt. „Wycinanki”. Warto by wydać lub nagrać ten utwór.

Marian Kratochwil miał wielkie uznanie dla twórczości Karola Szymanowskiego, którego oceniał jako największego polskiego kompozytora po Chopinie. Pamiętał Marian, że w 1922 r. Karol Szymanowski odwiedził dwukrotnie nasz lwowski dom i wraz z innymi artystami grywał w kwartetach. Oprócz niego brał w tych imprezach udział późniejszy przyjaciel rodziny znany wiolonczelista Dezyderiusz Danczowski oraz dwóch skrzypków – Mazanek i Winnicki.

W Londynie przekazał w 1975 r. radiu BBC3 komplet płyt z utworami Szymanowskiego. Recenzent BBC Anthony Hopkins był zachwycony sztuką Szymanowskiego i poświęcił mu kilka audycji. Nagranie na taśmie magnetofonowej jednej z tych audycji przesłane zostało vdyr. Gabrysiowi z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Niestety, nie było żadnej reakcji ze strony ministerstwa. Dzięki Anglikom wprowadzono na muzyczny rynek krajów anglojęzycznych utwory Szymanowskiego. Przyjaźnił się też Marian ze znanym pianistą Krystianem Zimmermanem i jako pierwszy

zwrócił uwagę właśnie radiu BBC3 na wielki talent Zimmermana. Mariana odwiedzali liczni artyści z Polski i zagranicy, dyrygenci, artyści teatralni i nawet Mira Zimińska-Sygietyńska. Ale było to niestety normalne dla Polaków, że właściwie żaden z nich nie przypomniał w Polsce o artyście polskim z Londynu. Trzeba przyznać, że było to godne pożałowania. Jedne odwiedziny były jednak ciekawsze, ale nie polskie. W 1989 r. zjawił się w pracowni artysty dyrektor Konserwatorium w Moskwie Borys Kulikow. Był to wszechstronnie wykształcony człowiek, interesował się sztuką malarską. Gdy zobaczył obrazy Mariana był zachwycony, ale nade wszystko podobały mu się rysunki do tego stopnia, że klęknął przed artystą dla wyrażenia swego uznania. Chciał zorganizować wielką wystawę w Moskwie i przewidywał wstępny występ znakomitego pianisty Światosława Richtera. Niestety, ówczesny okres przemian i niepokoїв nie sprzyjał zorganizowaniu wystawy w Moskwie, a obaj wymienieni Rosjanie wkrótce zmarli. Przy okazji warto przypomnieć, że artysta miał propozycje urządzenia wystaw w Londynie, Paryżu i Szwajcarii, ale stawiano mu warunki których nie mógł zaakceptować.

Oceniając rolę rodaków z Polski wyróżnił specjalnie wspomnianych już: b. Konsula Generalnego Ambasady Polskiej w Londynie Tadeusza Kalinowskiego, który pomógł w przekazaniu obrazów do muzeїв polskich, a także inicjatora sprowadzenia obrazów dyrektora Muzeum Narodowego w Krakowie Jerzego Banacha, który w pełni docenił wielkość artysty i wartość jego dzieł. Wspominał też z uznaniem architekta i artystycznego organizatora wystawy w Zachęcie Jana Kosińskiego. W Londynie wielkie uznanie miał dla literata Jima Jeala. Bardzo mu pomagali i inni Anglicy, których trudno wymienić. Z Polaków dużą pomoc okazywali mu prof. Mieczysław Paszkiewicz i dr Zbigniew Szydło. Temu ostatniemu przekazał większą liczbę obrazów, uważając, że będzie jakby polskim reprezentantem-kolekcjonerem malarstwa Mariana na terenie W. Brytanii.

Z opracowanego katalogu nie obejmującego wszystkich obrazów olejnych wynika, że było ich ponad 500. W rzeczywistości sięga ona ok. 850 dzieł. Oprócz tego trudno oszacować ilość grafiki, rysunków itp.

Autor opracowania usiłował pokazać dorobek Mariana Kratochwila. Zestawił go w dwóch pozycjach:

- Katalog dzieł (wymaga korekty – rozszerzenia)
- Kalendarium (też wymaga uzupełnienia)

Poza tym Marian był z bratem Zbigniewem w ciągłej łączności listowej od 1950 po 1995. Pozostało kilkaset listów będących kopalnią wiedzy o życiu i działalności Mariana Kratochwila. W listach tych poświęcał niemało miejsca życiu rodzinnemu. Marian Kratochwil był w zagadnieniach związanych ze sztuką niełatwy do kompromisu. W życiu codziennym był to „dusza człowiek”. Sypał kawałami jak z rękawa. I choć stroił czasem „oczko” do pięknych kobiet, był wierny nade wszystko swej ukochanej żonie. Opracowanie nie obejmuje oceny i wartości jego osiągnięć w malarstwie, które należą, jak już zaznaczono, do rzetelnych krytyków i znawców sztuki z tego zakresu.

Sztuka artysty znalazła pełne, entuzjastyczne niemal poparcie ze strony kół hiszpańskich. W Polsce to uznanie jest właściwie mocno ograniczone. Obrazy artysty zalegają w przeważającej części magazyny. A ze strony zwolenników abstraktu i pop-artu spotykają się z lekceważeniem.

Ale ci, którzy mają odpowiednią wiedzę o sztuce i mogą porównać poziom sztuki polskiej do hiszpańskiej zdają sobie sprawę na czym polega wartość dzieł i klasa artysty i uznanie tych, którzy jego twórczość poparli.

Po ostatnim pobycie w Polsce wyczuwał to niezbyt przyjazne nastawienie części krytyków. Ale się tym za bardzo nie przejmował. Powoływał się na wielkich mistrzów palety, którzy nie znaleźli uznania wśród współczesnych. Jak mawiał jeden z przyjaznych mu znawców sztuki: „nie musi się Pan martwić, pańska sztuka sama się obroni”. Można przytoczyć łacińskie przysłowie: „ars longa vita brevis”. Ale artysta żył długo bo 91 lat. Przeinaczając to przysłowie należałoby powiedzieć w odniesieniu do niego: „ars longa vita longa”.

Przejęcia wojenne, częste kłopoty finansowe i mimo wszystko chwilowe rozgoryczenia nadweryżyły zdrowie i serce Mariana Kratochwila. W 1996 r. uległ ciężkiej kontuzji nogi. Dłuższy okres rekonwalescencji nie poprawił wydatnie stanu jego zdrowia, czuł się coraz gorzej. Mimo to jeszcze do końca życia zajmował się pisaniem swej książki, załatwianiem niektórych bieżących spraw z gospodarstwa domowego, a nawet opieką nad jego o rok starszą żoną, która oprócz częściowej utraty wzroku miała kłopoty z poruszaniem się.

Kres życia nastąpił 3 grudnia 1997 r. Pękło serce artysty.

Marian Kratochwil bał się ogromnie swego odejścia przed żoną. Chodziło mu o umożliwienie jej tak troskliwej opieki, jaką on sam zapewniał. Nagła śmierć zaskoczyła go niespodziewanie. Marzył o tym, aby spocząć w przyszłym rodzinnym grobie na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie. Niestety, plany te nie doczekały się realizacji. Ponieważ zawsze odwiedzał angielski kościół katolicki Church of Our Lady St. Johnswood w Londynie jego przyjaciele angielscy postanowili przeprowadzić uroczystości pogrzebowe właśnie w tym kościele. Odbyły się one w dniu 12 grudnia 1997 r. Na uroczystość przybyli liczni przyjaciele Mariana zarówno polscy, angielscy i hiszpańscy. Brał w niej też udział b. ambasador Królestwa Hiszpanii w Londynie Felipe de la Morena. Zabrakło niestety polskiego ambasadora, który nie uznał za stosowne wzięcie udziału w tym smutnym obrzędzie. No cóż, co kraj to obyczaj.

Uroczystość w kościele przeprowadzono w języku angielskim, w którym przemawiał też przyjaciel artysty prof. Mieczysław Paszkiewicz. Ponieważ Marian pochodził z gór, pożegnał go polski zespół góralski „Giewont”. Utwory Bacha i Schuberta w wykonaniu solistów nawiązały w tej żałobnej mszy do wielkiej miłości Mariana dla mistrzów muzyki. Pogrzeb odbył się na cmentarzu Kensington Cemetery, na którym spoczęło wielu polskich emigrantów. Wdowie Kathleen Browne nie podobało się, że brak było w kościele przemówienia w języku polskim. Ten trudny obowiązek przejął na siebie brat Mariana Zbigniew. Sam nie był przekonany, czy wywiązał się z tego zadania dobrze, ale był tym, który przerzucił w tym smutnym dniu pomost dla duszy Mariana do jego prawdziwej ojczyzny Polski.

Na grób posypała się ziemia przywieziona z Polski. W ciszy cmentarnej nie zabrzmiał niestety pożegnalny marsz żałobny wielkich kompozytorów. Nie było też salwy pożegnalnej.

Marian Kratochwil swą twórczością zapewnił sobie nie tylko pamięć, ale i stałą pozycję w historii sztuki. □

Bolesław Orliński – wielki Kresowiak (II) (c.d.)

Skoro już mowa o kobietach, warto w tym miejscu wrócić myślami do czasów kamienieckich. Wtedy to, latem 1918 r. 19-letni Bolesław zakochał się i oświadczył rok młodziej od siebie Marii Tomaszewskiej i dosłownie szalał z miłości. Marusia – tak się do niej zwracał – miała niezwykle talent, szczególnie w kierunku muzycznym. Wkrótce jednak poszedł on ochotniczo na wojnę przeciw bolszewikom.

Z frontu, z Bydgoszczy, Grudziądza, Krakowa, Warszawy, Torunia i Lidy było daleko do ukochanej. Czas i koleje życia ich rozdzieliły. Pozostała jednak sympatia i dozgonna przyjaźń.



Stanisława (żona) i Bolesław Orliński

Podróż poślubna Stanisławy i Bolesława Orlińskich do Pragi czeskiej minęła szybko i przyjemnie. W sierpniu 1929 roku Bolesław Orliński rozpoczął pracę jako tzw. „pilot fabryczny” w Państwowych Zakładach Lotniczych, które mieściły się na lotnisku Mokotów w Warszawie.

Wkrótce w PZL powstała pierwsza oryginalna, całkowicie metalowa konstrukcja polska – jednomiejscowy samolot pościgowy P-1. Jego twórcą był młody, zaledwie 27-letni, niezwykle zdolny inżynier Zygmunt Puławski. Bolesławowi Orlińskiemu, rozpoczynającemu pracę w PZL w charakterze pilota doświadczalnego, przypadł zaszczyt oblotu tej maszyny pod koniec sierpnia 1929 r.

Już w swym pierwszym locie na pierwszym prototypie P-1, nastąpiło odkształcenie niedostatecznie podpartych żebrami nosków krawędzi natarcia skrzydła (jego przedniej części). Zepsuło to profil płata i w konsekwencji pogorszyło gwałtownie własności aerodynamiczne samolotu. Pilot miał prawo wyskoczyć na spadochronie. Dzięki zimnej krwi, opanowaniu i rozwadze zdecydował się jednak nie skakać i podjąć natychmiast próbę lądowania, co szczęśliwie się udało. W ten sposób Orliński uratował nie tylko samolot, ale i całą późniejszą serię wywodzących się od niego „puławszczaków”.

W sierpniu 1931 r. miało miejsce znaczące wydarzenie w życiu B. Orlińskiego – udział w mityngu lotniczym (National Air Races) w Cleveland w stanie Ohio. Było to pierwsze w dziejach zaproszenie polskiego pilota do wzięcia udziału w międzynarodowych zawodach w USA, w dodatku na koszt organizatora. Na jego wystosowanie wpłynął zapewne znakomity popis B. Orlińskiego na paryskim lotni-

sku Le Bourget kilka miesięcy wcześniej. B. Orliński był już wówczas znanym i cenionym w świecie lotniczym pilotem, głównie za sprawą przelotu Warszawa – Tokio – Warszawa, oblotów samolotów PZL oraz prezentacji sprzętu tej wytwórni w kraju i zagranicą, zarówno na pokazach, jak i na zawodach. Wraz z nimi zaproszono najznakomitszych pilotów akrobacyjnych z Europy, Czechosłowacji, Wielkiej Brytanii, Włoch i Niemiec, którzy tworzyli tzw. „International Team”.

Najsłynniejszym z zaproszonych pilotów był Niemiec Ernst Udet, legenda owych czasów. Wyszkołił się on na samolotach w 1914 r. za własne pieniądze. Wkrótce został asem myśliwskim podczas I Wojny Światowej. Mając 62 potwierdzone zwycięstwa powietrzne ustępował tylko słynnemu „Czerwonemu Baronowi” Manfredowi von Richthofenowi, mającemu 80 zestrzeleń. Ten jednak – nawiasem mówiąc mieszkaniec Świdnicy – zginął w wieku 26 lat, zestrzelony 21 kwietnia 1918 r., nie dożywając końca wojny.

Wiele państw europejskich posiadało plejadę znakomitych pilotów akrobacyjnych. Do tej elity należał również B. Orliński.

Pokazy w Cleveland odbyły się w dniach od 29 sierpnia do 7 września 1931 r. Oprócz popisów w akrobacji toczono powietrzny bój w ponad 30 konkurencjach prędkościowo-odległościowych. Każdy z akrobatów wykonywał codziennie 10 minutowy popis. Rywalizacja ta była wielkim tryumfem B. Orlińskiego. Zarówno pilot jak i samolot P-6 zaimponowały Amerykanom, wyróżniając się w gronie wspaniałych maszyn i największych asów lotnictwa. Gazety prześcigały się w zachwytach.

Miesiąc po występach w National Air Races w Cleveland, w piękną niedzielę 11 października 1931 r. B. Orliński wziął udział w pokazach lotniczych w Katowicach.

Nazajutrz poleciał on do Warszawy celem dokładnego sprawdzenia maszyny, ponieważ podczas pokazów dały się odczuć wibracje silnika. Po latach tak wspominał ten lot: „Po 20 minutach lotu na wysokości około 1000 metrów poczułem lekkie, ale szybko wzrastające wibracje. Skierowałem się w stronę lotniska w Częstochowie. Po lekkim przymknięciu manetki od gazu nastąpił niezwykle silny wstrząs. Po chwili zapadła kompletna cisza. Drażek steru głębokości miałem przyciśnięty do brzucha, ale zabrakło mi siły by go odepchnąć od siebie. Maszyna szybko tonęła, utrzymując położenie zupełnie poziome. Postanowiłem jak najprędzej „wysiąść”. Wiedziałem, że jeżeli samolot nie zmieni położenia do chwili zetknięcia z ziemią to ja – „mięczak” przyziemny, tego szoku nie wytrzymam. Po odpięciu z trudem pasów, które trzymały mnie w uciekającej spodzie maszynie, „wysiadłem” i pozostałem sam na sam ze swym strachem w powietrzu. Pociągnąłem linkę. Silne szarpnięcie; wiszę pod „parasolem” żywy i cały. Patrzę na zegarek. Godzina 10,45. Samolotu nie widziałem jak spadał i jak rozbijał się na szczątki. Szum, trzask łamanych gałęzi i zawisam zdrów i cały w szelkach spadochronu między gałęziami, dotykając czubkami palców ziemi.”

W dniach 18 i 19 czerwca 1932 r. odbył się w Warszawie I Międzynarodowy Mityng Lotniczy. 30.000 widzów podziwiała samoloty myśliwskie i komunikacyjne. Zwyciężył płk Jerzy Kossowski na P-8 przed Orlińskim na P-11.

20 lipca 1932 r. Orliński lecąc na Mityng Lotniczy w Zurychu musiał lądować awaryjnie z powodu defektu silnika w Białoczerwiu koło Końskich. Samolot P-8/II skapotał w kartoflisku, ulegając lekkiemu uszkodzeniu.

Tymczasem Orliński po wypadku powrócił do Warszawy i udał się na mityng do Zurychu na samolocie P-8/I. Niestety, podczas lądowania w Innsbrucku samolot ten uległ rozbiściu. Nie został on już później wyremontowany.

28 czerwca 1934 r. B. Orliński ustanowił na samolocie P-24 światowy rekord prędkości dla samolotów myśliwskich z silnikiem gwiazdowym, uzyskując prędkość 414 km/h.

Był też pierwszym pilotem na świecie, który wykonał loty próbne na samolocie, w którym w owiewkach osłaniających mocowanie zastrzałów do skrzydeł zabudowano dwa działka.

Podczas jednego z lotów Orlińskiego na maksymalnie obciążonym „Sumie” zaczęło wyciekać paliwo z wadliwie skonstruowanej instalacji paliwowej, tworząc za samolotem białawy warkocz, niczym kometa, rozpylonej benzyny. Mogła ona w każdej chwili wybuchnąć, zapalając się od gorącej rury wydechowej. Niebezpieczeństwo to nie znikło po wylądowaniu, bowiem wewnątrz samolotu stwierdzono sporo kałuż benzyny.

W innym locie na podejściu do lądowania samoczynnie chowały się kłapy służące do lądowania z mniejszą prędkością. Przyczyną tego był błąd konstrukcyjny. Po kilku próbach zablokowania kłap Orliński wylądował ślicznie, zachowując czystą konfigurację skrzydła.

Podobnych sytuacji, mogących się skończyć tragicznie Orliński doświadczył dziesiątki razy. Powiedzenie, znane od zarania lotnictwa, że LATANIE, TO UMIEJĘTNOŚĆ PLUS ŁUT SZCZĘŚCIA idealnie pasowało do niego. Orliński wierzył w siebie, niestraszne mu były żadne przeciwności.

Latem 1939 r. Orliński przebywał w Rotterdamie w Holandii i w Wielkiej Brytanii, gdzie latał m. in. na trzech typach samolotów, które zakupiła Polska: Hurricane, Spitfire i Fairey Battle.

1 września 1939 roku a więc w dniu wybuchu wojny rozpoczęło się bombardowanie Warszawy. Niemieckie bomby posypały się na PZL Okęcie. Nie ominęły również dzielnicy Mokotów, gdzie mieszkali Orlińscy. Zniszczonych zostało wiele budynków. Było wielu zabitych i rannych. Orliński brał tu udział w ratowaniu poszkodowanych. M.in. z gruzów domu w forcie przy ul. Olimpijskiej wyciągnął wraz z innymi potwornie zmasakrowaną kobietę, w której nie rozpoznał swojej znajomej, pani Loli Pawłowskiej.

O świecie we wtorek 5 września 1939 roku Orliński wystartował z Modlina na Kobuzie (PZL P-11g). Szczęśliwie dotarł do celu, lądując pod Lwowem na docelowym lądowisku.

Kierując się głosem serca i prawdziwą miłością do Ojczyzny „w nagłej potrzebie dla kraju posługi” zwrócił się z prośbą o ponowne przyjęcie go do wojska. Jego prośbę władze wojskowe rozpatrzyły pozytywnie. Został delegowany do Rumunii, dokąd wyjechał 8 września 1939 r. celem odbioru 111 samolotów zakupionych w Wielkiej Brytanii. Stosowny rozkaz do wyjazdu, wydany przez Dowództwo Okręgu Korpusu nr VI nosi datę 10 września 1939 roku.

Orliński przekraczał granicę polsko – rumuńską jeszcze przed agresją sowiecką a więc w stosunkowo komfortowych warunkach.

Jadąc autobusem w kierunku Rumunii zatrzymał się w Jazłowcu, gdzie jako młody chłopiec odwiedzał swoje sio-

stry Jadwigę i Amelię, uczące się u Sióstr Niepokalanek. U stóp figury Matki Boskiej odmówił ostatnią w Polsce modlitwę.

Opuszczając Ojczyznę był załamany i nieszczęśliwy. Uważał, że to już koniec niepodległej Polski. Wkrótce przekroczył granicę polsko – rumuńską. Była to druga tragedia jego życia, związana z utratą ukochanych stron. Pierwszą przeżył w 1919 r., gdy opuścił rodzinę idąc na wojnę polsko – bolszewicką. Odtąd już nigdy nie zobaczył ukochanej Niwki, do której wracał myślami przez całe życie.

Bolesław Orliński przekraczając granicę polsko-rumuńską zamknął za sobą piękną kartę dokonań lotniczych lat 1920-1939.

W okresie tym spędził w powietrzu około 7000 godzin.

Jako pilot doświadczałny oblatwał 28 prototypów samolotów polskiej konstrukcji, w tym na 24 prototypach wykonał pierwsze loty.

Latał na 92 typach samolotów produkcji: polskiej, francuskiej, włoskiej, niemieckiej, angielskiej, holenderskiej, rumuńskiej, amerykańskiej i szwedzkiej.

Był pilotem wojskowym i cywilnym. Pełnił funkcje pilota doświadczonego, komunikacyjnego, instruktora, sportowca. Latał na samolotach: myśliwskich, bombowych, łącznikowych transportowych i sportowych.

W Rumunii nie doczekał się na samoloty, które miały przylecieć do Constancy. Anglicy skierowali je na własne potrzeby do Adenu.

5 października 1939 r. Bolesław Orliński opuścił Rumunię i udał się do Jugosławii. W tym dniu przybył do Belgradu. Stąd przez Włochy dostał się do Francji. Jej granicę przekroczył 7 października. Dwa dni później dotarł na Stację Zborną dla Żołnierzy Polskich w Paryżu. Po sprawdzeniu dokumentów i stwierdzeniu referencji specjalna komisja sprawdzająca przyjęła go do oddziałów polskich we Francji w stopniu kapitana z przydziałem do lotnictwa. Został oddelegowany do Air Force Depot na lotnisku Le Bourget.

25 października 1939 r. postanowiono przebazować do Wielkiej Brytanii 2300 polskich lotników, w tym 300 osób personelu latającego i 2000 osób personelu technicznego i pomocniczego. Pierwsza grupa pilotów opuściła Paryż 1 grudnia 1939 r. Wśród nich był również B. Orliński, którego mianowano starszym grupy. Do Anglii dotarli oni 7 grudnia drogą morską, płynąc statkiem z francuskiego portu Cherbourg do Southampton. Stamtąd zostali wysłani do ośrodka Wyszkozenia Naziemnego w Eastchurch, położonego na jednej z wysp u ujścia Tamizy do Morza Północnego.

Od marca 1940 r. do października 1946 r. wylatał w Wielkiej Brytanii na piętnastu typach samolotów bojowych, szkolno-treningowych i transportowych 1120 godzin 40 minut, w tym w latach 1940-1943, przed przejściem do dywizjonu 305, głównie jako instruktor 805 godzin 10 minut. W dywizjonie 305, którego był dowódcą w okresie od 1 sierpnia 1944 do 31 stycznia 1945 wylatał 246 godzin 50 minut, wykonując 49 lotów bojowych. Po ostatnim locie bojowym w styczniu 1945 r. wylatał jako oficer łącznikowy w latach 1945 i 1946 50 godzin 40 minut.

Orliński angażował się w najtrudniejsze akcje, wymagające mistrzowskiego kunsztu bojowego.

Przykładem precyzyjnego bombardowania z jednoczesnym ostrzelaniem celu z broni pokładowej był atak mieszanej grupy 12 samolotów Mosquito, w którym uczestniczyły załogi brytyjskie, francuskie, norweska, czeska i polska:

Orlińskiego z Lemieszonkiem. Zadanie było niezwykle. Chodziło o to, aby przeszkodzić Niemcom w wykonaniu publicznej egzekucji ok. 300 francuskich zakładników, która miała być wykonana na placu w Lille w płn. Francji. Oto przebieg tej akcji, we wspomnieniu nawigatora Jana Lemieszonka:

„Przygotowania odbywały się w głębokiej konspiracji przy całkowitej izolacji załóg wytypowanych na ten lot. Wywiad dostarczył szczegółowy plan przeprowadzenia egzekucji opracowany przez Niemców (dzień, godzinę, rozmieszczenie na placu zakładników, 500-osobowego batalionu egzekucyjnego i spędzonej na pokazówkę ludności Lille) i wiele innych szczegółów. Wytypowana dwunastka przygotowywała się i zgrywała przy specjalnie zbudowanej makiecie miasta, gdzie były oznaczone charakterystyczne punkty i ulice prowadzące do placu oraz – co było najważniejsze – miejsca rozmieszczenia balonów zaporowych nad miastem z uwzględnieniem kierunku odkształcania się lin, utrzymujących balony (według prognozowanego przez meteorologów kierunku i siły wiatru), pomiędzy którymi mieli lotem koszącym dolecieć do celu, ostrzelać i zrzucić na Niemców małe bomby odłamkowe.

Nalot odbył się oznaczonego dnia przy pięknej lipcowej pogodzie. Pierwszy samolot zaatakował o godzinie 10.55, dokładnie na 5 minut przed rozpoczęciem egzekucji, gdy już wszystko było zapięte na ostatni niemiecki guzik. Po nim atakowały następne w odstępach 15 sekundowych. My atakowaliśmy jako czwarta załoga. Doskonale widziałem zamieszanie na placu, uciekających ludzi i chowających się w bocznych uliczkach, odróżniali się wyraźnie od zielonoszarej masy batalionu egzekucyjnego, do którego kierowaliśmy ogień karabinów maszynowych, a na pożegnanie zrzuciliśmy im wiązanki eksplodujących orzechów.” Dzięki zegarmistrzowskiemu przygotowaniu uderzenia uzyskano pełne zaskoczenie i wszystkie załogi bez uszczerbku powróciły do bazy. Po trzech dniach dotarła tam wiadomość, że od pocisków i odłamków bomb około 30 Francuzów zginęło, 50 złapani Niemcy, ale ponad 200 uratowało się ucieczką. Z batalionu egzekucyjnego zginęło co najmniej 70 procent żołnierzy niemieckich.



Jan Lemieszonka (nawigator) i B. Orliński (pilot) tworzyli jedną załogę na „MOSQUITO”

Najbardziej znacząca, zuchwała i skuteczna była wyprawa 6 Mosquito odbyta w środku dnia 31 sierpnia 1944 r. Orliński jako jej dowódca wystartował z Lemieszonkiem o godz. 15.35. Celem było zbombardowanie i zniszczenie ogromnych zbiorników paliwa w miejscowości Nomeny,

100 km na północny zachód od Strasburga. Ćwierć wieku później Orliński tak pisał o tej wyprawie w liście do siostry na jej prośbę: „Polecieliśmy tam w dzień z Anglii. Jasio Lemieszonka nawigował, gdyż myśmy prowadzili wyprawę, razem 6 maszyn. Szwaby były jeszcze w Breście i Paryżu, choć alianci walczyli o przeprawy przez Sekwanę na północ od Paryża. Musieliśmy się przekraść bardzo nisko nad ziemią i morzem, by okrążyć Brest od zachodu a Paryż od południa i dostać się do wschodniej Francji, gdzie był nasz cel (mała stacyjka). Dolecieliśmy tam dzięki genialnej nawigacji Jasia i wysadziliśmy ogromne cylindry paliwa (...). Powróciliśmy cało do Anglii. Trzeba było cały prawie czas lecieć niziutko nad ziemią, żeby Szwaby na radarze nas nie złapali i myśliwce ich nas nie opadły. I tu właśnie Lemieszonka pokazał swój kunszt w nawigacji, gdyż orientacja z pomocą mapy trudniejsza jest na niskiej wysokości. Oto masz niezdarne opisy naszej udanej wyprawy na składy benzyny. Jeżeli rozłożysz przed sobą mapę południowej Anglii i Francji to znajdziesz w przybliżeniu, jaki szmat drogi musieliśmy się przekradać w jasny, słoneczny dzień, by do celu dolecieć. Cały lot trwał 4 godz. 20 min.”

Orliński nadlatując z zespołem na zbiorniki od południa, czyli od strony najmniej spodziewanej, wywołał chwilowe zaskoczenie artylerii niemieckiej. Wkrótce jednak w tym rejonie rozpętało się piekło. Jeden z samolotów został uszkodzony i z niesprawnym silnikiem wycofał się z walki. Orliński został trafiony pociskami obrony przeciwlotniczej nieprzyjaciela, rażącej nieustannie. Jedna z bomb zwolnionych przez niego eksplodowała milę od celu. W sumie załogi wyrzuciły 10 bomb 500 funtowych, dokonując podczas tej akcji trzykrotnego nalotu na zbiorniki i atakując cel dodatkowo ogniem działek i karabinów maszynowych. Ostatecznego dzieła zniszczenia dokonała załoga pil. s/l Stanisław Grodzicki i naw. f/o Adam Szajdzicki. Po celnym zrzuceniu ich bomby pojawił się czarny słup dymu, wysoki na 1 km wysokości. Zniszczono kompletnie 4 wielkie zbiorniki paliwa oraz mniejsze, przylegające do nich. W sumie poszło z dymem 13 mln litrów tak bardzo potrzebnego Niemcom paliwa. Wszystkie sześć samolotów wróciło szczęśliwie do bazy.

W nocy z 21 na 22 stycznia 1945 r. Orliński z Lemieszonkiem wzięli udział w swej ostatniej 49 operacji bojowej z udziałem 16 samolotów dywizjonu. Atakowali pojazdy nieprzyjacielskie na drogach i liniach kolejowych w rejonie Coesfeld, Dorsten, Wesel, Bochołt, Borken. Zniszczono trzy stacje kolejowe, ostrzelano konwój samochodów ciężarowych, wzniesając pożary, zbombardowano i ostrzelano trzy pociągi towarowe, zaatakowano stacje w Heiden i Dorsten. Jednakże i ich samolot został celnie ostrzelany, po raz piąty podczas ich lotów bojowych. Udało im się na szczęście wrócić do bazy.

W ten sposób Orliński przekroczył o 4 loty bojowe ówczesną granicę dopuszczalną dla dowódców dywizjonu. Jego loty operacyjne koncentrowały się na patrolowaniu i niszczeniu takich celów nieprzyjacielskich jak: obiekty wojskowe, szlaki komunikacyjne (żelazne, wodne, drogi, lotniska, przeprawy rzeczne, mosty), zbiorniki paliwa, wyrzutnie rakiet V1, cele specjalne i inne. Cele te leżały w Niemczech, Francji, Holandii i Belgii.

Z dniem 1 lutego 1945 r. w/cdr B. Orliński odszedł wraz z Lemieszonkiem na zasłużony odpoczynek, przekazując obowiązki dowódcy dywizjonu mjr. pil. Stanisławowi Grodzickiemu.

Opinie jego żyjących podwładnych m. in.: Erica Atkinsa, Waclawa Banaszuka, Arnolda Kleinera i Zygmunta Popławskiego są zbieżne: Orliński był niezwykłym człowiekiem, niezwykle prostolinijnym, szczerym, kochanym, zawsze dostępnym dla podwładnych, nad którymi górował doświadczeniem życiowym, pilotażem i odwagą. Był doskonałym dowódcą. Lubił kawę i lampkę koniaku. W wolnym czasie w kasynie przy drinku śpiewał pięknie rosyjskie romanse. Kochał latanie, które było w jego krwi. Wszystko, co robił dla podwładnych – robił po cichu, bez rozgłosu. Eric Atkins dodaje: „Orliński był dla nas legendą lotnictwa. (...) Nikt nie dorównywał mu kondycją. Był bardzo przystojnym gentlemanem o bystrym wyglądzie. Miał głęboko wpojone zasady obowiązku, honoru i hartu ducha. Budził bezgraniczne zaufanie”. O wspólnych przeżyciach tak wspominał po latach Jan Lemieszonok: „Bolek – to piękna postać kolegi, przyjaciela, lotnika i dowódcy. Wiele niezatartych momentów przeżyliśmy razem w samolocie i na ziemi. Momentów radosnych i smutnych, słonecznych i chmurnych, zwycięskich i bolesnych, trzeźwych i w stanie zamroczenia. W wyobraźni widzę piękną postać Bolka, o uroczym uśmiechu, lekko ociążałego w ruchach na ziemi a sprawnego i błyskotliwego w powietrzu.

Bolek – to bezsprzecznie wrodzony talent lotnika. Z tym uroczym człowiekiem, przyjacielem wykonaliśmy 49 lotów bojowych (bombowych) nad Niemcy i kraje okupowane. Wojna to straszna rzecz – to wielkie zło ludzkości, a jednak pozostawiła niepowtarzalne, niezatarte i rzewne wspomnienia. Lot bojowy – to częściowo narkotyk, upaja i przeraża i jak narkotyk pociąga i stwarza satysfakcję i chęć powtórzenia – to przeżycie! Słusznie chyba powiedział nasz Wieszczyk, że „dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte, jak dzieło tworzenia”. I tym także kierowaliśmy się latając podczas wojny”.

Bolesław Orliński kończąc latanie bojowe mógł wreszcie powrócić do żony, mieszkającej w Londynie.

Po odejściu z dywizjonu, Orliński otrzymał przydział do lotnictwa transportowego (5.II.1945), przy czym od 5.III do 23.III.45 przebywał w School of Air Transport RAF w Netheravon na specjalistycznym kursie. Od 26.III.45 Orliński został oficerem łącznikowym w HQ 46 Group Training Commd, gdzie pracował do 20.II.47.

8 maja 1945 r. skończyła się najokrutniejsza z wojen. Kronikarz dywizjonu 305 pisał: „Słowo „victory” jest na ustach wszystkich. Nie ma ono jednak swej mocy i treści tylko dla Polaków. Victory to przecież nie nasze, choć szliśmy do tego przez długie lata, choć życiem i krwią najlepszych synów Ojczyzny naszej do chwili tej, do dnia zwycięstwa, znaczyliśmy drogi.”

Marzenia aby polskie lotnictwo wróciło z Zachodu do Polski nie miało szans realizacji.

W roku 1948 Orlińscy wyjechali z Anglii do Unii Południowej Afryki, gdzie przebywali 5 lat po czym udali się do Kanady. Bolesław pracował w wytwórni samolotów De Havilland Aircraft jako referent zaopatrzenia do kwietnia 1967 r. tj. do przejścia na emeryturę. Po czterech latach rozpoczął pracę w Canadian Corps of Commissionaires w Toronto – organizacji weteranów wojennych, świadczącej usługi ochronne i pomocnicze w budynkach rządowych i bazach wojskowych. Tam pracował do września 1980 r. tj. do 82 roku życia. W roku 1987 zmarła na nowotwór jego żona. Od marca 1988 r. zamieszkał w domu spokojnej starości Wavel Villa w podtorontańskim ponad półmilionowym

mieście Mississauga. W wyniku wypadku przy próbie wsiadania na wózek inwalidzki doznał skomplikowanych urazów wewnętrznych, co było przyczyną jego śmierci 28 lutego 1992 r. Po kremacji prochy jego i żony spoczęły na cmentarzu Świętej Rodziny we Wrocławiu, gdzie jest pochowana również jego matka Eufemia oraz siostra Amelia. 25 metrów na zachód od grobu Orlińskich spoczęła na zawsze jego pierwsza miłość – dr muzykologii Maria Tomaszewska, zmarła 15 stycznia br. we Wrocławiu w wieku 98 lat. Przeniesienie zdecydowało o ich wiecznym zbliżeniu po śmierci.

Pośród niemal 93 lat życia Bolesław Orliński 53 spędził na emigracji. Pracował czynnie przez 61 lat, z których 20 poświęcił wojsku, służąc 1 rok i 7 miesięcy w armii rosyjskiej, 3 miesiące w armii ukraińskiej, 9 lat i 4 miesiące w wojsku polskim oraz 8 lat i 10 miesięcy w RAF i PSP w Wielkiej Brytanii. Jego służba wojskowa podczas obu wojen światowych oraz wojny polsko-bolszewickiej trwała również 8 lat i 10 miesięcy. Będąc polskim majorem miał angielski stopień Wing Commander.

Pilotem był przez 27 lat, w tym 2 lata i 2 miesiące latał jako pilot komunikacyjny, 10 lat i 1 miesiąc – jako pilot doświadczalny, pozostałe lata – jako pilot wojskowy. Rozległością dokonań lotniczych nie miał sobie równych wśród polskich pilotów. Okres jego życia obejmuje niemal wszystkie najważniejsze wydarzenia XX wieku. Jako czynny uczestnik i świadek przeżył również prawie wszystko, co ważnego działo się w minionej 80-letniej historii polskiego lotnictwa.

Bolesław Orliński spoczął na zawsze we Wrocławiu – mieście, z którym był związany licznymi przedwojennymi



Pomnik Bolesława Orlińskiego

lotami oraz więzami rodzinnymi po wojnie. Tu bowiem osiadła po wojnie jego matka Eufemia i siostra Amelia z mężem Konradem Kudrewiczem i ich córką Zofią.

Bolesław Orliński jest patronem 11. Pułku Myśliwskiego we Wrocławiu oraz Aeroklubu Wrocławskiego działającego na lotnisku Szymanów. Jego imieniem nazwano również jedną z wrocławskich ulic na osiedlu Gądów Mały.

Rok obecny, będący jubileuszem stulecia urodzin legendarnego pilota, wrocławskie środowisko lotnicze postanowiło uznać za ROK BOLESŁAWA ORLIŃSKIEGO, co jest okazją do licznych imprez popularyzujących tego wielkiego Kresowiaka, dla którego szczególnie atmosfera i duchowość wielonarodowościowego Podola a szczególnie rodzinnej Niverki i Kamieńca Podolskiego wywierały tęsknotę i żywe wspomnienia do ostatniego dnia jego życia. □

Bolesław Broś

Dr inż. Zbigniew Schneigert (1910-1998)



31 października 1998 r. zmarł w Zakopanem dr inż. Zbigniew Schneigert, postać-symbol odchodzącej już starszej generacji Lwowian.

Urodził się 30 marca 1910 r. we Lwowie, w rodzinie polskiej, ziemiańsko-wojskowo-urzędniczej, o korzeniach bawarsko-austriackich. W okresie I wojny światowej, po powrocie w 1916 r. z uchodźstwa w Austrii uczęszcza do prywatnej szkoły Braci Szkolnych przy ul. Lelewela we Lwowie. Ojciec Jego czynnie uczestniczy w 1918 r. w Obronie Lwowa i Przemyśla, a później w stopniu kapitana w wojnie polsko-sowieckiej w 1920 r., w tym w wyprawie kijowskiej.

W 1918 r. jako mały chłopiec dostarcza amunicję i posiłki na stanowiska obrońców na linii frontu. W 1920 r. rozpoczyna naukę w znanym VIII Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego, podówczas przy ul. Czarneckiego we Lwowie i w tymże roku wstępuje do najstarszej polskiej drużyny harcerskiej, I Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki. Warto nadmienić, że w harcerskim zastępie „Wilków” są z Nim razem m.in. Roman Palester, późniejszy wybitny kompozytor, Józef Zielicki-Grønberg, organizator konspiracji harcerskiej w 1939 r. we Lwowie, skazany w Moskwie na karę śmierci, uda mu się szczęśliwie wyjść z Armią Andersa z ZSRR, zastępca kierownika Oświaty II Korpusu, wybitny działacz emigracyjny we Francji i w Anglii, Zbigniew Haluza, uczestnik bitwy pod Monte Cassino, późniejszy konstruktor lotniczy w Argentynie, Mieczysław Fangor, późniejszy profesor uniwersytecki w Kanadzie, Mieczysław Piastun, rozstrzelany w 1941 r. przez Niemców we Lwowie, i inni.

W 1928 r. wstępuje na Wydział Inżynierii Lądowej Politechniki Lwowskiej. Zostaje członkiem korporacji akademickiej „Leopolia”, członkiem Polskiego Akademickiego Związku Zbliżenia Międzynarodowego, prezesem lwowskiego oddziału tego Związku oraz wiceprezesem Zarządu Głównego w Warszawie. Wyjeżdża podówczas często do krajów Europy Środkowej i Zachod-

niej oraz na Bliski Wschód. Przygotowuje wyprawę na Kilimandżaro, najwyższy szczyt w Afryce, która ze względu na zbliżającą się wojnę nie dochodzi do skutku.

W roku 1935 bierze udział w pierwszym rejsie „Zawiszy Czarnego” pod komendą gen. Mariusza Zaruskiego na trasie: Gdynia-Londyn-Antwerpia-Amsterdam-Gdynia, który to rejs opisze w swoich reportażach.

Jest stypendystą Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej dla studiów nad budową schronów. W okresie przed II wojną światową dużo publikuje, m.in. w „Życiu Technicznym”, którego jest współredaktorem, w „Podchorążym”, „Polsce na Morzu”, „IKC” i innych.

W 1938 r. składa egzamin dyplomowy na Wydziale Inżynierii Lądowej Politechniki Lwowskiej. Wcześniej jednak, od prawie 2 lat pracuje zawodowo przy budowie obiektów fabryki samolotów w Mielcu. Mobilizacja w 1939 r. zastaje Go na budowie lotniska w Krośnie. Wraca do Lwowa, do właściwego DOK, lecz nie zostaje już wcielony do wojska. Mając poważne obowiązki rodzinne nie opuszcza Lwowa we wrześniu 1939 r. Po zajęciu Lwowa przez Sowieców na apel o poszukiwaniu inżynierów budowy dróg zgłasza się i zostaje zatrudniony przy robotach drogowych na drogach: Lwów-Równe, Lwów-Przemyśl i Lwów-Podwoleczyska. Jak okazało się były to prace do których wykorzystywano jeńców polskich z obozów nadzorowanych przez NKWD, umieszczonych wzdłuż tych dróg. Ostatnim Jego obiektem na wiosnę 1941 r. była budowa mostu na rzece Wiar k. Przemyśla. Obserwując olbrzymie nagromadzenie wojska i sprzętu wojskowego wzdłuż linii demarkacyjnej niemiecko-sowieckiej, wiedziony intuicją ucieka z miejsca pracy ratując w ten sposób życie, gdyż po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej cały personel techniczny zatrudniony przy budowie tych dróg został rozstrzelany przez NKWD, a w ślad za tym wymordowani zostali prawie wszyscy jeńcy polscy. W tym samym czasie rodzina Jego we Lwowie, przeznaczona do wywózki w drugiej połowie czerwca 41 r., ocalała również w wyniku uderzenia wojsk hitlerowskich na ówczesny ZSRR. Próby upamiętnienia tragicznych losów jeńców polskich podjęte przez Niego po wielu latach natrafiły na całkowitą obojętność właściwych, powołanych ku temu instytucji. Opublikował kilka artykułów na ten temat, w tym pracę pt.: „Obozy NKWD jeńców polskich w Małopolsce Wschodniej w latach 1939-1941” w Wojskowym Przeglądzie Historycznym (Nr 4 – 1992 r.). We wrześniu 1995 r. poproszono Go o odsłonięcie tablicy pamiątkowej na cmentarzu wojskowym w Przemyślu,

upamiętniającej męczeństwo jeńców polskich zamordowanych przez NKWD.

Po zajęciu Lwowa przez Niemców w 1941 r. napotkany kolega Niemiec ze studiów zaproponował Mu pracę w Zarządzie Dróg. W Zarządzie tym pracował nieomal do ponownego wkroczenia Sowieców do Lwowa w 1944 r. Praca ta umożliwiła Mu m.in. zatrudnienie tam i ochronę wielu zagrożonych Polaków i współpracę z podziemnymi strukturami Państwa. Świadomy tego, czego może oczekiwać od Sowieców pod koniec okupacji niemieckiej we Lwowie, wyjeżdża do Krakowa, a stamtąd do Częstochowy. Po opuszczeniu przez Niemców Krakowa wraca tam i spotyka ówczesnego wiceministra Komunikacji S. Okęckiego i innych kolegów ze studiów, którzy namówili Go do podjęcia pracy w Delegaturze Ministerstwa Komunikacji.

Z ramienia Delegatury obejmuje 23 lutego 1945 r. stanowisko wpiętych komisarza, a następnie dyrektora Polskich Kolei Linowych w Zakopanem i Krynicy. 1 kwietnia 45 r. uruchamia kolej na Gubałówkę, 1 lipca 45 r. kolej linową na Kasprowy, oraz w 1946 r. wyciągi w Krynicy. W okresie stalinowskim, w 1950 r., zostaje odwołany ze stanowiska dyrektora PKL. W 1953 r. inicjuje i realizuje budowę kolei gondolowej na Szyndzielnię. Z ramienia Komitetu do Spraw Turystyki buduje wyciąg krzesełkowy na Skrzyczne. W 1955 r. zakłada w Zakopanem Biuro Projektów Kolei Linowych. W latach 1959-1966, jako dyrektor Przedsiębiorstwa Wyciągów Turystycznych buduje w Sudetach wyciągi na Małą Kopę (1960 r.) i na Szrenicę (1962 r.) oraz wyciąg narciarski na Hali Kondratowej (1962 r.), jak również wyciąg krzesełkowy na Czantorię.

Pracuje jako konsultant dla wielu instytucji zagranicznych. Bierze aktywny udział w międzynarodowych kongresach w zakresie swojej specjalności: w Rzymie, Paryżu, Oslo, Turynie, Lucernie. Wykonuje projekty ofertowe kolei linowych dla Gibraltaru, Ben Nevis w Szkocji, na Mokatan w Kairze, na Santorin w Grecji oraz na wyciągi narciarskie w Libanie. Wykonuje wiele projektów kolei linowych w kraju, m.in. na Jaworzynie w Krynicy, na Pilsko i na Rakoń. Wspólnie ze stroną czechosłowacką opracowuje projekt kolei jednoszynowej na trasie: Podczerwone-Zakopane-Łysa Polana-Tatrzańska Łomnica, z odgałęzieniami do Kuźnic, Doliny Kościeliskiej i Chochołowskiej.

W latach 1957-1960 prowadzi wykłady w zakresie swojej dyscypliny na Politechnice Warszawskiej. Jest pracownikiem naukowym Centralnego Ośrodka Badań i Rozwoju Techniki Kolejnictwa. Politechnika Wrocławska czyni starania o pozyskanie Go jako samodzielnego pracownika naukowego. Niestety, nie mogła Mu w tym czasie zapewnić odpowiedniego mieszkania we Wrocławiu. W 1966 r. otrzymuje stopień doktora nauk technicznych, a Jego formalnym promotorem jest słynny profesor Oktawian Popowicz. Otrzymuje w tym okresie medal Edukacji Narodowej oraz nagrodę I stopnia Ministerstwa Edukacji.

Pasją Jego od czasów lwowskich są góry. Po osiedleniu się w Zakopanem odbywa wiele eksponowanych wspinaczek w Tatrach, w tym kilka pierwszych wejść. Pisze wraz ze Zwolińskim pierwszy po wojnie informator o Tatrach. W latach 1945-1950 jest wiceprzewodni-

czącym Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Zakopanem i członkiem Zarządu Głównego PTT. Pracuje aktywnie w GOPR, a jako dyrektor PKL finansuje dysżury GOPR na kolejach linowych. Projektuje konstrukcje schronisk na Hali Gąsienicowej, w Dolinie Pięciu Stawów i w Dolinie Chochołowskiej.

Jest autorem ponad 500 opublikowanych prac: z zakresu kolei linowych i niekonwencjonalnych, z różnych dziedzin techniki, broni nuklearnej, wielu prac historycznych, reportaży podróżniczych i innych. Prace Jego były publikowane w 7 językach. Jest autorem 8 publikacji książkowych. Dwie z nich:

– *Télé feriques et transporteurs aériens*, – 1964, Paris, Eyrolles oraz

Aerial Ropeways and Funicular Railways, 1966, Oxford, Pergamon, rozślawiły Jego nazwisko w świecie naukowo-technicznym Zachodu.

Od 1980 r. zajmuje się zagadnieniami broni nuklearnej, publikując na ten temat wiele artykułów oraz dwie książki: „Broń i strategia nuklearna” (1983, 1984 – dwa wydania) oraz „Zagrożenie z kosmosu” (1986 r.).

W 1980 r. zakłada w Zakopanem Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa, pełniąc również okresowo członkostwo w Zarządzie Głównym TML.

Od 1920 r. był silnie związany z Harcerstwem. Od czasu utworzenia w 1976 r. Kręgu Byłych Skautów – Harcerzy Najstarszej Polskiej Drużyny Harcerskiej I Lwowskiej im. Tadeusza Kościuszki aktywnie uczestniczy w jego działalności, biorąc m.in. udział we wszystkich dorocznych Spotkaniach do roku 1996 włącznie. Przyjeżdżał zwykle ze swoim ulubionym psem Doną, owczarkiem alzackim. Wygłaszał często znakomite referaty, zadziwiając wszystkich fenomenalną pamięcią, nie korzystając nigdy z notatek lub innych pomocy.

W ostatnich dwóch latach swojego życia zaczynają nękać Go różne choroby, uniemożliwiając dalsze wyjazdy poza Zakopane. Jest częstym pacjentem w szpitalu. Z filozoficzną refleksją znosi dolegliwości chorobowe, pracując nadal intensywnie i prowadząc ożywioną korespondencję. Pisze i publikuje liczne artykuły. Na zamówienie Towarzystwa Historii Techniki pisze książkę-essay pt.: „Nieznane karty z budowy kolei linowych”, której zaawansowanie na koniec roku 1997 ocenił na ok. 80%.

Swoje niezmiernie bogate i ciekawe życie opisał we wspomnieniach pt.: „Takie to było życie pomieszane”, zawartych na 550 stronach maszynopisu, które ze względu na kłopoty finansowe wydawnictwa, które je zamówiło, niestety nie ukazały się drukiem.

W swoim postępowaniu nie tolerował błagi i nadmiernego patosu. Od długiego już czasu oczekiwał spokojnie na kres swojej wędrówki życiowej, żartując niekiedy w korespondencji na temat zbliżającego się końca.

W ostatnim swoim liście do mnie napisanym na tydzień przed śmiercią – na który nie zdążyłem już odpisać – nic nie wskazywało na to, że ten koniec jest tak bliski.

Odszedł od nas Człowiek niezwykłego twórczego umysłu, o niespotykanej prawości charakteru, tytan pracy i ofiarny społecznik, który długo będzie trwał w naszej pamięci. Odszedł od nas wielki Lwowianin. □

Stan Scheller

Obrońcy Lwowa w czasach pokoju (I)



Obrońca Lwowa Józef Scheller w połowie lat trzydziestych

Losy uczestników wojen w czasach pokoju bywają bardzo różne. Zwykle jednak trudne, powikłane, niekiedy tragiczne. Adaptacja do nowych warunków, przestrojenie wewnętrznych doznań ze skali: „burzowo, huragany” na: „bezwietrznie, ładna pogoda” często okazuje się niemożliwe. Wówczas bohaterowie zdarzeń, którzy na wojnie jakże często znajdowali się w ekstremalnych sytuacjach, rzucając w siełankę normalnego, pokojowego życia niekiedy tracili grunt pod nogami i wypadali poza obszar przyjętych powszechnie norm zachowań, wpadając w alkoholizm, narkomanię czy inne aberacje psychiczne. Tak, narkotyki były już wówczas, choć wybór ich był znacznie mniejszy niż dziś, ograniczony do opium, morfiny i kokainy.

Przeżycia i losy takich – przeważnie młodych – wykończonych chyba najlepiej opisał Remarque w „Drodze powrotnej”, a w literaturze polskiej Andrzej Strug w „Mogile nieznanego żołnierza”, wspomniany przeze mnie autor „Rdzawych blasków”, częściowo Sergiusz Piasecki w swej „Iotrzykowskiej trylogii”, a także wielu innych.

Moi przodkowie, którzy przeżyli wojnę, wylądowali w pokojowej rzeczywistości „międko”, bez wstrząsów i egzystencjalnych bólów. To byli psychicznie mocni ludzie. Dziadek powrócił do pracy na swoje stare miejsce na kolei, Ojciec również uchwycił się kolejowej kłamki. Teraz opłaciła mu się wyprawa wojenna w towarzystwie książek wożonych na jaszczach armat i uporczywa nauka w każdej wolnej chwili, często po nocach, przy lampach naftowych czy ogarkach świec. Zaraz po wojnie został przyjęty jako „student” do zreorganizowanego gimnazjum dla weteranów. Pracując i ucząc się intensywnie, wkrótce, bez problemów zdał maturę.

W PKP przyjęto go do służby ruchu, gdzie wykazał się szeregiem potrzebnych tam zdolności, a jako weteran dwóch wojen młody, zdrowy i energiczny, a w dodatku wykształcony (matura, to w tamtych czasach było coś!) i perfektnie znający niemiecki szybko awansował, uzyskując w krótkim czasie stanowisko (tak, to wówczas było stanowisko) dyżurnego ruchu na dworcu głównym Lwowa, zakwalifikowany w wysokim stopniu funkcyjnym. Na tym stanowisku pozostał do początków bolszewickiego panowania we Lwowie, kiedy to... ale o tym za chwilę.

Tymczasem cieszył się życiem. Jako nieuleczalny optymistę wydobywał z każdej sytuacji jej dobre elementy. Lubił

ludzi, którzy odpłacali mu z nawiązką tę otwartą życzliwość i manifestowaną uśmiechem ofertę przyjaźni. Szczególnie żeńska część. Było to o tyle łatwe, że był bardzo przystojny...

Praktycznie nie miał wrogów, a drobne urazy puszczał płazem i nie miał zwyczaju mścić się. Żył w swoim Lwowie, wśród bliskich – rodziny, kolegów – i to już była pełnia szczęścia. Był zdrowy, szanowany, miał własny dom – czegoż można chcieć więcej od życia? Choć miał kilkakrotne propozycje awansu, zdecydowanie odmawiał. Wiązały się one bowiem z przeniesieniem poza Lwów, gdy tymczasem tu była Jego ojczyzna i Jego miejsce na Ziemi! Bardzo lubił swoją pracę, dającą mu możliwość kontaktów z różnymi często ciekawymi ludźmi, a także sytuacje, w których mógł się sprawdzić. Jedno z takich zdarzeń przechowałem w zakamarkach pamięci.

Ta sprawa wydarzyła się w drugiej połowie lat trzydziestych. Na peronie dworca stał międzynarodowy expres, w którym jeden wagon zajmowali młodzi Niemcy. Większość z nich była ubrana w piękne, brązowe koszule stanowiące deklarację i manifestację hitlerowskich sympatii lub wręcz: przynależności do SA¹⁾. Było lato, z otwartych okien wagonów wychylały się postacie podróżnych. W pewnej chwili na peronie pojawił się stary, brodaty i pejsaty Żyd w czarnym chałacie. Szedł powoli wzdłuż pociągu, zaglądając do okien, wyraźnie poszukując wolnego miejsca. Zupełnie nieoczekiwanie z niemieckiego wagonu wyskoczył przez okno młody człowiek, dopadł do Żyda i otwartą dłonią, z całej siły uderzył go w twarz. Konsternacja, krzyk uderzonego, głosy oburzenia świadków zdarzenia, piekielna awantura, policja. Ojciec zjawił się natychmiast. – Warum haben Sie diesem Mann geschlagen? – spytał Niemca. – Das ist doch kein Mann, das ist ein Jude! – odpowiedział uśmiechnięty napastnik. Ojciec kazał go aresztować policjantowi przysłuchującemu się tej wymianie zdań. Nic z tego! Tłum kolegów napastnika z krzykiem otoczył go i uprowadził do pociągu.

No i tu Ojciec pokazał klasę! W krótkim czasie wagon został odczepiony, wyłączony ze składu pociągu i odstawiony na boczny tor, daleko poza budynkiem dworca. Przy pociągu stanęła warta policyjna. Pasażerom nie wolno było wychodzić, a więc areszt – „wagonowy”! Zapachniało międzynarodowym skandalem.

Nie pamiętam, jak się ostatecznie ta sprawa zakończyła, ale chyba po myśli Ojca. Przez parę dni był wyraźnie usatysfakcjonowany, podśpiewując i pogwizdując – no, jakżeby inaczej! – walce Straussa. Trudno było się dziwić! On był zdeklarowanym zwolennikiem porządku i prawa, a ponadto nie znosił, by Mu ktoś „w kaszę dmuchał”. Był wyjątkowo silnym mężczyzną nie tolerującym prześladowań słabszych, tymczasem doszło do skandalicznego naruszenia prawa, porządku i dobrych europejskich obyczajów: stary człowiek został bez powodu pobity i upokorzony przez gówniarza!

Dodatковым elementem w tej sprawie był fakt, że w obrębie dworca Ojciec był najwyższą władzą i odpowiadał również za utrzymanie ładu i porządku.

Gdy patrzę dziś na nieprawdopodobny bałagan, brud i chamstwo panoszące się w znamienitej większości obiektów kolejowych, szantaże strajkowe, niekompetencję itp., itd. ogarnia mnie żal i nostalgia za tamtymi latami świetności tego omalże autonomicznego księstwa, jakim były PKP. Wiele innych kolei nie tylko europejskich, w tym także ponoć kolej niemiecka – szukały tutaj wzorców do naśladowania. To wzbudzało dumę i poczucie własnej wartości kadry w granatowych mundurach, od elity – maszynistów poczynając, na sprzątaczkach kończąc.

Ojciec nie spodziewał się burzy, która pewnego dnia rozpełtała się nad Jego głową. Został nieoczekiwanie wezwany do Dyrekcji, do któregoś z wódzów tej instytucji. Tam zapytano Go krótko, czy jest identyczny z tym Józefem Schellerem, który jest zapisany wraz z bratem Franciszkiem w brulionie obrońców szkoły Sienkiewicza? – Tak, to ja, potwierdził Ojciec. – To czemu, do jasnej cholery nie figuruje pan ani na liście Związku Obrońców Lwowa ani na liście poległych?! – rozpieklił się dyrektor. – Dlatego – powiedział Ojciec – że jestem urzędnikiem PKP i nie będę w jednej organizacji z tymi, którzy przed wojną kradli węgiel na kolei²⁾. Teraz dopiero rozpełtało się pandemonium. Na pomoc dygnitarzowi przybiegło jeszcze kilku jego fagasów (oczywiście tacy byli zawsze, choć wówczas nie byli tak liczni jak obecnie i nie mieli aż takich szans jak dziś, by wywindować się na jakieś wysokie stanowisko), którzy – podlizując się szefowi – napadli na Ojca usiłując skłonić Go do uległości. Nikt z nich bowiem nie potrafił zrozumieć Jego motywacji.

– Zrobiłem, co do mnie należało i teraz nie chcę z tego czerpać żadnych korzyści. Proszę mnie zostawić w spokoju – odpowiadał niezmiennie Ojciec. Zostawili Mu jakiś czas do namysłu. W przeciągu iluś tam dni sprawa się jednak rozniosła i nabrała rozgłosu. Dużo nasłuchiwałem się na ten temat w domu, dokąd przychodzili koledzy i znajomi, a także krewni Ojca, szermujący różnymi argumentami – w tym dobrem „dzieci” (czyli moim i dopiero co urodzonego brata), objeżdżając Go przytem niemilosiernie. Jego argumenty, że nie zrobił niczego dla jakichkolwiek profitów, że tylko spełnił swój „psi obowiązek” tylko w pewnym stopniu trafiły do agitatorów, którzy – chyba trochę słusznie – uznawali, że należy Mu się jakaś forma uznania i wściekali się na Jego przesadną skromność. W końcu, po jakimś czasie Ojciec jednak uległ i zapisał się do Związku, ale dopiero wówczas, gdy jednoznacznie zagrożono Mu szykanami, zarzucając „brak poczucia obowiązku (!), brak patriotyzmu” itp. bzdury.

Drogi Czytelniku, który jesteś świadkiem współczesnej, powszechnej licytacji zasług prawdziwych, czy (częściej) wymyślonych, racji rzeczywistych, czy (przeważnie) wydumanych, bezczelnego pędu miernot z wściekle rozmnożonej, duchowej progenitury Nikodema Dyzmy do stanowisk, zaszczytów i władzy, dającej wygodne, bezpieczne miejsce przy korycie, otóż drogi Czytelniku: jeśli w dodatku jesteś z mojego pokolenia „młodszego brata Kolumbów”, czy sprawi Ci dużą trudność przywołanie pamięci o ludziach tamtej generacji, którzy potrafili rzucić na szalę wszystko, a potem wycofać się bez rozgłosu i bez czekania na nagrodę, bo tak dyktowało im szlachectwo charakteru? Czy naprawdę nie zapomniałeś i pamiętasz takie egzemplarze ludzkie?

Na to jednak trzeba było mieć także trochę godności i dumy. Jestem pełen obaw, czy współczesne, młodsze pokolenia aby na pewno wiedzą, co znaczą te słowa? Te cechy

(dodając jeszcze bezinteresowność) były wtedy omalże regułą, choć i wówczas trafiały się podle duszyczki. Tyle, że nie w tak masowej skali jak dziś, gdy „ilość” przeszła w jakże parszywą „jakość”!

Nigdy nie słyszałem by Ojciec użył słowa: „patriotyzm”. Chyba drażniło Go, jak szereg podobnych, obiegowych frazesów. Bał się dewaluacji słów i niektóre z nich starał się chronić przed zużyciem. Organicznie nie znosił patosu i pustosłowia, nazywając je austriackim (tu Babcia-Austriaczka skwapliwie potakiwała) lub polskim gadaniem. Był na śmierć odurzony Lwowem lecz nigdy nie mówił o tym. Zapewne na tej zasadzie, na jakiej wrażliwi ludzie zwykle milkną, gdy mowa o wielkich, prawdziwych uczuciach, uznając obnażanie ich za psychiczny ekshibicjonizm. Czy pamiętacie te złożone, pokrętne uczucia Wy piękne dziewczęta lwowskie? A Ty śliczna konduktorko tramwajowej „siódemki”, czy pamiętasz błysk oczu i cieliący zachwyt milczącego szczeniaka jeżdżącego z Tobą uparcie przez cały Lwów?

W Ojcu uczucia do Lwowa nieodmiennie wyzwały potrzebę konkretności, a nie – gładzenia o konkretności.

Nigdy nie nosił swych licznych odznaczeń bojowych (wśród których był kilkakrotny Krzyż Walecznych) bo nie znosił również ostentacji. Z odznaczeń był bardzo dumny, tyle, że po cichu. Jako dziecko bawiłem się Jego medalami, zachowując zresztą pełen pietyzm. Jak one pobudzały wyobraźnię! Pozostały w skrzyneczce, zamurwane w ścianie naszego lwowskiego domu.

Nieraz myślę, że podobna awantura wybuchłaby pewnie także o Dziadka. Tyle, że On nie był w szkole Sienkiewicza, a Jego udział w budowie pociągu pancernego na dworcu, w czasie zaciekłych walk o ten obiekt, jakoś przeoczono. Odznaczono Go „tylko” medalem Orła, o czym zresztą dowiedziałem się dopiero na Jego pogrzebie gdy w zimie 1942 roku chowaliśmy Go na cmentarzu Janowskim.

Tak więc jedynie dwóch Schellerów: Józef i Franciszek jest wymienionych w trzecim tomie serii „Obrona Lwowa” (Reprint: Warszawa, 1994), na stronach 247 i 404.

Wybuch wojny zaskoczył Ojca. On w tę wojnę zupełnie nie wierzył! Niemieckie bomby, zrzucone 1 września na Lwów we wczesnych godzinach przedpołudniowych zbudziły go z różowych snów i przywołały do rzeczywistości.

– A jednak ten kretyn (mowa o Hitlerze) odważył się! Dostanie za to po kulach!³⁾ – To proroctwo miało się w końcu spełnić, ale nikt wówczas nie przewidział, po jakim czasie i za jaką cenę!

O wojnie, która wybuchła przed 1 września 1939 przed świtem, Lwów dowiedział się dopiero przed południem (wówczas nie było jeszcze nawyku ustawicznego słuchania radia!), gdy na niebie pojawiło się kilkanaście bombowców niemieckich.

Pierwsza bomba spadła w pobliżu Dworca Głównego, trafiając w ... burdel⁴⁾. Ładnie się więc dla nas, Lwowiaków zaczęła ta wojna...

Ojciec, który był pewnego czasu zmobilizowany, pozostał na służbie do końca, czyli wejścia sowietów. Nowy „chlebowadca” od początku bardzo Mu nie odpowiadał (czyż można było się dziwić?), a wprowadzanych nowych porządków nie mógł po prostu ścierpieć. Rosła w nim złość i pogarda do tej szarańczy⁵⁾, która wszedłszy do tak świetnie zorganizowanej i ze sprawnością szwajcarskiego zegarka pracującej kolei rozpanoszyła się i na zasadzie mały napra-

wiającej komputer w krótkim czasie doprowadziła do chaosu i brudu jak zresztą we wszystkim, czego się tknęli. Już sam ich widok budził grozę. Masa ludzka, złożona z nie dających się odróżnić osób tej samej płci, „zakutane” po czubek nosa kobiety i dzieci, tata „komandir” w szarym lub brązowym nieobrubionym szynelu, cały dobytek opakowany w toboł sporządzony ze zrulowanej kołdry z obowiązkowo uwiązany na sznurku osmolonym czajnikiem – a więc z całym dobytkiem. To wszystko leżące na zabłoconych podłogach peronów i poczekalni dworcowych (nigdy nie przypuszczałem, że we Lwowie jest tyle błota!) skrajnie umordowane, milczące i śpiące. No i ten nieodmienny, stały smród odwyszalni, które „sowiecka władza” uważała za szczyt osiągnięć cywilizacyjnych⁶⁾. Ten właśnie tłum idealnie pasował do opisu Mongołów z książki Parnickiego: „Aecjusz, ostatni Rzymianin”. Tak wyglądali nasi najeźdźcy, którzy uosabiali dla mieszkańców Lwowa i całej zagrabionej połowy Polski najgorsze zło. A jednak budzili litość i żal, szczególnie te milczące dzieci i ich zmaltretowane, zrezygnowane matki o pustych oczach. Tak czysto po ludzku to i tych przygaszonych i milczących oficerów też było mi żal (nie byłem tu zresztą wyjątkiem). Zdawałem sobie sprawę z idiotycznej ambiwalencji uczuć: przecież to oni zadali nam zdradziecki, podły cios w plecy w dniu 17 września 1939 roku, to oni wywozili setkami tysięcy naszych ludzi na Sybir (w tym dużą część mojej rodziny), oni sprowadzili na nas nędzę i głód, oni mieli wymordować więźniów we wszystkich więzieniach z chwilą ataku Hitlera – co miało dopiero nastąpić. Wszystko: oni i oni. A jednak widok tych ludzi w tak nie-ludzkiem utrudzeniu i poniżeniu budził litość i nie dawał najmniejszej satysfakcji. Dopiero po wielu latach miałem się przekonać, że „oni”, rozpatrywani indywidualnie w skali pojedynczego człowieka bywają często miłymi i serdecznymi ludźmi (zawsze jednak bałem się sprawdzić, jak dalece sięga ta ich serdeczność) i tylko w swej masie tworzą nową, jakże groźną i niebezpieczną jakość! Zupełnie odmiennie od nas Polaków, którychomalże cały świat uważa za wspaniały naród, lecz większość mieszkańców Matki-Ziemi unika jak może bliższych kontaktów z pojedynczymi egzemplarzami tego naszego wspaniałego narodu! Czy rzeczywiście wysłanie do Polski tej szarej, amorficznej masy (i ponoć kryminalnej zbieraniny) było celową polityką ich „prawitielstwa” – nie wiem. Przytaczam tu tylko tę obiegową opinię bez żadnej gwarancji, bo na szczęście nie miałem wówczas okazji poznać pozostałej w tym pięknym kraju reszty jego populacji. Zdarzyło mi się to dopiero po kilkudziesięciu latach, gdy wraz z grupą studentów zostałem wysłany do ojczyzny „realnego socjalizmu”. Tyle, że wówczas już przestały mnie interesować „zaprzęsłe” analizy socjologiczne lwowskich „czubaryków” z lat 1939-41: skupiłem się bowiem wyłącznie na zdaniu egzaminu w tej mojej jednomiesięcznej szkole przetrwania...

Ojciec nie mógł ścierpieć „stylu” ich pracy: obłąkanej dezorganizacji i bałaganu, rozmycia kompetencji i ustawicznego wtrącania się postronnych „ludzi sowieckich” w Jego działania. To groziło bowiem czymś, czego bał się najbardziej: katastrofą kolejową, którą nazywał po swojemu „karambolem”. Taka sytuacja nie mogła trwać wiecznie. Któregoś dnia eksplodował. Gdy do biura wtoczył się kolejny, obwieszony medalami i ziejący wodą czubaryk⁷⁾ – jak się potem okazało „Stachanowiec”⁸⁾, wykrzykujący jakieś polecenia, z których Ojciec zrozumiał tylko słowo „sabotaż” – doskoczył do niego i chwyciwszy dłonią za twarz (miał te

łapska odpowiednio duże) uderzył nim kilkakrotnie o ścianę, a następnie kopniakiem wywalił za drzwi. Skamieniałe ze strachu otoczenie nie wydusiło ani słowa. To był koniec. Dyszący wściekłością, zapewne błady (zawsze bładł w chwilach złości), spakował swoje osobiste drobiazgi i po prostu sobie poszedł. Zniknął z horyzontu (miał w tym niezłą wprawę z I wojny światowej) i pojawił się dopiero w przeddzień wybuchu wojny niemiecko-bolszewickiej.

Wczesny ranek tego czerwcowego dnia zapamiętałem nie tylko ze względu na wściekły ogień sowieckiej artylerii przeciwlotniczej zmieszany z rykiem lecących niezbyt wysoko bombowców niemieckich, ale także ze względu na „fackę”⁹⁾ jaką oberwałem od Ojca. Samoloty przelatywały nad naszym domem, gdy wyskoczywszy na balkon, wrzeszcząc odtączyłem taniec radości. Wreszcie dostają w d...!!!

Ojciec uderzył mnie nie ze względu na dzwoniące po dachach odłamki, ale z uwagi na sąsiedztwo: w domu obok mieszkał NKWD-zista, a to było dużo gorsze od kalectwa, czy śmierci od odłamka! Tamten jednak albo nie słyszał, albo miał już poważniejsze zmartwienie: jak zwać ze Lwowa, gdzie cała ludność dyszała nienawiścią do nich?

Po tygodniu Niemcy byli we Lwowie. Niestety nie widziałem ich wejścia. Ojciec mi nie pozwolił... Stojąc z Rodzicami przed naszym domem słyszeliśmy tylko krzyk tłumów witających niemieckie czołgi i oddziały (oczywiście zmotoryzowane) przejeżdżające niezbyt odległą ulicą Gródecką. Dla witających, podobnie zresztą jak i dla ogromnej większości mieszkańców Lwowa (no, może z wyjątkiem nieuleczalnych komunistów) sam diabeł był bardziej straszny od Sowietów. Nie widziałem też więźniów, które pozostawili po sobie: „Brygidek” na Kazimierzowskiej i więzienia na Łąckiego. Okropny smród rozkładających się stosów trupów już z dużej odległości od ulicy Łąckiego odebrał mi chęć obejrzenia tej hekatombi. Tego nawet po dwu i półrocznym przeżywaniu koszmaru sowieckiego nikt się nie spodziewał! Jakże celne okazało się tu polskie przysłowie z okresu powstań: „gdzie wejdzie Moskał, tam krew staje się tańsza od wody”.

Wkrótce po wejściu Niemców Lwów obiegła nowa, budząca grozę wieść o rozstrzelaniu na wzgórzach Wuleckich grupy prominentnych Profesorów lwowskich. Wieść o tyle straszna, o ile zaskakująca i zupełnie nedorzeczna: zabijać ludzi nauki, to jakby niszczyć cenne dzieła sztuki, czy inne, szlachetne wytwory umysłu ludzkiego. To gorsze niż zbrodnia, to okropny błąd! Okazało się to jednak straszną prawdą, wołającą o pomstę do nieba. Miasto odrętwiało ze zgrozy. Po sympatycznych Tyrolczykach czy Bawarczykach, którzy jako pierwsze oddziały Wehrmachtu weszli do Miasta, Lwów poznał budzące grozę słowo: „Gestapo”, któremu przypisano ten bezsensowny mord. Dopiero w dłuższy czas po wojnie wyszła na jaw nazwa sprawców: batalion „Nachtigal” („Słowik”). Był to oddział specjalny, złożony prawdopodobnie ze skrajnych szowinistów ukraińskich (którzy ponoć mieli naprowadzić Niemców na trop tej „niebezpiecznej” grupy Polaków) i ich przypuszczalnego dowódcy – o ile pamiętam – Oberländera. Trzykrotnie użyłem tutaj słów trybu warunkowego, ale podstawowa uczciwość nakazuje podobne zastrzeżenia, gdy nie zna się pełnej prawdy. A ja jej nie znam do dziś i nic nie mają do rzeczy późniejsze, jakże okrutne mordy, ówczesne czystki etniczne dokonywane przez Ukraińców na ludności polskiej. Dziwne, że dotąd nikt nie określił tego właściwym mianem: polski holocaust.

Ojciec początkowo wrócił do pracy na kolei, lecz w krótki czas potem zwolnił się. – Nie będę dla nich pracował – orzekł. Kolej – co rozumiałe – była jednym z absolutnych priorytetów hitlerowskiej maszyny wojennej: „Räder müssen rollen für den Sieg” („koła muszą toczyć się dla zwycięstwa”), brzmiało propagandowe hasło, rzucające się w oczy dosłownie wszędzie. Ojciec widać uznał to nie za swoją sprawę, bo poszedł pracować do firmy Siemens-Gröger, gdzie zatrudniono Go jako tłumacza. Był jedynym Polakiem wśród Austriaków i Niemców i choć na legitymacji służbowej przybił sobie dużymi literami słowo: POLE, nie uchroniło go to od komicznych nieporozumień. Mówił perfekcyjnie po niemiecku z wyraźnym akcentem wiedeńskim (i to był ten jedyny przypadek gdy tracił lwowski zaśpiew), nazywał się Joseph (tak Mu pisano imię), a więc komu z wizytujących firmę mogłoby przyjść do głowy, że ma do czynienia z Polakiem? Wchodzącym interesantom na oficjalnie: – „heil Hitler” – odpowiadał śpiewnie – „grüss Gott”. Wysłuchiwał coraz częstszych (w miarę niepowodzeń na frontach) narzekania i zapewnień, że: – my, Niemcy powinniśmy się mocno trzymać razem, odpowiadając niezmiennie: my, Polacy też staramy się trzymać mocno. Początkowo szokował tym współpracowników (głównie Austriaków, którzy wiedzieli, że Babcia jest Austriaczką) lecz potem ci weseli i dość bez troszcy „południowcy” przywykli do tych rozmówek, a nawet zagustowali w nich i świetnie się bawili.

Do dziś nie potrafię zrozumieć jakim cudem Niemcy pozostawili Ojca w spokoju. Miał wówczas dopiero czterdzieści kilka lat, był zdrowy, silny, a ponadto był czystej krwi Niemcem. Był ponadto weteranem dwóch wojen (o Jego dezercji z armii austriackiej pewnie nie wiedzieli, zresztą to były inne rachunki), a więc doskonałym materiałem na mięso armatnie. Może zadecydował tu Jego udział w wojnie ukraińskiej i bolszewickiej, a także liczne, polskie odznaczenia? A może Jego odwaga, wyrażająca się w bardzo swobodnym i z lekka ironicznym stosunku do Wielkich Niemiec? Nie wiem i już nigdy się tego nie dowiem.

1) Sonder Abteilungen. Pierwsza hitlerowska bojowa organizacja w ówczesnych Niemczech.

2) Drogi Czytelniku, jeżeli kiedykolwiek uległeś złudzeniu, że Lwów obronili tylko ci bez skazy, anielscy bohaterowie ze skrzydłami Serafinów, zweryfikuj, proszę ten bogojczyźniany, idylliczny obrazek. Spora część Orłąt, to była sakramencka batiarnia, czy też – jak na Zamarstynowie – batiarska hebra, nie bojąca się nikogo i niczego, operująca kastetem i nożem o wiele sprawniej niż łyżką i widelcem. Oni także obronili swój Lwów, bo poza Nim świata nie widzieli! Tym, którzy oddali życie za Lwów, za innych, grzechy z pewnością zostały odpuszczone, niechże więc pozostanie im wieczna chwała. Mortui sunt, ut liberi vivamus...

3) Kule – nogi

4) Jeśliby kogokolwiek z P.T. Czytelników miała zadziwić moja ówczesna wiedza na ten temat, wyjaśniam: na początku ulicy Pierackiego, tuż za Kopytkowem, była mała uliczka, boczna uliczka Krótka. Bardzo często chodziłem tamtędy do Babci, mieszkającej w okolicy drugiego końca ulicy Pierackiego. Gdy wracałem z Rodzicami wieczorami do domu, już jako dziecko obserwowałem spacerujące po tej uliczce panie, do których niekiedy dołączali panowie i razem wchodziłi do jednej z kamienic. Ponadto w 1939 roku miałem już jednak ponad 10 lat i pewną wiedzę „w tym temacie”. Właśnie w ten dom trafiła pierwsza niemiecka bomba.

5) Zgodnie z długoletnią tradycją carskiej Rosji, przysylającej do „prywislanskowo” Kraju swoją hołotę, najgorszy element ludzki (którego nie chcieli oglądać u siebie, a także dlatego, by pognębić „Polaczków”), ponoć w 1939 roku zrobili to samo, nasyłając do zagrabionego kawałka Polski nie oglądane tu dotąd okazy z ludzkiej menażerii. Czy rzeczywiście była to celowa polityka – nie wiem.

6) „Oni” stale pytali o odwzajemność, a słysząc w odpowiedzi, że w Polsce nie ma takich „instytucji”, nieodmiennie wyciągali jeden tylko wniosek: „wot, sztoż eto za niekulturalnyj narod”. No właśnie! Jakże to kulturalny człowiek może obywać się bez odwzajemności!

7) Jedno z pogardliwych określeń najeźdźcy.

8) Przodownik pracy, prototyp Pstrowskiego. Tyle, że chyba jeszcze głębszy.

9) Lanie. □

Michał Siera

Samotna ucieczka z Reichu (c.d.)

Okazało się, że jest to Polak pracujący u Niemca z Besabarii, który się tam osiedlił w 1940 roku i zajął duże gospodarstwo Polaka wypędzonego z rodziną do Generalnego Gubernatorstwa. Pastuch ten zaprowadził mnie w krzaki i tam zaczęliśmy konkretną już rozmowę. Powiedział mi, że granica znajduje się w odległości ok. 500-800 m od nas, trzeba przejść przez dwie małe i płytkie rzeczki i zaraz za pasem krzewów wiklinowych przechodzi pas graniczny. Pokazał mi też gdzie znajdują się posterunki graniczne i powiedział w jakich godzinach przechodzą patrole straży granicznej. Tego pastucha to chyba Pan Bóg mi zesłał bo bez jego informacji mogło być ze mną źle. Pozostało mi więc czekać w tych krzakach aż się ściemni całkiem bo przy widoczności dnia przejście byłoby niemożliwe, byłbym widoczny z daleka. W międzyczasie, na tę łąkę gdzie byłem schowany w krzakach przyjechał wozem po siano chłop z

sąsiedniej wsi, ale znajdującej się za granicą czyli w tzw. G.G. Chłop ten miał przepustkę do przekraczania granicy. „Mój” pastuch znał go osobiście i mówił, że to bardzo porządny Polak, zawołał go do krzaków gdzie ja się znajdowałem. Zacząłem z nim pertraktować czy nie ukryłyby mnie w sianie jak będzie wracał do domu i w ten sposób przewiózł przez granicę. Oferowałem mu 5 marek jakie mi jeszcze zostały i krawat. Niestety, stanowczo odmówił uzasadniając swoją odmowę zbyt dużym ryzykiem. Mówił, że ma stałą przepustkę bo na razie nie odebrali mu pola i łąki, które ma po tej stronie, że często przekracza granicę, strażnicy go znają, ale pomimo to od czasu do czasu bardzo dokładnie kontrolują.

Czekałem jeszcze ze dwie godziny aż się zupełnie ściemniło. Poznany pastuch w międzyczasie pognał krowy do domu obiecując przynieść mi coś do zjedzenia, ale jednak z jakiegoś powodu nie zjawił się.

To czekanie aż zupełnie się ściemni było dla mnie bardzo długie i bardzo denerwujące. Była już ciemna noc, na szczęście dla mnie bezkسیężycowa, kiedy zdjąłem buty, spodnie i zacząłem biec. Dokładnie tak jak powiedział pasterch, przez dwie małe rzeczki i przez pas krzewów wiklinowych, wybiegłem na jakiś łań buraków cukrowych. Tak biegłem, zdawało mi się wieczność całą, sądziłem, że przebiegłem co najmniej z 5 km. Biegłem jakby pod górę i raptem skarpa, a na dole ok. 2 metrowej skarpy sylwetki rozmawiających ludzi. Stałem nie bardzo wiedząc co robić aż jeden z tych ludzi zauważył mnie i zaczął mówić abym się nie bał i zszedł na dół. W takiej sytuacji nie miałoby sensu żeby coś kręcić więc zapytałem naprzód wprost jak daleko jestem od granicy. Powiedział, że ok. 1,5 km. Odetchnąłem z ulgą, uspokoiło mnie to bardzo bo miałem za sobą granicę, największą chyba i najniebezpieczniejszą przeszkodę w mojej ucieczce.

Powoli zszedłem na dół zachowując ostrożność i odpowiednią odległość od tych ludzi. Dwóch mężczyzn zaczęło mnie uspakajać abym się ich nie bał. Powiedzieli mi, że tu się pobili jacyś mężczyźni i niedługo ma przyjechać roweirem tzw. granatowy policjant. Powiedzieli: wprawdzie to swój porządny człowiek, ale lepiej będzie jak ja się stąd sprzątnę. Jeden z nich powiedział, że on właśnie musi już iść do domu i zaprowadzi mnie najkrótszą drogą do wsi, która nazywa się Orłów. Wziął leżący na ziemi rower i poszliśmy. Po drodze powiedział, że jeśli chcę to mogę u niego w stodole na sianie przemocować. Oczywiście bardzo chętnie się zgodziłem bo już sam miałem go o to prosić. Zaproponowałem mu też sprzedaż spodni bo miałem na sobie dwie pary. Jedne granatowe całkiem eleganckie, które nosiłem na wierzchu i te właśnie chciałem sprzedać aby mieć pieniądze, tzw. złote emisyjne, na bilety kolejowe. Drugie spodnie, z cienkiego materiału, robocze, miałem pod spodem. W GG nie musiałem już tak porządnie wyglądać jak w Niemczech czy na terenach polskich przyłączonych zaraz na początku wojny do Niemiec. Zaszliśmy wreszcie do domu, który znajdował się na samym skraju wsi. Ten poczciwy gospodarz obejrzał porządnie te moje spodnie i orzekł, że da mi za nie 80,- zł, pół bochenka chleba i rano śniadanie. Pośpiesznie się zgodziłem i poszedłem głodny spać bo w tym dniu jadłem tylko surową marchewkę. Około 7 godziny rano wstałem, umyłem się porządnie przy studni na podwórku po czym gospodyni zawołała mnie na śniadanie. Do dzisiaj pamiętam to śniadanie. Dostałem żurek z dudkami czyli płuckami oraz porządny kawałek chleba.

Kończyłem już jedzenie kiedy do izby wszedł gospodarz i powiedział, że był we wsi i tam spotkał 2 Niemców – strażników granicznych, którzy pytali go czy nie spotkał we wsi kogoś obcego bo w nocy ktoś przeszedł granicę nielegalnie. Widocznie odkryli moje ślady. Szybko więc dał mi 80,- złotych i chleb za moje spodnie, wyprowadził przez ogród i wskazał kierunek jak mam dojść do drogi prowadzącej do Łowicza. Droga do Łowicza była stosunkowo niedaleko, ale ja na nią nie wchodziłem. Szedłem w pewnej odległości przez pole równoległe do drogi, tak aby nie zgubić kierunku i nie zabłądzić. Pójście drogą byłoby łatwiejsze, ale niebezpieczne, więc nie ryzykowałem.

Miałem przed sobą 25-30 km drogi. To było sporo jak na moje wtedy siły. Otrzymany chleb zjadłem po drodze z wyrwaną znowu na polu marchewką, popijając wodą z jakiegoś strumyka czy rowu. Ciekawe, że pomimo mojego ciągłego

głodu oraz takiego jedzenia i picia całą drogę nie zabolął mnie nawet żołądek.

Na dworzec w Łowiczu dotarłem przed godziną trzecią po południu, pamiętam, że zaraz równo o godzinie 15.00 miałem pociąg do Warszawy. W Warszawie na dworcu głównym znalazłem się jak już było zupełnie ciemno. Pierwszą rzeczą jaką zrobiłem to dowiedziałem się jakie mam połączenie do Lwowa przez Lublin. Okazało się, że pierwszy pasujący pociąg mam następnego dnia rano o godz. 9.00 z kilkoma przesiadkami m.in. w Rejowcu i Rawie Ruskiej. Zaraz też kupiłem bilet do samego Lwowa bo chciałem wiedzieć ile zostanie mi pieniędzy, czy będę mógł sobie jeszcze coś do jedzenia lub picia kupić. Niestety, zostały mi tylko 2 złote. Ci co pamiętają tamte czasy to wiedzą, że za taką sumę można było kupić zaledwie dwa papierosy i to najpodlejszego gatunku. Pokręciłem się więc po dworcu, bo z dworca bałem się wychodzić, napiłem się wody z kranu, ulokowałem w kącie poczekalni i zaraz zasnąłem na ławce. Spałem tak do rana aż usłyszałem krzyk „aufstehen” (wstać) – „Dokumente zeigen sie” (dokumenty pokazać). Skoczyłem na nogi, zacząłem macać się po kieszeniach, niby to szukając dokumentów, bo chciałem powiedzieć, że zostałem okradziony, ale jednocześnie rozglądając się jakby to czmychnąć w tłum na dworcu. Wszystko to trwało sekundy, ale... zobaczyłem przed sobą niemieckiego policjanta kolejowego, którego znałem z Przemysła jako Volksdeutscha pracującego w firmie budowlanej. Od razu powiedziałem po polsku ... o, widzę, że pan już nie pracuje w firmie Krause – trzymając już portfel w ręku, niby to z dokumentami. On przestał wrzeszczeć, wybałuszył oczy, powoli zaczął uśmiechać się i powiedział też po polsku: to pan mnie zna? No, no, co za traf. Niech pan schowa dokumenty, nie będę przecież krajana legitymował. Oczywiście zaczął mnie wypytywać, co ja tu robię, dlaczego śpię na dworcu, co słyhać w Przemyslanach itp. Wymyśliłem na poczekaniu bajkę, że przyjechałem zahandlować, a śpię na dworcu bo przyjechałem w nocy, w czasie godziny policyjnej i musiałem czekać do rana i w międzyczasie zasnąłem. Wszystko to przyjął za dobrą monetę i wyraził żal, że ma akurat służbę bo poszlibyśmy na wódkę „skoro aż tu przyjechał pan na handel to musi pan dysponować niezłą gotówką”. W końcu pożegnaliśmy się przyjaźnie, prawie serdecznie.

To spotkanie jest jeszcze jednym (z wielu) dowodem, że czuwała nade mną Opatrzność i że miało to miejsce na każdym moim kroku. Wreszcie dostałem się do pociągu, który jechał do Lublina i chyba do Rejowca, a może nawet do Rawy Ruskiej. Dokładnie już tego nie pamiętam. W każdym razie wiem, że miałem kilka przesiadek, a noc przeleżałem na ziemi gdzieś niedaleko dworca w Rawie Ruskiej, razem z innymi ludźmi oczekującymi na swoje pociągi następnego dnia. W czasie okupacji takie wędrówki ludu i spanie pokotem na dworcu i koło dworca były powszechne.

Mój pociąg wreszcie ruszył z dworca głównego w Warszawie i pamiętam, że strasznie się włókł zatrzymując się na każdej stacji oraz co jakiś czas przepuszczał pociągi wojskowe jadące na front wschodni. Po wyjeździe z Warszawy pociąg był prawie pusty, ludzi niewiele, co było właściwie dziwne jak na tamte czasy. W tzw. Generalnej Gubernii pociągów osobowych jeździło stosunkowo mało, a te, które jeździły to były na ogół niesamowicie przepełnione i z powodu przepełnienia ludzie często jeździli na dachach, schodach, buforach itp. Tymczasem w moim przedziale jechało

nas tylko dwóch. Drugim pasażerem był elegancko ubrany młody pan lat około 28-30. Miał na sobie buty z cholewami tzw. wtedy oficerki, bryczesy zielone, ciemnopopielata marynarka, koszula popelinowa niebieska i oczywiście krawat. Coś tam zaczęliśmy nawet rozmawiać i po pewnym czasie mój sympatyczny, zdawało mi się, towarzysz podróży sięga po neser, wyjmując z niego kawałek pieczonego kurczaka, jajko na twardo, chleb, jakiś płyn do picia w butelce i zaczyna konsumpcję. Ja nie jadłem już przeszło dobę zupełnie nic. Patrząc na to wszystko zachciało mi się strasznie jeść i to nawet nie kurczaka ani jajka tylko kawałek tego smakowicie wyglądającego chleba. W swojej więc młodzieńczej naiwności pomyślałem, że poproszę go aby mi sprzedał kawałek chleba, a on zorientuje się, że ze mną jest coś złe i po prostu da mi coś do zjedzenia. Myślałem dalej, że jeśli zechce abym mu zapłacił (co wydawało mi się mało prawdopodobne) to zacznę się macać po kieszeniach i wymyślę jakąś bajeczkę o kradzieży na dworcu w Warszawie.

Tak więc zrobiłem dodając, że nie miałem czasu i okazji kupić sobie czegoś do jedzenia.

On spojrzął na mnie i powiedział: przepraszam, ale ja nie wiem czy tam gdzie jadę dostanę coś do jedzenia i dlatego nie mogę niczego panu odstąpić. Zrobiło mi się strasznie przykro i chciało mi się płakać. Uczucie płaczu udało mi się jednak jakoś zwalczyć chociaż z dużym trudem. Posiedziałem w przedziale jeszcze chwilę i wyszedłem na korytarz aby nie patrzeć jak on je. Później, kiedy byłem trochę starszy i tak jest do dzisiaj, przypominałem i przypominam sobie to bardzo przykre dla mnie wydarzenie, dość często. Dzisiaj to powiedziałbym całkiem zwyczajnie: panie, jestem bardzo głodny, może mógłby mi pan dać coś do zjedzenia. To chyba byłoby najprostsze i najwłaściwsze. Ale wtedy byłem bardzo młody i jakoś krepowałem się tak powiedzieć. Zdaje mi się też, że nie miałem powodów do jakichś obaw bo nie był to chyba ani Niemiec ani tzw. Volsdeutsch. Ci to podróżowali w tzw. Gubernii w specjalnych wagonach z napisem: „tylko dla Niemców”, a nie w wagonach dla Polaków, w jakim my obaj znajdowaliśmy się. Sądzę, że był to niestety Polak.

(c.d.n.)

Franciszka Grodecka (Kanada)

(ur. 4.4.1900 r. we Lwowie)

Motto:

„Historię swoją piszcie sami, bo inaczej napiszą ją za was inni – i źle.”

Józef Piłsudski

*Wspomnienie, to moje jedyne bogactwo, jakie posiadam.
Jórkowi Mama (II)*

Ją też otrzymałam, ale musiałam pracować trzy miesiące dla sowietów za darmo.

Zima wczesna, opału brak, chleba nie ma. Ogonki szalone, formujące się już w nocy. Dalsze rewizje i aresztowania.

Na razie utrzymywał się wolny handel. Wieś dostarczała jak dawniej, ale ceny rosły zawrotnie. Wieśniacy nie chcieli przyjmować rubli, wobec czego handel stał się zamienny. Chleb mogliśmy jeszcze kupować w wolnej sprzedaży, ale coraz gorzej było z cukrem, tłuszczem i mąką.

Na ulicach rozlepiono afisze, na widok których ręce zaciskały się z oburzenia, które beczelnie kłamały o nędzy w dawnej Polsce, o ucisku ludności, o ogonkach żywnościowych, wykorzystywaniu robotników, którym nie wolno było kupić chleba w wolnej sprzedaży. Były to ordynarne kłamstwa. A tymczasem żywności, ubrań itp. było pod dostatkiem, a ogonki żywnościowe nie były w ogóle znane, bieda przyszła do nas z okupacją bolszewicką.

Śniegi zawałyły ulice, place, podwórza. Zakład czyszczenia miasta zlikwidowano. Mieszkańcy musieli sami wyrąbywać lód z chodników. Były to przykre trudy, bo po pracy nie było wypoczynku, a od północy musiało się wystawać w ogonku za cukrem i tłuszczem.

Oto prawdziwe zdarzenie kobiety ze wsi polskiej Zubrze, która nam przez kilkanaście lat nosiła mleko. Jednego dnia szła z łańkami na plecach w ostry mróz. Wtem nadjechała „maszyna”. Jadący w niej bolszewik przystanął i kazał jej wsiadać, że niby ją podwiezie. Ona wzruszona dziękuje „niech Pan Bóg wam zapłaci” i gramoli się na wóz. Wściekły bolszewik nakrzyczał, z wozu wysadził. Boga niet – paszła, marznij i zdychaj, ty sobaka nie człowiek. Poszła, nie prosiła się przecież, ale zrozumieć nie mogła tej niena-



*Franciszka Grodecka w domu „SPOKOJNEJ STAROŚCI”
im. Kopernika. Toronto. Kanada.*

wiści do Boga. Doszła do rogatki Zielonej, patrzy leży sowiecki żołnierz, ten sam, który ofiarował się ją podwieźć, wóz rozbity, przewrócony, a on ledwo żywy. Czy nie cud dla wierzącej kobieciny?

W szkołach usunięto z klas krzyże i portrety państwowe, a zawieszono portret Stalina i innych bolszewików. Co soboty urządzano zabawy i tańce, a w klasztorach zakonnice musiały się przebrać w świeckie suknie i asystować zabawom. Znosiły one biernie szykany i upokorzenia, pełne poświęcenia dla młodzieży, a dzieci tuliły się do nich, szczęśliwe, że mogą je mieć przy sobie. W początkach dzieci modliły się jak dawniej „Ojcze nasz, który jesteś w niebie, chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...” Po skończonej modlitwie podchodził do dzieci „kulturnik” i pytał: No i gdzie jest ten chleb, o który się modlicie? Chleba nie było. A on na to: a teraz powiedzcie: batku Stalinie daj nam chleba. Dzieci mówiły co im kazał. Po chwili otwierały się

drzwi i wnoszono bułki, które były przygotowane za drzwiami. Dzieci nie wiedziały co o tym myśleć, myślały, że może naprawdę?...

Wyśmiewano się z nabożeństw i spowiedzi, tłumacząc starszej młodzieży, że religia stoi na przeszkodzie prawdziwego szczęścia, jakie daje młodość i miłość niczym nie krępowana. Szkoły akademickie pozostawiono w ramach wydziału medycznego, weterynaryjne i politechnikę.

Zaczęto nacjonalizować majątki. Właściciele mordowano lub wywożono, a ziemię oddawano chłopom. Ci jednak nie chcieli je brać, bo musieli płacić duże daniny od każdej kury, kaczki itd.

Rozpoczął się pierwszy proces studentów gimnazjalnych i kadetów aresztowanych dnia 1 listopada 1939 r. Zasądzono chłopców od lat 13 do 18tu na 7 do 10 lat ciężkiego więzienia i wywieziono. Wieść o nich przepadła.

Młodzież jak mogła przedostawała się przez zieloną granicę na Węgry, do Rumunii.

W sam dzień wigilijny, bez poprzednich zapowiedzi, ogłoszono nieważność złotego polskiego. Dotąd był w obiegu na równi z rublem.. Ludzie zostają bez grosza, wszystkie bowiem oszczędności bezwartościowym świstkiem, nie przyjmuje go żaden urząd ani sklep.

Nadeszła Wigilia, Święta Bożego Narodzenia roku 1939 – roku niewoli.

W szybę wpatrzona stałam z dziećmi przy oknie, tłumiąc łzy. Szukaliśmy niecierpliwie pierwszej gwiazdki. Ale gwiazd nie było, chmury szare. Cały świat zasnuty był żalobną szatą. Każdy dom polski był osierocony, nasi najbliżsi cierpieli za kratą.

Myśl moja biegła szybko, po kryjomu i kładła pod drogie stopy opłatek biały z modlitwą o wytrwanie i gorące, stęsknione jedno życzenie: powrotu do domu.

Nieziszczone było to marzenie.

Przełamalam się opłatkiem z dziećmi i siostrą, a łzom nie było końca. Boże, Boże...

Pracowałam nadal w wodociągach, miejsce moje zajęła Ukrainka. Traktowały mnie dobrze. Dyrektorem był inż. Ananin z Kijowa.

Gdy raz przyszedł zwrotny list od jakiegoś właściciela domu, wzięwszy go do ręki powiedziałam: ciekawam dlaczego list ten wrócił, bo adres dobry, pewnie dlatego, że adresowany po polsku... Oskarżyła mnie któraś przed dyrektorem. Musiałam wysłuchać wielu uwag i pogroźek. Tu muszę nadmienić, jak bardzo pomagali mi moi woźni, a zwłaszcza Jasio Najda. W dniach podawania rzeczy mężowi wychodziłam z biura zawsze pod jakimś pretekstem i gdy uprzedzony przez Ukrainki dyrektor wzywał mnie, on potrafił przyjechać do więzienia, aby mi o tym powiedzieć, abym zaraz wracała. Nie mogłam jednak bo wiedziałam o tym, że gdy w przysługującym dniu nie podam, to znowu będę mogła to uczynić po dwóch tygodniach. A wiedziałam czym dla Niego to było, bo oprócz czystej bielizny, było to znakiem, że żyjemy i na miejscu.

W jednym z wyznaczonych dni zjawiłam się w więzieniu i gdy w kolejce podeszłam do okienka, by oddać bieliznę, powiedziano mi, że męża już tu nie ma. Rozplakałam się, prosiłam, aby sprawdzili, że musi być. Musiałam jednak odejść od okienka z niczym. Postanowiłam przeczekać, aż wszyscy zostaną załatwieni. Zjawił się mój woźny z wiadomością, że dyrektor pytał o mnie i wzywał do siebie. Powiedzieli mu, że jestem u okulisty. Prosił mnie woźny abym wracała do biura. Jakkolwiek bardzo zależało mi na pracy,

bo to było jedyne źródło utrzymania, zrozpaczona postanowiłam pozostać. Czekałam stojąc do godziny 4tej. Jako ostatnia zbliżyłam się do okienka i ujrzałam, że jest inny żołnierz. Ten ostrym tonem zapytał dlaczego tak późno przychodzę. Odpowiedziałam, że jestem tu od 8mej rano, ale powiedziano mi, że męża nie ma. Nie mogłam wracać do dzieci z taką wiadomością. Płakałam, wzruszyło go to, wziął bieliznę i odszedł. Po kilku minutach wrócił, oddał brudną bieliznę i podpis... Jakoś dzięki Bogu nie miałam na drugi dzień przykrości w biurze. Zapomnieli.

Cofnę się do listopada 1939 r. aby dać dowód wielkiej życzliwości robotników wodociągowych. W jakiś czas po wkroczeniu bolszewików, w listopadzie, odbyła się rejestracja urzędników. Po tej rejestracji chciano mnie zwolnić, bo uznali, że pracowałam przeciwko ustrojowi komunistycznemu w Polsce. Byłam sekretarką Towarzystwa Pomocy Polakom Zagranicą, którego siedzibą były wodociągi, a dyrektor był jego prezesem. Także dlatego miałam być zwolniona, bo mąż aresztowany. Na to wszyscy robotnicy wodociągowi odpowiedzieli protestem, że jeżeli mnie wydała, oni odchodzą, bo przez lat 20cia pracowałam dla nich i ich rodzin. Tak więc dzięki postawie robotników pracowałam nadal.

Straszny dręczył nas niepokój, bo krążyły wieści, że będą wywozy, że Polskę z ludzi ogołocą, wywożą do głębokiej Rosji, gdyż potrzeba im ludzi do pracy.

I wieści te okazały się prawdą i to prawdą bolesną.

Uwierzyć trudno, że staliśmy się narodem skazanym na zagładę, bez żadnego słowa. Gdzie są i dla kogo wypisane prawa dwudziestego wieku. Międzynarodowe. Po wsiach robili obławy.

Dnia 10 lutego 1940 r. wywieziono całą ludność ze wsi, leśników, gajowych itd. Wsadzili w nieopalone „ciepluszki”, a były wtedy silne mrozy. Droga ich na Sybir trwała 28 dni, zamarzali biedni, najwięcej dzieci, a ciała ich zrozpaczone matki wyrzucać musiały przez okienka wagonu na śnieg.

Buntowali się przeciwko takiej przemocy bezprawia. Tak sponiewierali nasz naród, tak, jak tylko oni umieją. A głoszą beczelne kłamstwo: „żyj u nas oczeń choroza”. Czy świat to zrozumie? Mieliśmy nadzieję, że się ktoś o nas upomni, na darmo... Mieliśmy wiarę w Boga. Modliliśmy się w po brzegi wypełnionych kościołach, wołając z płaczem: Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie... Ludzie leżeli krzyżem.

Zmienili nazwy ulic, nie ma znajomych sklepów. Ogonki przed sklepami coraz dłuższe. Straszny Mróz aż dusi. Ludzie odmrażają ręce, nogi i uszy. Pojawiły się futrzane czapy, kapelusze znikły.

Z końcem marca kazano nam brać paszporty. Jakie to okropne starać się o coś czego się nie chce.

W strasznej rozpacz przeszedł Wielki Post, Wielki Tydzień i Wielkanoc.

Drugiego kwietnia 1940 r. podałam mężowi bieliznę i tytoń. Tytoń oddał mi żołnierz pokazując na swej głowie, że męża boli głowa i nie chce tytoniu.

Ostatni to raz podałam biedakowi czystą bieliznę. Po raz ostatni widziałam Jego podpis.

Wyobrażam sobie, co musiał przeżywać, gdy w wyznaczonym dniu tj. 22 kwietnia nie podałam już nic.

Nie było spokoju, aresztowania. Czulo się podświadomie tragedię.

A żyć trzeba.

Dnia 12 kwietnia 1940 roku wieczorem wykapałam dzieci, ułożyłam do snu, wyprałam dziecinnie rzeczy i paski do pończoszek.

Przyszła siostra i mówi, że wszystkie boczne ulice w całym mieście załane ciężarowymi autami. Dowiedziała się, że mają wywozić rodziny aresztowanych.

Rozzłościłam się na nią, że mnie straszy. Płakałyśmy długo, bezradne, bo cóż, nie ma jak uciekać, noc... Położyłyśmy się spać, ale zasnąć nie mogłam. Wstałam i zaczęłam żelazkiem suszyć paski od pończoszek, przyszywać sprzączki. Wreszcie szalenie zmęczona zasnęłam ze łzami.

Nagle obudziło nas głucho walenie kolbami karabinów do drzwi. Nie miałam sił, aby je otworzyć, nogi wryły mi się w ziemię. Jasne było, że przyszli po nas.

Weszło sześciu enkawudzistów pytając „kac wasza familia?” Nie mogłam wyrzec słowa, odpowiedziała siostra. Czytał jeden z kartki brednie, że przesiadają mnie do męża, że będę z nim razem z dziećmi. Czytał dużo, ale do dziś nie wiem co. Wiedziałałam tylko, że to nieprawda, że się z mężem nie spotkam, wiedziałałam, że to koniec. Byłam zupełnie obezwładniona, nie mogłam niczego w ręce utrzymać. Na rozkaz: „bistro, bistro z wieszczami” zaczęłam ubierać dzieci w niebogłosey płaczące, wciskając na nie po trzy ubranka. Żołnierze widząc, że nic nie pakuję z pościeli, bo nie chciałam brać, ściągnęli koc z łóżka w kuchni, wrzucili poduszki i koce. Ze strachu dostałam rozstroju żołądka. Prosiłam, by nam pozwolono wyjść do łazienki, nie pozwolono, przynieśli wiadro do pokoju. Bardzo rozboleło mnie oko, miałam zawiązane, polecił lekarz nie płakać, nie dźwigać, a tu takie nieszczęście...

Siostra też straciła głowę, do starej walizki sąsiadki (która miała na przechowanie moje skórzane walizy) spakowała trochę dziecięcej bielizny, duży, źle wypieczony bochen chleba jak glina, przekroiła, posmarowała grubo smalcem z cebulką. Włożyła słoik z konfiturą. To co było w kuchni, nie pozwolili wyjść do spiżarki.

Dosłownie w drzwiach, w ostatniej chwili, krzyknęła Irma: Mamusiu, a maść, wbiegła do pokoju i z bielizniarki zdjęła stoiczek z maścią, krople i zakraplacz. O błogosławiona chwilo przytomności czteroletniego dziecka.

Wyszedł z domu z uczuciem jak na własnym pogrzebie. Akt życia skończony, zaczęło się wygnanie i tułacza dola. To było ciężkie przeżycie, jakie znieść musiałam, zostawiać dom, wszystko co w nim było najdroższe, siostrę. Biedna ona prosiła aby ją też wzięli, nie, bo inne nazwisko. I tak w jednej godzinie cały dom zburzony, co mówię, setki tysięcy domów, zagrabili wszystko, zabrali nam życie. W ostatniej niemal chwili podała mi siostra jesionkę mówiąc „weź, to ci się przyda”. A ja brać tego nie chciałam, bo i po co i tak nas pomordują.

Szarzało, gdy wychodziliśmy z domu. Boże, jak ja żegnałam oczyma te drogie mi kąty, nie sposób dziś opisać, co się w sercu działo. Tak mi było w nim dobrze, a teraz przyszło żegnać go na zawsze.

Auta stały na podwórzu, wrzucono nasze toboły i nas wtłoczono. Staliśmy jeszcze długo, bo ładowano innych. Ludzie z okien rzucali nam żywność, cukierki dla dzieci. Tak nas pożegnał dom.

(Tu nadmienię, że siostra stała przy aucie do naszego odjazdu, a gdy wróciła do domu na górę, zastała ruinę, ograbiony zupełnie, przez kogo, nie wiemy).

Wreszcie zawarczał motor i ruszyliśmy. Żegnałam ulicę przy której mieszkałam przez 31 lat, znałam niemal każdy kamyczek.

Jechaliśmy przez pl. Mariacki, koło kawiarni wiedeńskiej ludzie stali w ogonku. Jak oni nas żegnali krzyżem. Jechaliśmy ulicami pełnymi takich samych aut jak nasze. Nieszczęście to spotkało całe nasze miasto, całą inteligencję.

(c.d.n.)

Komunikat dla Harcerzy z Podwołoczysk i ich sympatyków

Niniejszym informuje się, że w dniu 22 maja 1999 roku (sobota) w czasie Ogólnopolskiej Pielgrzymki Harcerzy do Częstochowy na Jasną Górę, około godziny 18.30 podczas mszy św. w Bazylice, odbyło się uroczyste ofiarowanie sztandaru ZHP Kresowej Drużyny Harcerskiej w Podwoło-

czyskach, Chorągwi Lwowskiej – jako wotum MATCE BOSKIEJ JASNOGÓRSKIEJ.

Opiekun sztandaru
dr Aleksander Korman



UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW

Janusz Ragankiewicz

Uroczystości Oddziału TMLiKPW w Lesznie

Uroczyste spotkanie odbyło się jak zawsze w pierwszy poniedziałek, a więc 1 lutego br. (data założenia 4 lutego 1989) o 17-tej w klubie „Grunwald” Leszczyńskiej Spółdzielni Mieszkaniowej który przez minione lata nas gości i to za „bezdurno”.

Z zaproszonych gości przybyli:

dr Ryszard HAYN – poseł Ziemi Leszczyńskiej

mgr inż. Zbigniew HAUPT – starosta Powiatu Ziemskiego

mgr Wojciech RAJEWSKI – przewodniczący Rady Miejskiej

mgr Zbigniew KOWALCZYŚ – członek zarządu m. Leszna

Jan ŚWIERGIEL – wiceprezes L. S. M. „Grunwald”

Stanisław ŁUKASIEWICZ – skarbnik TMLiKPW O/Poznań.

Obecni byli dziennikarze reprezentujący:

– „Panoramę Leszczyńską”,

– „Głos Wielkopolski”,

– „Gazetę Poznańską”,

– „Dziennik Poznański”,

– „Dziennik ABC”,

– „Gazetę Wschowską”

i „Gazetę Wyborczą”

oraz reporterzy:

– Telewizji Kablowej „GOSAT”,

– radia „Elka” i „Merkury”.

Sprawozdanie z 10-letniej działalności Oddziału złożył prezes, po czym głos zabrali zaproszeni goście, którzy w bardzo ciepłych słowach wypowiedzieli się o naszej działalności, spotkaniach z młodzieżą szkół leszczyńskich, a zwłaszcza o organizowanych dziecięcych festiwalach piosenki lwowskiej „TA JOJ!”, które na stałe wpisały się do kalendarza imprez kulturalnych Leszna.

Dr Ryszard Hayn powiadomił obecnych, że **Pani Jolanta Kwaśniewska z życzliwością przyjęła honorowy patronat nad kolejnym VII-ym festiwalem.**

Członek Zarządu Miasta odczytał list gratulacyjny prezydenta Leszna mgr. inż. Tomasza Malepszego skierowany do członków Towarzystwa, w którym między innymi czytamy:

Z okazji Jubileuszu 10-lecia działalności Towarzystwa Miłośników Lwowa w imieniu władz samorządowych miasta Leszna składam za pośrednictwem Pana Prezesa serdeczne gratulacje wszystkim członkom Towarzystwa, którzy poprzez umiłowanie polskości upowszechniają historię narodu polskiego, polską kulturę, obyczaje i tradycje.

Działacze Towarzystwa szerząc wiedzę na temat historii i kultury ziem, które znajdują się poza granicami naszego państwa, pełnią tym samym szczytną rolę nauczycieli polskości i przyczyniają się do kształtowania wiedzy i postaw moralnych godnych Polaków.

Życzę wielu dalszych lat pomyślności w służbie Ojczyźnie i społeczności miasta Leszna, a równocześnie sukcesów i satysfakcji w dalszej działalności społecznej.

Potem przy lampce szampana, zakąskach, kawie i ciastkach zgromadzeni rozmawiali o minionych latach naszej działalności, oglądali kronikę Towarzystwa (5 opasłych tomów) prowadzoną przez mgr inż. arch. Marię CIERKOSZ i albumy zawierające kilkaset kolorowych fotografii (autorstwa prezesa) na których utrwalone jest wszystko, co robiliśmy przez te lata (wycieczki, pielgrzymki, opłatki, spotkania, wieczorki literackie, festiwale, ogniska itp.).

Omawiano plany na przyszłość, w tym mający się odbyć w kwietniu festiwal.

Spotkanie to, będące kolejnym, bo 101-szym, umilały płynące z głośników lwowskie (festiwalowe) piosenki. □

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Oddział Wrocławski

Wrocław, dnia 11.05.99 r.

Sprawozdanie z V Rajdu Szlakami Zabytków Lwowa we Wrocławiu oraz Konkursu Wiedzy o Lwowie

W dniu 7 maja 1999 r. w MDK im. M. Kopernika odbył się finał V Rajdu Szlakami Zabytków Lwowa we Wrocławiu oraz Konkursu Wiedzy o Lwowie, w których to imprezach uczestniczyło 100 osób, a ich organizatorami byli: Oddział Wrocławski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Klub Piechurów „Perpedes” PTTK oraz MDK im. M. Kopernika.

Celem obu tych imprez było ukazanie związków naukowych, kulturalnych i historycznych między Lwowem, a Wrocławiem.

W V Rajdzie najlepszymi okazały się drużyny:

– SP Nr 96 (uczniowie kl. IV odszukali na cmentarzu przy ul. Bujwida groby Lwowiaków zasłużonych dla nauki, kultury i oświaty Wrocławia)

– Prywatnego Liceum Ogólnokształcącego Sióstr Urszulanek, która przeprowadziła profesjonalny wywiad z Wojciechem Dzieduszyckim uczestnicząc m.in. w uroczystości wręczenia w/w Krzyża Komandorskiego. II miejsce przyznano Zespołowi Szkół Nr 3, którzy przygotowując się do nadania szkole imienia odwiedzili p. inż. Jana Romera, wnuka słynnego lwowskiego kartografa Eugeniusza Romera.

III miejsce przyznano drużynie SP nr 91 im. Orłąt Lwowskich, która przygotowała opracowanie dot. Pomnika Orłąt Lwowskich na Sepolnie, którego to budowę zainicjo-

wał wraz ze swoimi przyjaciółmi z Politechniki Wrocławskiej śp. prof. Zbigniew Siciński.

Natomiast w finale IV Konkursu Wiedzy o Lwowie najlepszymi okazali się:

1. Tomasz Grzebyk ze SP Nr 37 (nauczyciel Robert Tomczyk)

2. Zuzanna Hałatówna ze SP Nr 65

3. Anna Błaszak ze ZS Nr 3

4-5. Jakub Reczuch (SP Nr 25) i Karol Szczęśniak (SP Nr 37)

Dwoje najlepszych uczniów wyjedzie na wycieczkę do Lwowa – są to nagrody Prezydenta Miasta Wrocławia. Pozostali finaliści Konkursu Wiedzy o Lwowie zostali zaproszeni przez Dyrektora Panoramy Raławickiej do zwiedze-

nia muzeum i oglądnięcia tego słynnego malowidła.

Miłym akcentem imprezy był występ uczniów XI LO, którzy pod kierownictwem p. Joanny Bryckiej i Elżbiety Pietrzyk zaprezentowali interesujący program „Sentymentalna podróż do Lwowa”.

Gośćmi młodzieży byli m.in. p. Andrzej Siciński – radny Wrocławia, Emil Teśluk – wiceprezes ZG TMLiKPW, Danuta Tabińska-Juhasz – dyrektor Fundacji Semper Fidelis, Stanisław Rościcki – Wyd. Ossolineum, Zbigniew Magdziarz – dyrektor biura senatora Bogdana Zdrojewskiego. Przewodniczącym Jury był prof. Adam Zalewski, uczeń Witolda Romera (wynalazcy nowej techniki fotograficznej izohelii).

Prezes Krystyna Karbownik

Dziesięciolecie Lwowiaków w Kłodzku



P. Marian Stopiński wręcza kronikę 10-lecia TML dyrektor Muzeum Ziemi Kłodzkiej p. Krystynie Toczyńskiej-Rudysz



Siedzą: drugi od prawej ks. prałat Józef Mróz i trzeci od prawej ks. kanonik Franciszek Rozwód, którzy otrzymali święcenia kapłańskie we Lwowie w 1937 r.

Lwowiacy godnie uczcili 10-lecie swojego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płdn.-Wsch. W sobotę 10 kwietnia br. o godz. 10-tej uczestniczyli we Mszy św. odprawianej w kościele OO. Franciszkanów przez Gwardiana Damiana Stachowicza. W skupieniu wysłuchali kazania poświęconego Lwowiakom, gremialnie też przystąpili do Komunii Św. dając wyraz swej głębokiej religijności. Mszę św. zakończyli hymnem „Boże coś Polskę”. Następnie zebrano się w Bibliotece Muzeum Ziemi Kłodzkiej przy odświeżeniu zastawionych stołach. W uroczystościach uczestniczyło około 100 osób – członków i sympatyków Towarzystwa. Uroczystości uświetnili swą obecnością zaproszeni goście: Starosta powiatu kłodzkiego Dariusz Mikosa, Przewodniczący Rady Powiatu Julian Golak, Przewodniczący Rady Miasta Stefan Mróz, Naczelnik Wydziału Oświaty Janusz Kuśmierz, Radny Miasta Kłodzka Janusz Laska, Prezes Związku Sybiraków Wojciech Brejter, Dyrektor Szkoły Muzycznej Maria Dąbrowska, Dyrektor Szkoły Podst. nr 6 Dorota Krężlewicz-Skrobot, Dyrektor Muzeum Ziemi Kłodzkiej Krystyna Toczyńska-Rudysz, Redaktor Gazety Prowincjonalnej Krystyna Oniszcuk-Awiżeń. Gościli również p. Tadeusz Myczkowski z Wrocławia – drugi Prezes Głównego Zarządu TML we Wrocławiu i projektodawca znaku – symbolu Towarzy-

stwa – a obecnie Hetman Bractwa Kurkowego Miasta Wrocławia. Wystąpił on w stroju tegoż bractwa, również własnego projektu. Uczestniczyła także Pani Dyrektor Fundacji Kresowej „Semper Fidelis” Danuta Tabińska-Juhasz, która prowadziła stoisko z pamiątkami kresowian. Prezes Oddziału Kłodzkiego Marian Stopiński zagaił zebranie i oddał przewodnictwo Józefowi



Prezes M. Stopiński wręcza kronikę TML Staroście Powiatu Kłodzko p. Dariuszowi Nikosie. Obok p. Danuta Grochalska.

Wiktorowi. Z kolei Danuta Grochalska powitała serdecznie przybyłych członków Towarzystwa oraz dostojnych gości.

Z kolei wystąpił z serdecznym, pięknym, głęboko patriotycznym przemówieniem ksiądz Stefan Rozwód, który w 1937 r. przyjmował święcenia kapłańskie we Lwowie. Przemówienie swoje kończył pamiętnymi słowami, że Lwowiakom potrzeba tylko „Boga i miłości Ojczyzny”. Przemówienie uzupełnił ksiądz Damian Stachowicz odczytaniem fragmentów patriotycznej poezji. Wysłuchano też opowiadania o Bractwie Kurkowym we Lwowie. Jego odpowiednikiem w dawnym Kłodzku było Towarzystwo Strzeleckie, którego emblematy oglądać możemy na wystawie w Muzeum. Józef Wiktor omówił 10-letnią pracę Towarzystwa, a mgr Krystyna Toczyńska-Rudysz podkreśliła jego znaczącą rolę w działalności Muzeum. Starosta powiatu kłodzkiego Dariusz Mikosa życzył Towarzystwu dalszej twórczej pracy i wyraził chęć dopomagania mu. Jeden z członków Towarzystwa zaproponował wspólne spotkanie Lwowiaków w ostatnią środę każdego miesiąca. Jeszcze przy herbacie kilka osób wspominało o Lwowie, a na koniec zaśpiewano miłą każdemu Lwowiakowi piosenkę „Tylko we Lwowie”. W czasie uroczystości głos zabrał m.in. zastępca prezesa Zarządu Głównego TMLiKPW we Wrocławiu Emil Teśluk. W swoim wystąpieniu przypomniał historię powstania Towarzystwa, podkreślił udział w tych działaniach p. Wacława Stopińskiego (syna p. Mariana), który zarejestrował Towarzystwo we Wrocławiu

jako pierwsze w Polsce. Następnie E. Teśluk wręczył Złote Odznaki TMLiKPW. Pośmiertnie odznakę tę nadano p. Salomei Koszutskiej. Ponadto otrzymały je następujące osoby: Rajmund Przybylski, Marian Stopiński, Anna Baran, Stefan Mróz, Ludwik Żąbski i Józef Wiktor. Natomiast przyjaciele, sympatycy, wspierający działalność Towarzystwa, aktywni kresowianie – a było ich 32 – otrzymali z rąk p. Mariana Stopińskiego upominki w postaci książki pt. „Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich”. Głos zabierali goście składając gratulacje z okazji 10-lecia i życząc dalszej owocnej działalności.

W czasie przerwy oblegano tłumnie stoisko z najnowszymi wydaniem książek o Lwowie. Kupowano też pamiątkowy medal z napisem na awersie wokół lwowskiego lwa: 10 lat Towarzystwa Miłośników Lwowa oraz z herbem miasta na odwrocie i napisem „Leopolis semper fidelis”. Rozkupiono również smaczny, lwowski chleb kulikowski.

Na sali koncertowej przypomniano Lwowiakom „wesołą falę lwowską” z niezapomnianym Szczepciem i Tońkiem w wykonaniu doskonałych aktorów bytomskiego kabaretu „Pacalycha”: Ryszarda Mosingiewicza i Adama Żurowskiego. Przy akompaniamencie harmonii popłynęły pełne żywiołowego humoru i lwowskiego bałaku lwowskie piosenki rozbawiające słuchaczy. Oby doczekali się drugiego 10-lecia Towarzystwa, a może i samego Lwowa. Daj im Boże! □

Uroczystości w Nysie

Jubileusz oddziału TMLiKPW w Nysie odbył się w sobotę 17 kwietnia 1999 r. w gościnnych i zabytkowych wnętrzach Muzeum w Nysie – dzięki życzliwości dyrektorki, mgr Eliny Romińskiej. Obchody uświetniło przybycie rektora Uniwersytetu Opolskiego prof. dr. hab. Stanisława Sławomira Nicieji wraz z małżonką, starosty powiatu nyskiego mgr inż. Stanisława Pawlaczuka z małżonką, dyrektorki Biblioteki Miejsko-Gm. mgr Ireny Paszkiewicz-Chudy wraz z małżonkiem oraz dyrektorki Muzeum mgr Eliny Romińskiej.

Wszyscy zabrali głos na wstępie, z podziękowaniami za dotychczasową działalność i życzeniami owocnej pracy na dalsze lata. Byli przedstawiciele prasy lokalnej i Polskiego Radia Opole. Gości, sympatyków i członków przywitał prezes oddziału, Stanisław Maćków, który przewodniczył spotkaniu. Przygotowany na tę okazję referat Zarządu wygłosił Józef Drzazga, założyciel i pierwszy prezes oddziału.

Podczas uroczystego spotkania zostały wręczone pamiątkowe medale 10-lecia TMLiKPW – następującym gościom i członkom Towarzystwa:

- Stanisławowi Nicieji, rektorowi U.O.,
- Stanisławowi Pawlaczukowi – staroście powiatu Nyskiego,
- Ryszardowi Rogowskiemu – przewodniczącemu Rady Miejskiej,
- Januszowi Sanockiemu – burmistrzowi Nysy,
- Elinie Romińskiej – dyrektorce Muzeum,
- Irenie Paszkiewicz-Chudy – dyrektorce Biblioteki MiG,

- Józefowi Drzazdze – członkowi towarzystwa – założycielowi,
- Wandzie Grajewskiej – członkini towarzystwa – założycielce,
- Antoniemu Pulakowi – członkowi towarzystwa – założycielowi,
- Tadeuszowi Puchalskiemu – członkowi zasłużonemu,
- oraz Złotą Odznakę Towarzystwa – Ryszardowi Paluchowi – zasłużonemu wolontariuszowi.

W części artystycznej wystąpił z recitalem pt. „Moje śpiewające Życie” witany owacjami na stojąco pan Wojciech hrabia Dzieduszycki wraz z akompaniatorem p. Maciejem Kieresem.

Występ bardzo się podobał i był gorąco oklaskiwany. W przerwie można było nabyć książkę o W. Dzieduszyckim autorstwa Anny Hannowej pt. „Miesiące mego życia”, które w liczbie około 20 egz. zostały opatrzone dedykacją Bohatera dla obecnych na sali nabywców.

Nasze stałe zabiegi o wspieranie Rodaków na Kresach nie mogły się udać przy znikomych wpływach ze składek członków. Toteż realia przymuszały nas do ciągłego poszukiwania nowych sponsorów i darczyńców.

Znalazło się wielu Przyjaciół, którzy pośpieszyli wespół z nami w realizacji niesienia pomocy bliźnim za jałtańską granicą. W minionym 10-leciu około dwudziestu darczyńców świadczyło różnorodną pomoc. Im wszystkim składamy serdeczne podziękowania i zapewniamy o naszej wdzięczności.

Prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów
Stanisław Maćków

Andrzej Przewoźny

Lwowskiej piosenki czar

W tegorocznym, patronowanym przez prezydentową Jolanę Kwaśniewską, VII Ogólnopolskim Dziecięcym Festiwalu Piosenki Lwowskiej „TA JOJ” – Leszno '99 uczestniczyło 25 zespołów oraz 23 solistów – razem 162 młodych wykonawców.

Żona Prezydenta RP z powodu uczestnictwa w szczycie NATO w Waszyngtonie nie mogła osobiście uczestniczyć w festiwalu. W liście przesłanym na ręce prezesa oddziału leszczyńskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa Janusza Ragankiewicza skierowała do uczestników życzliwe, ciepłe słowa.

W sobotę uczestnikom festiwalu towarzyszyła słoneczna pogoda. Przesłuchania konkursowe odbywające się w auli Szkoły Podstawowej nr 1 w Lesznie rozpoczęły się o godz. 12.00 i trwały do godziny 20.00. Wypływające przez okna sali lwowskie melodie ściągały do auli licznych obserwatorów w różnym wieku. W przesłuchaniach uczestniczył także wiceprezydent Leszna Zdzisław Adamczak. Najwięcej pracy tego dnia miało sześciuosobowe jury, któremu przewodniczyła Marzanna Skrzypczak-Mizgalska. Wybór laureatów nie należał do prostych. Jurorzy zgodnie przyznali, że zarówno zespoły jak i soliści prezentowali bardzo wysoki poziom.

Niedziela dla uczestników festiwalu rozpoczęła się od uroczystej Mszy świętej w kościele farnym w Lesznie. Homilię poświęconą obrazom Matki Boskiej w kościołach lwowskich wygłosił ks. kanonik Konrad Kaczmarek, wieloletni kapelan leszczyńskiego Towarzystwa.

O godzinie 15.30 przy szczelnie wypełnionej sali i balkonach Miejskiego Ośrodka Kultury w Lesznie rozpoczął się koncert galowy prowadzony przez Elżbietę Kuśnierek. Wśród gości można było zauważyć prezydenta Leszna Tomasza Malepszego, posła dr Ryszarda Hayna oraz ks. kanonika Konrada Kaczmarka.

Zmienne nastroje udzielały się tego popołudnia wszystkim słuchaczom. Wśród piosenek prezentowanych przez laureatów przeplatały się lekkie, lwowskie przyśpiewki, żywo i barwnie opowiadające o życiu zwykłych mieszkańców Lwowa. Karolina Sajdak z Domu Kultury w Górze przekonywała w swej piosence „Lwowianka”, że „... zatonie w marzeniach aż po wieczny czas, kto poznał Lwowiankę choć raz”.

W „Preclarę z Pohulanki” zmieniła się Emilia Komarnicka z TML i Klubu Garnizonowego w Brzegu. Rozdawane przez nią precelki trafiły do różnych osób, m.in. w ręce posła Hayna i prezydenta Malepszego po czym zostały przez nich szybko skonsumowane.

Piosenek nostalgicznych, niosących nuty tęsknoty za Lwowem również nie brakowało. Wykonywane były perfekcyjnie, przez młodych ludzi, którzy tego miasta nie widzieli na oczy, a jednak „... Lwów to dla mnie zagranica, śpiewny język, stare kino; Lwów to dla mnie tajemnica, niezaznana nigdy miłość...” – wyznawał zgromadzonym Maciej Adamczyk z Nowego Sącza śpiewając piosenkę z muzyką i słowami Romana Kołakowskiego.

Lzy rzeźsiście spływały po twarzach zarówno zgromadzonych jak i wykonawców, gdy uniosły się nad salą słowa piosenki wykonywanej przez Sylwię Homonicką z Maciejowej „... modlitwę ciszy znów bez słów, za Cmentarz Orłąt i za Lwów”.

Niekonwencjonalną aranżacją gitarową piosenki niezjącego już Jerzego Michotka pt. „Ballada o 10 batiarach” – obrazu o przemijaniu w wietrze historii – popisał się wyróżniony w kategorii zespołów w grupie najstarszej, zespół wokalny „Plastyk” z Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Koszalinie. Wykonanie tej ballady wzbudziło żywy aplauz publiczności, a ...lzy popłynęły na nowo.

– Czując wyraźnie ducha tej sali, mam nadzieję, że festiwal pozwolił wielu z dzisiaj obecnych wrócić do czasów młodości, dzieciństwa i poczuć się jak we śnie w gościnnym Lesznie – podsumował występy prezydent Leszna Tomasz Malepszy.

– Lwów to czas co się oddała. Staraliśmy się choć na chwilę na deskach leszczyńskiego MOK-u zatrzymać go – powiedziała na zakończenie gali Elżbieta Kuśnierek. – Czy nam się udało, oceńcie sami. Do zobaczenia za rok...

Gośćmi festiwalu była 3-osobowa delegacja z Polskiej Średniej Szkoły nr 24 im. Marii Konopnickiej we Lwowie, której najmłodsza członkini 8-letnia Wiktoria Mielnik zaśpiewała na koncercie laureatów dwie piosenki: „Moja gitara” i „Balladę o pannie Franciszce” – otrzymując od zgromadzonej publiczności gromkie brawa.

Zwycięzcą festiwalu w kategorii solistów grupy najmłodszej została Kasia Patykówna z Nowego Sącza, II miejsce zajęła Sylwia Homonicką z Maciejowej, III miejsce w tej kategorii przypadło Kindze Muszyńskiej ze Skoraszewic, a wyróżnienie Angelice Fornalik z Góry.

W kategorii solistów w grupie klas VI-VII najwyżej uplasowała się Kinga Pancercówna z Nowego Sącza, II-gie miejsce zajęła Emilia Komarnicka z Brzegu, a III-cie Kinga Muszyńska ze Skoraszewic. Wyróżnienie przypadło Karolinie Sajdak z Góry.

Maciej Adamczyk – licealista z Nowego Sącza został potrójnym laureatem festiwalu – zdobył I miejsce w kategorii solistów najstarszej grupy, „Grand Prix” festiwalu oraz wyróżnienie dla instruktorów. II miejsce przypadło Beacie Cwalińskiej z Nawojowej, III-cie Mateuszowi Ganowiczowi z Wolsztyna, a wyróżnienie Alicji Kubiak z Góry.

W kategorii zespołów w grupie najmłodszej po laur zwycięzców sięgnął Dziecięcy Zespół Wokalny ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Lesznie. II miejsce – dla chłopięcej grupy wokalne „TO TAM, TO TU” z Wolsztyna, III-cie „ISKIERKI” z Maciejowej. W grupie zespołów starszych I miejsce zdobyły „Biedronki” z Brzegu, II miejsce – Kameralny Zespół Wokalny z SP nr 1 w Lesznie, III miejsce – „Camerata” ze Skoraszewic.

W kategorii zespołów najstarszych I miejsce przypadło grupie „Klaster” z Gorzowa Wlkp., II miejsce przyznano Zespołowi Wokalnemu „PUELLAE CANTANS” z Nowego Sącza, a III-cie duetowi Darii Mateckiej i Annie Janowicz z Leszna.

„Grand Prix” festiwalu zdobyli: w kategorii solistów – Maciej Adamczyk z Nowego Sącza; w kategorii zespołów – „Klaster” z Gorzowa Wlkp.

Nagrodę im. Heleny Ragankiewicz dla najmłodszej uczestniczki festiwalu otrzymała Kasia Kaczmarczykówna z Nowego Sącza.

Za znakomitą pracę z zespołami jury wyróżniło instruktorów: Macieja Adamczyka i Jerzego Masióra z Nowego Sącza oraz Jana Kubiaka z Góry.

Prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich dr Andrzej Kaminski udekorował „Złotą Odznaką TMLiKPW”: dr Ludo-



Młodzi wykonawcy z Nowego Sącza



*Chłopięca grupa wokalna „TO-TAM-TO-TU”.
Wolsztyński Dom Kultury*



*Maciej Adamczyk z Nowego Sącza.
Laureat I miejsca.*



Wiktoria Mielnik ze Lwowa



Mateusz Gamowicz. Wolsztyński Dom Kultury

mirę Powidzką, mgr Elżbietę Kuśnierek, p. Adaminę Galon, płk. Zbigniewa Czaję oraz pp. Kazimierza Kucharzaka, mgr Wiesława Maruszę i Jerzego Majewskiego.

Złoty Krzyż Zasługi z rąk prezydenta Leszna otrzymał Janusz Ragankiewicz za zasługi w działalności na rzecz Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch., przyznany przez Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego.

ORGANIZATORZY
 Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Lesznie
 Urząd Miasta Leszna
 Starostwo Powiatowe w Lesznie
 Miejski Ośrodek Kultury
 Dyrekcja Szkoły Podstawowej nr 1 w Lesznie
 Redakcja Tygodnika „Panorama Leszczyńska”
SPONSORZY
 „ASTROMAL”, Wilkowice
 Gabinet Lekarzy Specjalistów, Leszno
 Przedsiębiorstwo Przemysłu Fermentacyjnego „AKWAWIT”, Leszno
 PKO BP, oddział Leszno
 Biuro Finansowo-Księgowe „DEBET”, Leszno
 „FILTRON”, Gostyń
 PKP, Leszno
 pp. Mieczysława i Mieczysław Ossowscy, Leszno
 Firma „TADEUSZ CIEŚLA”, Leszno
 p. Krzysztof Nowakowski, Leszno
 p. Wiktor Liszczyński, Gostyń
 p. Michał Turczyński, Mochy
 p. Helena Nowakowska, Leszno
 „CENTRUM HANDLOWE” p. Eugeniusza Szymanowskiego, Leszno
 Zarząd Główny TMLiKPW, Wrocław
 Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS”, Wrocław
 Bursa Międzyszkolna w Lesznie
 „LESPIN” sp. z o.o., Leszno
 Zakład Gastronomiczny „ZBYHAL”, Leszno
 Miejski Zakład Komunikacji, Leszno
 Miejski Zakład Zieleni, Leszno
 Pływalnia „AKWAWIT”, Leszno
 Agencja Ochrony „Temida”, Leszno □

WIADOMOŚCI WSPÓŁCZESNE

Wiktor Poliszczuk, Ph.D.

Ślepotą czy amoralność? (I)

Rzecz będzie o ślepotę jak też o amoralności w zakresie stosunku polskich historyków, polityków, publicystów i dziennikarzy w odniesieniu do nacjonalizmu ukraińskiego, a skoro tytuł artykułu zawiera w sobie alternatywę, to należy osobno omówić oba jej człony.

Ślepotą, o której mowa, nie dotyczy wady organu wzroku, ma ona odniesienie do umysłu, przejawia się prawdopodobną niemożnością pojmowania faktów prostych, prawie oczywistych. Napisałem „prawdopodobną”, bowiem trudno jest przyjąć wobec ludzi nauki, polityki, publicystyki czy dziennikarstwa oczywistą niemożność pojmowania obiektywnej, udowodnionej prawdy. Ta konstatacja łączy się z drugim członem alternatywy, o której mowa w tytule, ale o tym mowa będzie dalej, a tymczasem spróbujmy przyjrzeć się twierdzeniu o ślepotę.

W swej pracy pt. „Ideologia nacjonalizmu ukraińskiego” podaje cytaty z książki twórcy tej ideologii, Dmytra Doncowa: *Kto wyobraża sobie nację jako odrębną species*, które, jak i w świecie organicznym, zdane są na wieczną konkurencję między sobą, ten jasno widzi, że nawet dwie spośród nich nie zmieszczą się na*

jednym skrawku ziemi pod słońcem (...) Przyroda dba, aby wszystko mniej wartościowe zginęło i aby wszystko zdolne pozostało (...)

Przyroda nie zna humanizmu i sprawiedliwości (...) ogólnoludzka prawda nie istnieje... Używane przez Docowa „species” jest słowem łacińskim, w języku angielskim oznacza ono: *The species, the human race; mankind*. Inaczej mówiąc, ideologia nacjonalizmu ukraińskiego wychodzi z założenia, że „nacja” stanowi gatunek w przyrodzie i jako taka pozostaje w permanentnej wojnie z innymi nacjami w walce o byt i przestrzeń. Doncow mówi: *Wola życia i wola władzy przekształca się w „wolę wojny” (...)* wola wojny między nacjami jest wieczna (...)

wrogość między nacjami jest czymś normalnym (...) Bądźcie napastnikami i zdobywcami zanim będziecie mogli stać się włodarzami i posiadaczami. W pracy pt. „Integralny nacjonalizm ukraiński jako odmiana faszyzmu” też cytuję Doncowa: *Wola (którą Schopenhauer nazywa też „ślepą działalnością”, „chcieniem”, „tęsknotą”, „porywem”, „żądzą”, „złością”, „gniewem”, „nienawiścią”) jest pierwszą gałązką życia (...)* W tej żądzy życia, ekspansji woli tkwi istota życia (...)

Głównym motorem postępowania jest ślepa działalność (...)

To wieczne, irracjonalne prawo nacji do życia trzeba postawić ponad wszystko doczesne, fenomenalne, dające się uchwycić, racjonalne: ponad życie danej jednostki, ponad krew i śmierć tysięcy, ponad dobrobyt danej generacji, ponad abstrakcyjne rozumowe spekulacje, ponad

ogólnoludzką etykę, ponad wykombinowane w sposób oderwany pojęcia dobra i zła.

Już tylko wspomniane wyżej zasady ideologii nacjonalizmu ukraińskiego winny wzbudzić zainteresowanie u historyków, polityków, publicystów, dziennikarzy, bowiem one w sposób wyraźny korespondują z ideologią nazizmu, z tą tylko różnicą, że A. Hitler wychodził z założeń walki ras, natomiast Doncow z założeń walki między nacjami. Niestety, te stwierdzenia nie docierają do świadomości kręgów ludzi, o których tutaj mówię, nie zajmują się oni tym problemem.

Doncow widzi życie jako to, w którym słaby musi zginąć, aby żyć mógł silniejszy. Ta myśl Doncowa koresponduje z poglądem Hitlera, który pisał: *Silni przepędzą słabych, ponieważ pęd do życia w jego ostatecznej postaci roztrzaska groteskowe okowy tak zwanego humanitaryzmu, ażeby w jego miejsce mógł wstąpić „humanitaryzm” przyrody, która tępi słabych, aby oczyścić miejsce dla silnych.* Doncow zaś pisze: *Bez przemocy i żelaznej bezwzględności w historii niczego nie stworzono (...) Przemoc, żelazna dyscyplina i wojna – oto metody, przy pomocy których wybrane narody szły drogą postępu (...) Przemoc to jedyny sposób, pozostający do dyspozycji narodów zbydlęciałych przez humanizm (...) żadne zasady nie mogą zabronić, aby słabszy uległ przemocy silniejszego (...) Tylko filistrzy mogą odrzucać w sposób absolutny i moralnie potępiać wojnę, zabójstwa, przemoc.*

To tylko odrobina zasad ideologicznych nacjonalizmu ukraińskiego, odnoszących się do rzekomego stosunku nacji ukraińskiej do innych nacji. Rzekomego, bowiem naród ukraiński nigdy nie przyjął doktryny Doncowa za swoją. Doncow daje też receptę na tych Ukraińców, którzy nie poddają się indoktrynacji jego zbrodniczej ideologii, mówi on o rozbieżnościach w poglądach nacji ukraińskiej na stosunek do świata: *Jakiegokolwiek mechaniczne porozumienie niczego nie da, zwiększy tylko marazm i rozkład (...) muszą pojawić się nosiciele nowej idei, musi pojawić się ich grupa – aby zachwycić jednych, porwać drugich – i usunąć trzecich, ta grupa ustala szereg norm, szereg reguł, szereg aksjomatów we wszystkich dziedzinach życia społecznego; te reguły, aksjomaty itp. muszą być bardzo wyraźnie określone, w sposób wyraźny przeciwstawne innym, bezkompromisowe; ustanawia się nową prawdę, jedyną i nieomylną (...) młotem wbija się tę wiarę i prawdę w zbuntowane mózgi ogółu, bezlitośnie zwalczając niedowiarków (...)* Gdyby wojujący faszystom lub bolszewizm nie miał w sobie tego samego ducha, którym natchniony był faszystom i bolszewizm – nigdy one nie zwyciężyłyby.

Doncow mówi: *Pragnąc świetności swojego kraju, oznacza pragnąc nieszczęścia dla swoich sąsiadów (...) ekspansji swojego kraju wyrzeka się tylko ten, u kogo całkowicie odumarło poczucie patriotyzmu.* Nauki te wyraźnie korespondują z ideologią faszystom-nazizmu. Ukraińska nacjonalistyczna gazeta „Ridna Zemla” jeszcze w 1943 roku pisała: *Do przebudowy Europy należy powołać tylko te narody i siły, które swą postawą i czynami same przejawiają się jako młode, a więc i my, jako współtwórcy nowego porządku w nowej Europie, na czele której stoi Adolf Hitler, i który nią kieruje, musimy dolożyć wszelkich starań, aby nasza praca była wydajna i celowa.* Inna lwowska gazeta „Ukrajński szkodenni wisti” w artykule „Ukraina i nowy porządek w Europie” pisze: *My, Ukraińcy (czytaj: my, nacjonaliści ukraińscy – W.P.) szczerze życzymy Niemcom zwycięstwa w walce o nowy porządek. Te nasze życzenia nie są fałszywe, nie wypływają z koniunktury, nie są przejściowe. Życzenia te wypływają z geopolitycznej sytuacji Ukrainy (...) sam los sprzegnął nas, Niemców i Ukraińców, w tej współpracy (...) wiemy dobrze czego naród ukraiński może spodziewać się od Stalina, Roose-*

velta i Sikorskiego (...) wojna będzie trwać tak długo, aż zwyciężą Niemcy wraz z całą Europą, aż szczerą ciemne siły, aż rozpadnie się w proch bolszewizm i angloamerykański imperializm, nikt i nic nie złamie ducha Niemiec. Takie było stanowisko nacjonalistów ukraińskich w lipcu 1944 roku!

To już o zastosowaniu nauk Doncowa w praktyce politycznej nacjonalistów ukraińskich. Doncow nie bez sukcesu nauczał nacjonalistów ukraińskich o potrzebie fanatyzmu, stosowania przemocy, bezwzględności, posługiwania się amoralnością, on też wyznaczył cel strategiczny nacjonalizmu ukraińskiego: ekspansja terytorialna, zaś Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) już w 1929 roku uściśliła ten cel: zbudowanie ukraińskiego państwa nacjonalistycznego (a więc faszystowskiego typu) na wszystkich, według jej ocen, ukraińskich terytoriach etnograficznych, a więc też na Podlasiu, Chełmszczyźnie, Nadsaniu, Łemkowszczyźnie. Nacjonaliści ukraińscy w obecnej Polsce wcale nie ukrywają tego celu, co wynika z publikacji „Naszego Słowa”, będącego organem Związku Ukraińców w Polsce, a także z publikacji oficyny wydawniczej „Tyrsa”. Cel ten, też zgodnie z uchwałą OUN z 1929 roku, miał być osiągnięty w drodze usunięcia wszystkich nie-Ukraińców z ukraińskich terytoriów etnograficznych, a więc w drodze fizycznego ich wyniszczenia, w drodze eksterminacji. Jak się to odbywało – też opisałem w mych pracach; ilu zamordowano w toku tej „czystki etnicznej” – też wiadomo: ponad 100 tysięcy ludności polskiej, Ukraińców, którzy się nie podporządkowali OUN, też mordowano, według mych ustaleń – co 5-6 ofiara struktur OUN-UPA była narodowości ukraińskiej, co wynika z dokumentów archiwalnych, między innymi autorstwa struktur OUN-UPA.

W Warszawie i Łucku odbyło się kilka konferencji historyków polskich i ukraińskich nacjonalistycznych, podczas których wiele się mówiło o faktach, jakie miały miejsce, ale żaden historyk nie podjął się opracowania tematu przyczyn zbrodni OUN-UPA. Na konferencji w maju 1997 roku w Warszawie profesor Uniwersytetu Kijowskiego, Wołodmyr Serhijczuk, wygłosił referat, z którego wynikało, że OUN-UPA wcale nie dopuszczała się morderstw na ludności polskiej, ona brała tę ludność w obronę. Ten jawnie propagandowy referat nie spotkał się z oburzeniem ze strony polskich historyków, nie doczekał się reakcji ze strony wielu obecnych podczas konferencji dziennikarzy. Symptomatyczne.

Wobec tych wszystkich twierdzeń, wobec tych wszystkich dowodów – polscy historycy, politycy, publicyści, dziennikarze nabrali wody w usta, są oni ślepi lub udają ślepych. Moje prace nie doczekały się recenzji polskich historyków czy politologów. Rzecz znamienna, że opracowywanym przeze mnie problemem zainteresowali się pracownicy nauki Instytutu Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, a więc filozofowie, spod ich pióra wyszły recenzje na moje główne prace – „Ideologia nacjonalizmu ukraińskiego” oraz „Integralny nacjonalizm ukraiński jako odmiana faszystom”, opublikowane w takich znaczących dla nauki wydawnictwach, jak „Dzieje najnowsze”, wydawane przez Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk w Warszawie, w socjologicznym czasopiśmie naukowym „Kultura i Społeczeństwo”, w „Studiach Historycznych”, wydawanych przez Uniwersytet Jagielloński, w „Zeszytach Historycznych” i w innych. Recenzje są pozytywne, wskazują na pionierski charakter opracowanego przeze mnie tematu, razem ukazało się sześć recenzji. Ale nie podejmują się krytyki moich prac, nie poddają ich obiektywnej ocenie, obiektywnej analizie tego co napisałem i opublikowałem, w szczególności polscy publicyści, polskie środki masowego przekazu na Zachodzie nie zamieściły, poza jedną, recenzji na nie. Czyżby z powodu błahości poruszanego przeze mnie tema-

tu? Może w pracach mych dominują bzdury, może zawarty jest w nich fałsz, może są one bałamutne? Jeżeli tak, to byłby to materiał, w oparciu o który można mnie nie tylko zdyskredytować jako badacza, jako autora, ale też jako człowieka, trzeba by wyraźnie zrobić mi z tego powodu zarzut. Jednakże, jak to wynika z sygnalizowanych wyżej tematów, nie są to sprawy błahie dla narodu polskiego, jak też dla narodu ukraińskiego. A więc rodzi się pytanie: czy taki stosunek do problemów nacjonalizmu ukraińskiego jest ślepotą, czy też udawaniem ślepoty? Na marginesie trzeba powiedzieć, że do krytyki mych prac nie można zaliczyć publikowanego przez banderowski „Szlach Peremohy” w kilkunastu odcinkach „elaboratu” wspomnianego już profesora Uniwersytetu Kijowskiego, Wołodymira Serhijczuka, który, posługując się prezentowaną podczas warszawskiej konferencji propagandową ulotką, twierdzi, że ja dopuszczam się kłamstw, gdy mówię o ludobójstwie OUN-UPA na ludności polskiej, bowiem, jak twierdzi ten profesor, OUN-UPA nigdy nie mordowała Polaków, wprost przeciwnie – ona brała ludność polską w obronę przed napadami nieokreślonych band rabunkowych.

Jeżeli to, o czym napisałem wyżej w zakresie stosunku do problemu nacjonalizmu ukraińskiego, jest udawaniem ślepoty, to mamy do czynienia z amoralnością historyków, polityków, publicystów, dziennikarzy. Tym bardziej, że wyraźnie kwalifikuję zasady ideologiczne, założenia programowe oraz praktykę ukraińskich struktur nacjonalistycznych jako zbrodnicze. Wszelka amoralność w postępowaniu ma swoje źródła, gdzie więc należy ich doszukiwać się, gdy chodzi o przemilczany problem nacjonalizmu ukraińskiego? Chyba dobrze rozumiem, że zabranie głosu w sprawie moich publikacji wymaga albo zgody na zawarty w nich tezami, albo też ich podważenia. Podważyć ich, jak już wspominałem, nikt się nie odważył, natomiast zgodzić się z nimi publicznie jest kwestią odwagi cywilnej, lepiej jest więc z motywów politycznych ustawić się do problemu z wiatrem, niezależnie od własnych ocen, ale to już jest przejaw amoralności.

* gatunki

(c.d.n.)

Jacek Dębicki

Uroczystości w Kielcach

*„Podążać chcemy śladami Dumnych Orłąt ze Lwowa.
Niech będą dziś dla nas natchnieniem, jak wolność Ojczyzny budować”*

*(Fragment Hymnu Szkoły Podstawowej w Nowinach.
Słowa i melodia ułożone przez uczniów kl. VI i VII.)*

W dziesiątą rocznicę powołania w Kielcach Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, dnia 20.04.1999 r. Szkole Podstawowej w Nowinach nadano imię „Orłąt Lwowskich” oraz poświęcono sztandar z herbem Lwowa i godłem Polski.

Sitkówka-Nowiny – gmina położona 6 km od centrum Kielc w województwie świętokrzyskim.

Miejscowość posiadająca bogate złoża wapienne, duży kombinat cementowo-wapienniczy i 6 tysięcy mieszkańców.

Szkoła Podstawowa liczy 600 uczniów, 50 osób grona nauczycielskiego.

Przygotowania do uroczystości trwały 4 lata. Był to proces narastania w środowisku Nowin zainteresowania tematem Lwowa, uprzednio prawie nieznanym.

W listopadzie 1995 roku szkoła otrzymała pismo od TLMiKPW z propozycją nadania placówce imienia „Orłąt Lwowskich”. W 1996 roku w okresie od lipca do października rada pedagogiczna, komitet rodzicielski oraz samorząd uczniowski pozytywnie odnieśli się do wyżej wymienionej propozycji.

W czerwcu 1997 roku szkoła otrzymała zgodę od Rady Gminy w Nowinach na nadanie jej imienia „Orłąt Lwowskich”, a w listopadzie tegoż roku zgodę na nadanie sztandaru.

W okresie przygotowań do uroczystości odbyły się spotkania dyrekcji szkoły z członkami TLMiKPW, którzy uczestniczyli w licznych spotkaniach z młodzieżą, przybliżając jej tematykę lwowską i historię cmentarza „Orłąt Lwowskich”.

Już w 1996 roku pod kierunkiem nauczyciela pana Adama Pepasińskiego, szczególnie zainteresowanego tematyką lwowską, przygotowano montaż słowno-muzyczny dotyczący Grobu Nieznanego Żołnierza w Warsza-

wie, dzieje Lwowa i oddający specyficzną atmosferę tego miasta.

Również w 1996 roku z okazji 30-lecia szkoły zaprezentowano widowisko poetyckie oparte na historii walk o Lwów w 1918 roku.

We wrześniu 1996 roku odbyła się w szkole akademii pod tytułem: „Orłęta w obronie Lwowa”.

W grudniu 1997 roku przygotowano program artystyczny na temat: „Śluby Jana Kazimierza we Lwowie”.

W czerwcu 1998 roku odbył się w szkole konkurs pod hasłem „Nie ma jak Lwów”.

We wrześniu 1998 roku uczniowie podczas festynu w Nowinach zaprezentowali montaż słowno-muzyczny pod tytułem „Orłęta Lwowskie”.

W lutym 1998 roku rozstrzygnięto konkurs na plakat o tematyce lwowskiej oraz architekturze Lwowa.

Ostatnie miesiące poświęcono przygotowaniu młodzieży do widowiska słowno-muzycznego na uroczystość nadania szkole imienia.

Podane wyżej imprezy są przykładem ogromnego zainteresowania teamtyką lwowską, w których brało udział w sposób zorganizowany kilkudziesięciu uczniów, nauczyciele, a ze strony Towarzystwa liczne grono osób, w tym p.p. Maria Domagała, Maria Budzińska, Czesława Fiedler.

Jedna z mieszkanek Nowin, jak o sobie mówi, Lwowianka od pięciu pokoleń, pani Krystyna Rymut, uczestniczyła w spotkaniach z młodzieżą opowiadając o swoich przeżyciach we Lwowie.

Zadanie, którego podjęła się społeczność szkolna dla otrzymania imienia „Orłąt Lwowskich” było możliwe też dzięki przychylności władz gminnych. A przecież w okresie tych lat zmieniały się opcje polityczne, zatem nie była to droga łatwa, ale mimo to zwycięska.

Uroczystość 20.04. br. rozpoczęła się Mszą świętą w miejscowym kościele, którą koncelebrował ks. biskup Marian Florczyk. Porywającą homilię wygłosił proboszcz tutejszego kościoła ks. Edward Nowak, wiodącym tematem swoich rozważań czyniąc Ojczyznę, jej katolickość w aspekcie historycznym oraz przesłanie na dziś, jakie przyniosła szkolna uroczystość.

W czasie Mszy świętej został poświęcony sztandar z herbem Lwowa i godłem Polski.



Uroczystość wręczenia dyplomów nadających godność honorowego członka Towarzystwa. Od prawej: pp. A. Pepasiński, B. Kowalczyk, A. Adamek-Ciszewska, E. Obręcka-Błoniarz, M. Trojanowska. Przy mikrofonie J. Dębicki.



Po odsłonięciu tablicy z nowym imieniem szkoły (w holu szkoły)

„Zawsze wierni Tobie Polsko – Orłęta. Lwów 1918 – Nowiny 1999, ku pełni życia” to napis umieszczony w sali gimnastycznej szkoły, gdzie odbyły się dalsze uroczystości.

Dyrektor szkoły, pani Elżbieta Obręcka-Błoniarz przypomniała historię szkoły i jej patrona, podkreśliła, że bohaterki czyn Orłąt Lwowskich nie tylko uratował Lwów, ale stał się przykładem męstwa i umiłowania ojczyzny dla przyszłych pokoleń.

Prezes Oddziału TMLiKPW w Kielcach, Jacek Dębicki przedstawił krótko historię dziesięciu lat działalności Towarzystwa, podziękował i gratulował wszystkim, którzy przyczynili się do nadania szkole imienia „Orłąt Lwowskich”.

Akt nadania Szkole imienia „Orłąt Lwowskich” wręczył pani dyrektor Przewodniczący Rady Gminy pan Zbigniew Pyk.

Sztandar z rąk fundatora odebrał prezes TMLiKPW w Kielcach przekazując go dyrektor Szkoły Podstawowej w Nowinach, która wręczyła sztandar uczniom.

Pani Maria Domagała, sekretarz TMLiKPW przekazała szkole urnę z ziemią z cmentarza Orłąt Lwowskich. Ta cenna pamiątka została umieszczona w szkolnej Izbie Pamięci Orłąt Lwowskich, otwartej w czasie odbywających się uroczystości.

Odsłoniętą w holu tablicę z imieniem szkoły i Izbę Pamięci poświęcił ks. bp Marian Florczyk.

W trakcie uroczystości przedstawicielom Grona Pedagogicznego, zasłużonym dla kultywowania związków ze Lwowem oraz współpracy z kieleckim Oddziałem TMLiKPW,



Część zespołu słowno-muzyczno-tanecznego w czasie uroczystości



Ks. biskup Marian Florczyk poświęca sztandar szkoły

wręczono dyplomy nadające godność honorowego członka Towarzystwa.

Z rąk członka Zarządu Głównego TMLiKPW pana dr. Kazimierza Rozmiłowskiego dyplomy otrzymali p.p.: Elżbieta Obręcka-Błoniarz, Regina Adamek-Ciszewska, Bogumiła Kowalczyk i Adam Pepasiński.

Godność tą i medal 10-lecia TMLiKPW wręczono panu Jerzemu Trojanowskiemu, właścicielowi firmy „Kredyt Serwis”, fundatorowi sztandaru.

Szkoła otrzymała też dwa obrazy namalowane przez lwowiaka prof. Władysława Szczepańskiego oraz od Zarządu Oddziału Towarzystwa kopię obrazu Kossaka „Orłęta”.

Na zakończenie uroczystości zaprezentowano prawie godzinne przedstawienie pt. „Droga do wolności krzyżami się mierzy”. Nauczyciele: Adam Pepasiński, Małgorzata Adach, Alicja Liskowacka starali się włączyć w przedstawienie jak najwięcej uczniów poświęcając na to wiele godzin dodatkowych zajęć. Spektakl ten to plon pracy całej szkoły w Nowinach. □

Zbigniew Umański Kronika Kresowa

Kto zmienił napis?

Po serii antypolskich wystąpień i prowokacji w ub. roku we Lwowie, ukraińscy nacjonaliści – przeciwnicy odbudowy Cmentarza Orłąt znowu dali znać o sobie. 13 maja br., na kilka godzin przed ustalonym wcześniej w tym dniu spotkaniem prezydentów Polski A. Kwaśniewskiego i Ukrainy L. Kuczmy na Cmentarzu Orłąt, zamontowano na Grobie Nieznanych Żołnierzy – w miejsce starej płyty, wielokrotnie profanowanej ze zniszczonym napisem – nową kamienną. Gdy obaj prezydenci spotkali się, aby uroczystie oddać hołd spoczywającym tu Orłątom spostrzegli, że treść napisu na płycie jest inna, niż uzgodniono w trakcie trudnych rozmów ze stroną ukraińską. Zamiast kompromisowego: „Nieznany żołnierzom polskim poległym w walce o niepodległość Polski”, widniał w obu językach wykuty zmieniony napis: „Nieznany polskim wojakom poległym w wojnie polsko-ukraińskiej 1918-1919”.

O samowolnej zmianie napisu strona polska nie została poinformowana. Mimo tej jawnej prowokacji wobec dwóch prezydentów, obaj – zaskoczeni i skonsternowani – postanowili jednak nie odwoływać uroczystości na Cmentarzu Orłąt i złożyli wieńce na płycie. Kwiaty zakryły napis. A. Kwa-



Prezydenci jednak złożyli kwiaty...

śniewski skomentował incydent: – Nie wolno zmieniać historii. Oczekuję, by ze strony władz miasta, samorządu Lwowa również był taki sposób myślenia... I dodał: – Jesteśmy cierpliwi i konsekwentni. Jestem przekonany, że doprowadzimy sprawę do finału, to znaczy wiosną przyszłego roku Cmentarz Orłąt będzie przywrócony do należytego stanu...

Po interwencji strony polskiej, już w nocy, nową tablicę zamieniono płytą bez napisu. Prowokacja się nie udała – do dyplomatycznego skandalu nie doszło. Pozostaje pytanie:

kto kazał zmienić napis? Odpowiedzialnością za to obarczyli siebie nawzajem dyrektor Cmentarza Łyczakowskiego – muzeum – J. Hawryszkiewicz, twierdząc, że taka była uchwała Rady Miejskiej Lwowa, i mer miasta W. Kujbida, który oświadczył, że nie była to jego decyzja i nic o takim napisie nie wiedział. Lwowski dziennik „Postup” sugeruje, że w wyniku tego wydarzenia może stracić posadę kilku urzędników. W mieście szerzą się pogłoski o planach usunięcia dyrektora Cmentarza Łyczakowskiego, który zdążył już... zachorować. Mówi się, że decyzję o usunięciu Ihora Hawryszkiewicza podjął osobiście prezydent Kuczma. Oświadczył, co odnotowała prasa:... – Kiedy podejmowane są decyzje bez uzgodnienia z władzami Ukrainy, przeciwko dokumentom, które podpisaliśmy, no to prezydent kraju musi być zażenowany. Tak nie może być...

Czy majowy incydent na Cmentarzu Orłąt będzie ostatnią prowokacją przeciwników odbudowy tej nekropolii wojskowej i rozpoczęte prace będą przebiegały bez przerw, zakłóceń i zakazów – zgodnie z porozumieniem polsko-ukraińskim podpisanym w br. w Warszawie? Oczywiście zależy to od strony ukraińskiej, a szczególnie lokalnych władz lwowskich i czy będą nadal tolerować antypolskie ekscesy i prowokacje? Zatruwają one atmosferę zbliżenia, bez którego trudno o pojednanie obu narodów, w którym my kresowianie chcemy i mamy prawo uczestniczyć.

Honory dla Tunia



Wojciech hr. Dzieduszycki przyjmuje gratulacje po udekorowaniu go Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski

W tym roku, a w 87 roku życia Tunio, czyli Wojciech hrabia Dzieduszycki – najpopularniejszy lwowianin we Wrocławiu i kresowiak na Dolnym Śląsku od 1945 r., doczekał się wreszcie należnych mu już dawno honorów. W maju wojewoda wrocławski wręczył mu uroczystie Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski przyznany na wniosek Zarządu Głównego TMLiKPW przez prezydenta

RP za zasługi w popularyzowaniu historii i kultury Kresów. Władze miasta uhonorowały Go tytułem Civitate Wratislaviensi Donatus – Honorowym Obywatelem Wrocławia. Został ojcem chrzestnym pociągu InterCity Wrocław-Warszawa-Wrocław, któremu nadał imię, nazwisko i tytuł swojego pradziadka – „Aleksander hr. Fredro”. O Tuniu pełno ostatnio w eterze, na wizji i na łamach miejscowej prasy – „Gazeta Dolnośląska” poświęciła Mu aż dwie kolumny. Na rynku księgarskim ukazała się książka pt. „Miesiące mojego życia” – z Wojciechem hr. Dzieduszyckim rozmawia Hanna Hannowa. Tytuł mówi wszystko. Dodamy tylko, że książkę, bogato ilustrowaną fotografiami rodzinnymi, fotokopiami ważnych dokumentów, rysunkami czyta się jak najciekawszą powieść i od razu stała się bestsellerem nad Odrą.

Tunio to postać niezwykle barwna, fascynująca! Był skrzypkiem, śpiewakiem operowym, biegaczem, koniarzem zgodnie z rodzinną tradycją kresową. Podczas wojny więzieniem obozów koncentracyjnych, a po jej zakończeniu – specjalistą od młynów: chlubi się, że wymyślił „Mąkę Wrocławską” i makaron czterojajeczny: tona mąki i cztery jaja! Po „okresie młynów” był publicystą, animatorem wrocławskiej kultury, literatem no i twórcą, wraz z żoną Haliną, kabaretu „Dymek z papierosa”, z którym objeździł niemal całą kulę ziemską. Nadal niezwykle czynny jest przewodniczącym Sekcji Krytyków i Publicystów Muzycznych SPAM, prezesem wrocławskiego Koła Towarzystwa im. Fr. Chopina, które prowadzi liczne koncerty promujące młodych artystów, organizuje Międzynarodowe Forum Młodych Chopinistów we Wrocławiu. Pisze do miesięcznika „Odra” i co tydzień „Listy do pani Ewy” w „Wieczorze Wrocławia” o aktualnych wydarzeniach kulturalnych.

Można go spotkać na wszystkich ważniejszych festiwalach muzycznych i koncertach, spektaklach operowych, operetkowych i teatralnych. Ale zawsze znajdzie czas na spotkanie z kresowiakami – zapraszany, porywany, odwiedza ich w różnych miastach, ale najczęściej we Wrocławiu. Oczywiście uczestniczy też co roku w imprezach organizowanych z okazji Dni Lwowa nad Odrą. Nie zabraknie go i na jubileuszowych, które odbędą się w dniach 19-21 czerwca we Wrocławiu – poprowadzi Koncert Galowy, z udziałem Zbigniewa Kurtycza i Barbary Dunin oraz kabaretu „Pacalycha”. Zapraszamy serdecznie!

A gdy już będziecie we Wrocławiu to koniecznie odwiedźcie Muzeum Archeologiczne. Można tam zobaczyć 800 eksponatów z b. Muzeum Historii Naturalnej we Lwowie, założonego przez pradziadka p. Wojciecha, Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego – zapalonego zbieracza – a obecnie Muzeum Przyrodniczego Narodowej Akademii Nauk Ukrainy. Tunio deklaruje, że z przyjemnością będzie przewodnikiem po tym czarodziejskim świecie fauny i flory tak mu bliskim sercu, bo znanym ze wspomnień i zachwyków z lat dziecińczych.

Drogi Tunio – jesteśmy z Ciebie dumni i serdecznie gratulujemy wysokiego odznaczenia oraz wyróżnień. Daj Ci Boży dużo zdrowia!

Polskość w cenie

Do łaski marszałkowskiej w Sejmie trafiły trzy projekty ustaw: o obywatelstwie polskim, o repatriacji i Karcie Polaka, powstałe z inicjatywy Klubu Senatorskiego AWS. Ustawa o repatriacji ma ułatwić osiedlenie się w kraju Polakom mieszkającym za granicą, także tym, którzy nie mają polskiego obywatelstwa. Projekt ustawy o obywatelstwie prze-

widuje, że obywatelstwa nie można nikogo pozbawić, a stracić je można tylko rezygnując z niego. Wszyscy, którym obywatelstwo polskie odebrano, będą mogli złożyć wniosek o jego przywrócenie.

Projekty mówią więc o prawie i trybie odzyskiwania obywatelstwa bezprawnie odebranego lub odrzuconego pod przymusem, o repatriacji (z ułatwieniami dla Polaków mieszkających w azjatyckich republikach b. ZSRR, ale regulowanej przez pełnomocnika rządu) i o trybie stwierdzania narodowości polskiej oraz udzielania tym rodakom, którzy nie chcą lub nie mogą przyjąć obywatelstwa, przywileju ojczyźnianego w postaci Karty Polaka (uprawniającego do tzw. wizy narodowościowej i pobytu w Polsce, nie jako cudzoziemcy).

Polskie papiery, dokumenty, na czarnym rynku w Rosji i Kazachstanie kosztują podobno po kilkaset dolarów.

Rajdy sentymentalne

Z początkiem maja odbył się, już piąty z kolei, Rajd Szlakami Zabytków Lwowa we Wrocławiu oraz Konkurs Wiedzy o Lwowie, organizowany tradycyjnie przez Oddział wrocławski TMLiKPW, Klub Piechurów „Perpedes” PTTK oraz Młodzieżowy Dom Kultury im. M. Kopernika. W rajdzie, którego celem jest ukazywanie związków naukowych, kulturalnych i historycznych między Lwovem a Wrocławiem uczestniczyło 100 dziewcząt i chłopców, uczniów wrocławskich szkół.

W jubileuszowym rajdzie najlepszymi okazały się: drużyna Szkoły Podstawowej nr 96, której uczniowie z kl. IV odszukali na jednym z wrocławskich cmentarzy – przy ul. Bujwida – groby lwowiaków zasłużonych dla nauki, kultury i oświaty Wrocławia, oraz drużyna Prywatnego Liceum Ogólnokształcącego Sióstr Urszulanek, która przeprowadziła ciekawy wywiad z Wojciechem hr. Dzieduszyckim podczas uroczystości odznaczania Go Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.



Beata Zygadło, Ania Błaszak i Piotr Krysiński z ZS nr 3 odwiedzili inż. Jana Romera, wnuka słynnego kartografa lwowskiego Eugeniusza Romera. Rezultatem wizyty są nagrane wspomnienia i zdjęcia.

II miejsce przyznano drużynie Zespołu Szkół nr 3. Przygotowując się do nadania ich szkole imienia słynnego lwow-

skiego kartografa, Eugeniusza Romera, odwiedzili jego wnuka inż. Jana Romera – dowiedzieli się wiele o jego dziadku i o nim samym.

III miejsce w tegorocznym rajdzie zdobyła drużyna Szkoły Podstawowej nr 91 im. Orłąt Lwowskich, która przygotowała obszerne opracowanie dotyczące Pomnika Orłąt Lwowskich w dzielnicy Sępolno. Jego budowę zainicjował wraz z przyjaciółmi z Politechniki Wrocławskiej śp. prof. Zbigniew Siciński.

W finale Konkursu Wiedzy o Lwowie najlepiej przygotowanymi okazali się: 1. Tomasz Grzebyk ze Szkoły Podstawowej nr 37 (pomógł mu w dobrym przygotowaniu się nauczyciel Robert Tomczyk), 2. Zuzanna Hałatówna ze Szkoły Podstawowej nr 65, 3. Anna Błaszak z Zespołu Szkół nr 3. Miejscami 4 i 5 podzielili się: Jakub Reczuch ze Szkoły Podstawowej nr 25 i Karol Szczęśniak z SP nr 37.

Dwoje pierwszych laureatów tego konkursu wyjedzie w nagrodę na wycieczkę do Lwowa, pozostali finaliści zostali zaproszeni do Muzeum Panoramy Raclawickiej i obejrzenia słynnego malowidła lwowskich artystów.

Imprezę zakończył występ uczniów XI Liceum Ogólnokształcącego, którzy pod kierownictwem pań Joanny Bryckiej i Elżbiety Pietrzyk przygotowali program „Sentymentalna podróż do Lwowa”.

Gratulujemy laureatom, do zobaczenia za rok!

Szczepciu zagrał w „Domu”

W ostatnim odcinku telewizyjnego filmu „Dom”, według scenariusza Jerzego Janickiego i Andrzeja Mularczyka wystąpił na szklanym ekranie popularny Szczepcio z bytomskiej „Pacałychy”, czyli Rysio Mosingiewicz. Zagrał rolę przybywającego z wizytą do kraju z Anglii Szczepana Pocięgło, brata Antoniego Pocięgło, którego grał nieodżałowany Jurek Michotek. Postać brata Szczepana wprowadził J. Janicki do scenariusza już po śmierci Michotka, chcąc utrzymać lwowski wątek w tym filmie. Do zagrania jej wybrał, spośród wielu kandydatów, Szczepcia z „Pacałychy”. Choć jest on tylko amatorem i nigdy w żadnym filmie nie wystąpił, w finale „Domu” zagrał – według zgodnej opinii ludzi filmu i widzów – nadspodziewanie naturalnie, z lwowskim wdziękiem, zdobywając za tę epizodyczną rolę duże uznanie. Szczególnie autentycznie brzmiał jego lwowski bałak. – Nic trudnego – twierdzi Szczepciu: Trzeby być lwowiakiem i codziennie bałakać...

Już się nie podoba

Jeszcze nie wszedł na ekrany ukraińskich kin film „Ogniem i mieczem” Jerzego Hoffmana, a już spotkał się z ostrą krytyką na łamach kijowskiego tygodnika „Polityka i kultura”. Autor artykułu pt. „Ogniem i mieczem po ukraińsko-polskich stosunkach” Wołodmyr Pawliw, dotychczas znany jako dziennikarz telewizyjny (przez rok był korespondentem w Warszawie) pisze, że film ten kształtuje nieprawdziwy wizerunek Ukraińców, powielając negatywny stereotyp utrwalony w książce Sienkiewicza. „Dla polskich ultrapatryotów powieść „Ogniem i mieczem” była i jest świadectwem tego, że Ukraińcy byli zawsze bydlęciem i dzikusami. Dla Ukraińców jest świadectwem wrogiego stosunku Polaków, budowanego na kłamstwie...” – pisze A. Pawliw.

Ciekawe, czy przeciętny widz ukraiński też będzie miał tak wysoce krytyczną ocenę „Ogniem i mieczem”, gdy wejdzie on tam na ekrany kin?

Nagroda im. R. Gąsowskiego

Małgorzata Ruchniewicz, pracownik naukowy w Instytucie Historii Uniwersytetu Wrocławskiego otrzymała z rąk rektora UW r. prof. R. Dudy nagrodę im. Romana Gąsowskiego za pracę doktorską pt. „Tzw. repatriacja ludności polskiej z ZSRR w latach 1955-1959”.

R. Gąsowski był prawnikiem, profesorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. W 1939 r. wraz z innymi wykładowcami tej uczelni został aresztowany przez NKWD, osadzony w obozie w Ostaszkowie i w 1940 r. zamordowany w Miednoje. Nagrodę jego imienia ufundowała w ubiegłym roku córka – Anna Dadlez mieszkająca w USA, profesor w amerykańskich uczelniach. Celem wyróżnienia jest wspieranie badań nad tematyką martyrologii polskiej ludności cywilnej na Wschodzie i walką o niepodległość w kraju. W ub. roku nagrodę otrzymał, z rąk fundatorki, student Instytutu Historii UW r. Tadeusz Balbus za pracę magisterską o polskiej organizacji niepodległościowej działającej po wojnie na Dolnym Śląsku.

Nagroda im. R. Gąsowskiego będzie wręczana co roku.

Mają sztandar

Kolejny oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch., tym razem w Bytomiu, zafundował sobie sztandar. Poświęcono go podczas uroczystej Mszy św. w kościele św. Wojciecha, a dokonał tego aktu ks. Adam Wiktorow, dziekan Dekanatu Bytomskiego.

Zabytki Lwowa zagrożone

Olgiard Czerner, dyrektor wrocławskiego Muzeum Architektury, jako delegat rządu RP do spraw dziedzictwa kulturalnego za granicą, uczestniczył ostatnio w konferencji poświęconej problemom ratowania zabytków Lwowa. Władze miasta zostały zobowiązane do szczegółowej opieki nad jego najstarszą częścią po wpisaniu Lwowa na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

– Muszę przyznać – powiedział O. Czerner po powrocie z tego pięknego miasta – że to, co tam zobaczyłem, nie pozwala optymistycznie patrzeć na przyszłość lwowskich zabytków. Przede wszystkim nie istnieje jakikolwiek plan urbanistyczny, który określałby zakres opieki i renowacji. Dla przykładu: odnowiono wprawdzie pomnik A. Mickiewicza, ale jednocześnie w jego bezpośrednim sąsiedztwie wyburzono trzy zabytkowe kamienice.

Czy w ten sposób władze miejskie Lwowa chcą rozwiązać problem ratowania zabytków? Skąd my to znamy...

O granat Babcı Pawlakowej

Przyznajemy: nie wiedzieliśmy o Ogólnopolskiej Biesiadzie Zespołów Kresowych, która odbyła się w maju w Pielgrzymce koło Złotoryi na Dolnym Śląsku. Nigdy nie dostaliśmy zaproszenia. A w tym roku zorganizowano już IV Biesiadę. Przyjechały na nią 24 zespoły ludowe kultywujące wschodnie tradycje – z podwrocławskiej Oleśnicy, z województwa pomorskiego i lubuskiego. Dwa działają w samej Pielgrzymce.

Rywalizowali o Złoty Granat Babcı Pawlakowej. Śpiewali po kresowemu, także po ukraińsku, białorusku i łemkowsku. Ale nie tylko śpiew, taniec i oryginalne stroje prezentowano podczas Biesiady. Można też było spróbować oryginalnych nalewek kresowych – soku z brzozy, samogonów o różnych smakach i wina z przeróżnych owoców. Zaprezentowano również wyroby rzemiosła kresowego: żarna, cepy, zgrzebła do lnu, maślanice, a nawet drewnianą pralkę. Do-

datkową atrakcją dla uczestniczących w IV Biesiadzie było spotkanie z pisarzami i poetami piszącymi o Kresach z różnych stron kraju.

V Biesiady w Pielgrzymce nie odpuścimy – czekamy na zaproszenie!

Para królewska i uczniowie

Wrocławska „Panorama Raławicka” ma w sobie jakiś urok, magnetyzm przyciągający do niej ludzi z różnych stron. Ostatnio odwiedziła ją para królewska z Belgii – król Albert II i królowa Paola. Bardzo się im podobała. Oczarowani nią byli także uczennice i uczniowie szkoły polskiej nr 24 we Lwowie, którzy bawiąc na zaproszenie PCK w Lwówku Śl. i Zespołu Szkół Ekonomiczno-Technicznych w Rakowicach Wielkich, która nawiązała z „24” stały kontakt, specjalnie przyjechali do Wrocławia, aby obejrzeć Panoramę. Dyrekcja muzeum zafundowała im wejściówki, a gościli ich Zarząd Główny TMLiKPW oraz Fundacja Kresowa „Semper Fidelis”. Zwiedzili też najważniejsze wrocławskie zabytki i spotkali się z kierownictwem obu organizacji kresowych. Zaśpiewali im kresowe piosenki. Pełni wrażeń, obdarowani podarkami, nakarmieni przez Pizza Hut i włoską pizzerię „Roma”, z zalem opuszczali Wrocław.

Pomnik Bolesława Chrobrego

Czy stoi gdzieś w Polsce pomnik króla B. Chrobrego? Na pewno stanie w 2000 roku we Wrocławiu – zapewnia Fundacja „Pro Wratislavia”, która postanowiła wznieść go. – Jest to ten z wielkich Polaków, który dla Wrocławia zrobił najwięcej – twierdzą jej szefowie. – W roku tysięcznym odwiedził nasz gród, ustanowił biskupstwo, ufundował katedrę i założył podwaliny późniejszego rozwoju miasta. A poza tym był – co my sobie uświadamiamy dopiero od niedawna – orędownikiem idei zjednoczenia Europy. No i, dodajmy, utrwalił zachodnią granicę państwa polskiego wbijając słup graniczne w dno Odry.

Pomysł poparły władze miasta oraz przedstawiciele Kościoła katolickiego i ewangelicko-augsburskiego. Środki na budowę pomnika, na granitowym cokole w centrum miasta, założyciele Fundacji „Pro Wratislavia” zdobędą sami.

Kresowiaci poprą tę ideę i pomogą w jej zrealizowaniu.

Dni Lwowa nad Wartą

Nie wiemy dlaczego poznańscy lwowiaci, którzy byli organizatorami Dni Lwowa w Poznaniu w dniach 17-18 kwietnia br. – z okazji X-lecia działalności Oddziału TMLiKPW w grodzie nad Wartą – nie przysłali nam relacji i zdjęć z ich przebiegu do tego numeru „SF”. Żałujemy, bo były b. udane, przede wszystkim lwowskie, a urządzone z wielkopolskim rozmachem i poznańską dokładnością organizacyjną. Z kronikarskiego obowiązku więc odnotujemy je w wielkim skrócie.

Odbywały się w salach, kularach i na scenie Centrum Kultury „Zamek”, w restauracji „Kresowa” i na ulicach Poznania. Rozpoczęło je uroczyste, ale b. robocze wyjazdowe posiedzenie Zarządu Głównego TMLiKPW. Potem gospodarze – Oddział TMLiKPW w Poznaniu – zaprosili gości przybyłych z różnych stron na piknik do stylowej restauracji „Kresowa” na Starym Mieście. Od 5 lat jest miejscem spotkań poznańskich kresowiaków. Tu lwowiaci mogą zamówić sobie prawdziwie lwowskie pierogi, gołąbki, barszcz, a wilnianie swoje kołduny, bliny, cepeliny lub inne swojskie potrawy serwowane w kresowej scenerii...

Dni Lwowa w Poznaniu zainaugurowało uroczyste otwarcie w kularach „Zamku” wystawy „Ach! Ten Lwów” – prac poznańskiego fotografa, pana Feliksa Sikorskiego, który młodzieńcze lata przeżył w tym mieście. Na kilkudziesięciu fotogramach różnej wielkości autor utrwalił piękno miasta „Semper Fidelis”, przez wieki związanego z Polską. Cudowne zdjęcia – jakby artysta fotografował Lwów sercem! Zgotowano mu gorącą owację.

Zanim rozpoczął się w Wielkiej Sali „Zamku” „Lwowski wieczór galowy” – spektakl teatralny w wykonaniu Teatru Polskiego ze Lwowa – w „kresowy nastrój” wprowadziły licznie przybyłych poznańskich piosenki i melodie w wykonaniu folklorystycznego zespołu „Żarna” z Sambora oraz... złoty napój, serwowany bezpłatnie w kularach przez browar „Lech”. Smakował – dalibóg! – jak lwowski...

Na zakończenie „Lwowskiego wieczoru galowego”, z udziałem przedstawicieli poznańskich władz wojewódzkich i miasta, odbyło się w sali teatralnej uroczyste wręczenie odznaczeń, w tym Złoty Odznak Honorowy zasłużonym kresowiakom i tym, którzy pomagają poznańskiemu TMLiKPW w jego aktywnej działalności, niesieniu pomocy rodakom, parafiom, szkołom na Kresach. Składając im podziękowania i gratulacje prezes Oddziału TMLiKPW w Poznaniu dr Tomasz Naganowski przypomniał, że powstał on spontanicznie w lutym 1989 r. W ciągu 10 lat swój akces do Towarzystwa zgłosiło ponad 600 osób, głównie lwowiaków i kresowiaków, ale nie tylko. Inteligencja lwowska przybyła po wojnie do grodu nad Wartą wniosła duży wkład do rozwoju zwłaszcza poznańskiej nauki, ale także i innych dziedzin i nadal czynnie uczestniczy w życiu kulturalnym miasta. Przedstawiciele poznańskich władz podziękowali kresowiakom za to.

Końcowym akcentem Dni Lwowa w „Zamku” była wspólna Wielka Biesiada w kularach wszystkich, którzy uczestniczyli w jubileuszu TMLiKPW, urządzonej przez poznańskich sponsorów. Przy śpiewie i muzyce zespołów artystycznych i ... odgłosach szabel, jako że w sali Marmurowej szabliści walczyli o I Puchar Europy w Szabli Mężczyzn oraz „Szablę Lwowską”, ufundowaną z okazji lwowskiego jubileuszu w grodzie nad Wartą. Biesiadowano, bawiono się do późnej nocy...

W niedzielę, poznańscy lwowiaci i kresowiaci oraz ich goście i sympatycy spotkali się rano na Mszy św. odprawionej w ich intencji w kościele Najświętszego Zbawiciela. A potem udali się na przejażdżkę po mieście „Tramwajem lwowskim”, w towarzystwie poznańskich harcerzy.

To były piękne DNI – gratulujemy poznańskim lwowiakom i kresowiakom!

A. Michniewski

A co słyhać w Zabrze?

Uroczystości z okazji X-lecia TMLiKPW rozpoczęły się w Zarządzie Oddziału w Zabrze jeszcze w październiku 1998 roku.

Na wstępie zaprosiliśmy ks. Andrzeja Jagiełkę proboszcza parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy za Zboisk we Lwowie. Ks. Andrzej Jagiełka, budowniczy nowego kościoła, wygłaszał kazania w czasie niedzielnych mszy św. Podczas mszy świętych zbierał na budujący się kościół. W wyniku kwesty uzbierał 9643 zł i 200 marek. Po ostatniej mszy świętej ksiądz spotkał się z członkami Zarządu, których zaznajomił ze stanem budowy kościoła, dzieląc się szczegó-

łowymi informacjami ilustrowanymi aktualnymi fotografiami.

W dniu 11.XI.1998 delegacja naszego Oddziału wzięła udział w miejskich uroczystościach z okazji Święta Narodowego.

17 grudnia 1998 odbyła się promocja nowej książki prof. Sławomira Stanisława Nicieji „Łyczaków – dzielnica za Styksem”. Prof. Nicieja rozpoczął prelekcję o godzinie 16.00, jak zwykle opowiadał niezwykle ciekawie i interesująco. Przy nie kończącej się dyskusji, dobrym torcie i herbacie to wspaniałe spotkanie skończyło się o 21.30. I gdyby nie konieczność powrotu prof. Nicieji do Opola impreza trwałaby do rana. W tym dniu rozeszło się przeszło 40 egzemplarzy książki z autografami autora.

W piątek dnia 21.XI.1998 w kościele św. Anny odbyła się msza św. koncelebrowana przez prałata ks. Gerarda Kowolika proboszcza parafii św. Andrzeja w Zabrze. Ksiądz Kowolik wygłosił patriotyczną homilię. W czasie mszy wystąpiło 7 pocztów sztandarowych: 2 AK z Zabrze i Gliwic, 2 górnicze, z Komendy Policji, 1 kościelny i z Koła Łowieckiego „Jeleń”. W czasie mszy świętej wystąpił 42 osobowy chór Resonans con Tutti, soliści Opery Śląskiej, artyści z Teatru Nowego z Zabrze, Bogdan Kasprówicz opowiedział historię walk o Lwów w pamiętnym 1918 roku.

Po mszy świętej w sali witrażowej Muzeum Górniczego Węglowego odbył się wspaniały koncert 8 osobowego dziewczęcego zespołu z 18 letnim akompaniamentem Piotrem z Nowego Sącza, zespół pod dyrekcją dr. Jerzego Masióra. Jak zwykle Jerzy Masiór zaskoczył przekrojem wiekowym występującej młodzieży od 8 letniej Marysi, poprzez 13 letnią Kingę do 18 letniej Ani Patykównej. Koncert trwał długo, bardzo długo i trwałby jeszcze dłużej, ale w kuluarach niecierpliwili się artyści lwowskiej kapeli z Przemyśla czyli zespół „Ta joj”. A oni jak się rozochocą to, wiadomo, grają do wyczerpania swoich możliwości, występ ich skończył się krótko przed godziną 22.00. Bisom i owacjom nie było końca, przepełniona sala witrażowa trzęsa się od oklasków.

W grudniu 1998 nastąpiło otwarcie wystawy po raz pierwszy od 70 lat wystawionej poza Lwowem „Klejnoty ordynacji Dzieduszyckich ze zbiorów Lwowa”. Na otwarcie przyjechał Piotr hrabia Dzieduszycki z Brazylii, kuzyn Wojciecha Dzieduszyckiego. Wojciech Dzieduszycki zaproszony przez nas do Zabrze na otwarcie wystawy nie mógł przybyć z powodu choroby.

W miesiącu styczniu 1999 r. zakończyliśmy uroczystości X lecia TMLiKPW urządzając w Muzeum Miejskim w Zabrze wystawę „Dwory i pałace na Kresach Wschodnich”. Na wystawę złożyło się 40 kolorowych fotografii wykonanych przez 2 absolwentów Wydziału Historii Uniwersytetu Warszawskiego pod kierunkiem prof. Tadeusza Jaroszewskiego.

Jubileusz 10-lecia powstania TMLiKPW w Przemyśle

W dniach 5-7.03.1999 r. obchodzone były w Przemyśle niezwykle uroczyste Dni Lwowa, które zbiegły się z jubileuszem 10-lecia powstania Oddziału Przemyskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Historia powstania TML sięga końca lat osiemdziesiątych, kiedy to zaczęły powstawać na terenie kraju stowarzy-



szenia, gromadzące dawnych kresowian, którzy pragnęli propagować tradycję, kulturę i dorobek dziejowy Lwowa i innych miast Kresowych, a także nieść pomoc zamieszkałym na Ukrainie rodakom. Tendencje te nie ominęły również Przemyśla, gdzie 4.03.1989 r. odbyło się I Walne Zebranie, wyłoniony został Zarząd, na czele którego stanął Pan mgr Krzysztof Nowakowski, TML rozpoczęło swoją działalność, wypełniając zadania statutowe, a przede wszystkim niosąc pomoc potrzebującym rodakom na Ukrainie, organizując liczne i bez przeszkód wyjazdy z pomocą charytatywną. Wielkie zasługi położył dla rozwoju TML kolejny Prezes Pan Zbigniew Kuchciński, oddany sprawom Kresów. Aktualny Zarząd TML liczy 8 osób z Prezesem Panem mgr inż. Stanisławem Lepszym. Jemu to właśnie oraz Zarządowi przypadło w udziale zorganizowanie uroczystości 10-lecia TML. W uroczystym spotkaniu jubileuszowym uczestniczyli przedstawiciele zaproszonych Oddziałów TML, z przedstawicielem Zarządu Głównego TML we Wrocławiu, delegacjami TML z Lublina, Tarnowa, Rzeszowa, Jarosławia, Przeworska, przedstawiciele władz miejskich z Prezydentem Przemyśla, dziennikarze lokalnych gazet oraz RTV. Nie zabrakło oczywiście przedstawicieli Lwowa w osobach Konsula, Prezesa Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej p. E. Legowicza, przedstawicieli „Gazety Lwowskiej”, Prezesów Oddziałów TKPZL z innych miast Ukrainy, Chóru „Echo” ze Lwowa, zespołu „Lwowiaczy” i innych.

Uroczystości jubileuszowe poprzedził 4.03.1999 r. recital fortepianowy Etelii Czupryk, utalentowanej pianistki ze Lwowa, która wykonała „Arcydzieła Muzyki Kameralnej” na Zamku Kazimierzowskim.

Otwierając jubileuszowe uroczystości Prezes St. Lepsi przedstawił wszystkim obecnym bilans 10-letniej działalności TML Oddział Przemyśl, które są imponujące, zarówno w dziedzinie kultury, nauki, jak i szerokiej akcji charytatywnej.

TML w Przemyśle kontynuuje współpracę z Towarzystwem Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej we Lwowie, Szkołami Polskimi nr 10 i 24 we Lwowie, którym przekazywane są książki, pomoce naukowe. Dla dzieci i młodzieży pochodzących z polskich rodzin organizowane są od lat kolonie letnie w Babicach nad Sanem, gdzie co roku odpoczywają w Ośrodku Sportu i Rekreacji UG w Krzywczycy oraz korzystają z zajęć programowych, przybliżających młodzieży kulturę, język, tradycję polską. Środki finansowe na zorganizowanie kolonii przekazywane były dotychczas przez UW w Przemyśle, Kuratorium Oświaty i Wychowania UM, TML oraz licznych sponsorów, którzy ufundowali cenne nagrody i pre-

zenty w postaci książek, zabawek, obuwia sportowego, paczek żywnościowych.

Doskonałą organizację kolonii rokrocznie zapewnia Wiceprezes TMLiKPW Pan mgr Janusz Piwiński. Niezwykle ważną dziedziną działalności TML Oddziału w Przemysłu jest dostarczanie i organizowanie pomocy charytatywnej, która polega na przekazywaniu rodakom z Ukrainy żywności, środków spożywczych, odzieży, obuwia, mimo istniejących trudności w przekazywaniu tych darów jest ona realizowana. Zawsze można liczyć na serdeczną pomoc członków TML oraz sponsorów, którzy niejednokrotnie wykazywali hojność i bezinteresowność wspierając te akcje. Reprezentujący Zarząd Główny Pan Andrzej Kaminski wręczył Złote Odznaki Towarzystwa pp. Antoninie Kozakiewicz, Julianowi Sitarzowi, Tadeuszowi Feczko, Mieczysławowi Dziurakowi, Czesławowi Sawiczowi. Nie zapomniano i o sponsorach, którzy wspierają działalność TML, dofinansowują kolonie letnie, pomagają przy przewozie darów, wręczając im dyplomy uznania. W części oficjalnej wystąpił chór „Echo” ze Lwowa, wykonując kilka pieśni patriotycznych, które ze wzruszeniem zostały wysłuchane przez zebranych uczestników uroczystości.

Przemyskim obchodom jubileuszowym towarzyszyły wystawy fotografii przedwojennego Lwowa oraz grafik związanych z tematyką Lwowa i Kresów, ponadto udostępniona została Kronika Towarzystwa z niezwykle interesującymi faktami i bogatą szatą graficzną. W części artystycznej wysłuchano z prawdziwą przyjemnością programu poetycko-muzycznego, wykonanego przez uczniów klasy VI i VII Szkoły Podstawowej nr 16 w Przemysłu, noszącej imię Orłat Lwowskich i pozostającej pod patronatem TMLiKPW w Przemysłu.

Program poetycko-muzyczny pt. „Wróc do Lwowa” oparty był na wybranych fragmentach interpretacji poezji Mariana Hemara. W dalszej części koncertu gościła na estradzie lwowska piosenka, humor, taniec, a to za sprawą Zespołu Pieśni i Tańca „Lwów” ze Lwowa oraz Kapeli Przemyskiej „Ta joj” Kazimierza Galikowskiego, który z powodu choroby nie mógł osobiście wystąpić przed publicznością. Wspaniale zastępował go nieoceniony Artur Dobiszewski, który doskonale zaprezentował humor i bałak lwowski. Wspomnieć należy, iż w części oficjalnej p. A. Dobiszewski wyróżniony został dyplomem uznania.

W ostatnim dniu uroczystości jubileuszowych odprawiona została uroczysta Msza św. w intencji zmarłych i żyjących członków TMLiKPW w Przemysłu oraz za wszystkich kresowian. Mszę koncelebrowali biskupi przemyscy oraz ks. biskup ze Lwowa. Śpiewał chór „Echo” ze Lwowa, a wspaniałą homilię wygłosił ks. Tadeusz Pater, duszpasterz TML, który zawsze uczestniczy we wszystkich uroczystych chwilach TML. W uroczystej mszy św. uczestniczyli członkowie Zespołu Pieśni i Tańca „Lwów” pod kierownictwem p. Stanisława Durysa, którzy wystąpili w staropolskich kontuszach, niezwykle dostojnie prezentując się w Katedrze Przemyskiej.

Jubileusz 10-lecia Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Przemysłu ukazał jak żywe i silne są więzy łączące Przemysł ze Lwowem oraz z innymi miastami kresowymi, otwarcie na potrzeby i troski dnia codziennego pozostałych i żyjących tam rodaków, pielęgnowanie dorobku kulturalnego, popularyzowanie tradycji, dorobku i kultury kresowej, a także dalszą pomoc w jak najszerszym wymiarze.

Janina Oparowska

„Święcone” u Kresowiaków

Powiało wiosennym kresowym powiewem w niedzielę 18 kwietnia 1999 r., gdy dawni mieszkańcy parafii Nawaria koło Lwowa zgromadzili się u Sióstr Marii Niepokalanej we Wrocławiu na uroczyste okolicznościowe spotkanie pn. „Święcone”. Na to spotkanie przybyli dawni nawaryjscy parafianie z różnych miejscowości – z Urazu, z Jawora, z Prudnika – a także z Wrocławia i jego najbliższych okolic.

Zgromadzili się – jak dzieje się tak od kilku lat – pod przewodnictwem Czcigodnego Duszpasterza – ks. kanonika Franciszka Rozwoda.

O godz. 13 w kaplicy klasztornej została odprawiona uroczysta Msza św. celebrowana przez naszych duszpasterzy – ks. Kanonika Franciszka Rozwoda, ks. prałata Walentego Szałęgi oraz ks. Zygmunta Pawłowskiego. Są to kapłani, którzy posiadają szczególne związki z dawną parafią nawaryjską.

W czasie tej wyjątkowej Mszy św. homilię wygłosił ks. kanonik Franciszek Rozwód. Słowa homilii w przeważającej części nawiązywały do przeżyć nas – Polaków – pochodzących z Ziemi Lwowskiej. Mówca podkreślił ogromną rolę jaką spełnili Polacy, którzy przybyli z Kresów Wschodnich i osiedlili się we Wrocławiu i na całym Dolnym Śląsku. Przenieśli stamtąd tu na tę ziemię odzyskaną swoje tradycje, obyczaje, a przede wszystkim głęboką wiarę i szczerą, i prawdziwy patriotyzm. Przenieśli wiarę, która wielokrotnie była poddawana próbie pod względem trwałości i wierności Bogu, szczególnie pod okupacją sowiecką, wiarę która tam przeszła jak gdyby „chrzest bojowy”.

Dlatego wrastaliśmy tu, w tą nową dla nas ziemię, umocnieni duchem silnej wiary i polskości. Tą wiarę i polskość zakorzeniliśmy w ziemi dolnośląskiej.

Myśli i uczucia wyrażone w tej szczególnej homilii przez naszego duszpasterza wzruszyły nas do głębi, napęłniły nas pewną dumą, dodały nam odwagi do przeżywania obecnej trudnej rzeczywistości.

Po Mszy św. wszyscy udali się do klasztornej refektarza. Tu na stołach przykrytych białymi obrusami i udekorowanych pierwszymi wiosennymi kwiatami przygotowano specjalny na tę okazję posiłek.

Następnie ks. kan. Franciszek Rozwód dokonał powitania wszystkich przybyłych na to spotkanie oraz duszpasterzy w osobie ks. prałata Walentego Szałęgi, ks. Zygmunta Pawłowskiego, a także ks. kanonika Stanisława Dragułę z Niwnik, który pełni funkcję wiceprezesa Komitetu Pomocy Kościołom na Wschodzie.

W dalszej części powitań p. Janina Oparowska w imieniu komitetu organizacyjnego tego spotkania powitała zaproszonych gości, a wśród nich prezesa Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Siemianówki – p. Bolesława Bednarskiego i jego siostrę p. Zofię Bednarską, przedstawicielkę KSW-Oddział Wrocław – prof. dr historii p. Helenę Kałucką, seniorkę – mającą swój rodowód w Glinnej koło Lwowa – p. Wandę Modzelewską.

Szczególnie zostały powitane rodziny dawnych parafian nawaryjskich, które przybyły na to spotkanie w kilkuosobowym gronie np. rodzice z dziećmi, bracia i siostry itp.

A więc były to rodziny: Gołębiewiczów, Szałęgów, Barabaszów, Pawlaczków, Najwrów, Malickich, Królikowskich, Olszewskich, Wróblewskich, Kramarzewskich, Jastrzębskich, Owczarów i innych.

Są to rodziny, które zawsze uczestniczą w spotkaniach, jeżdżą do Nawarii z pielgrzymką. Rodziny te podtrzymują łączność z Polakami tam żyjącymi i wspomagają swój dawny kościół parafialny.

Ks. prałat Walenty Szalega w sposób bardzo uroczysty dokonał poświęcenia jajek i pokarmów znajdujących się na stołach.

Następnie w serdecznych słowach przekazał wszystkim obecnym życzenia z okazji Świąt Wielkanocnych i tego szczególnego spotkania.

Podobne życzenia przekazali wszystkim zgromadzonym pozostali duszpasterze.

Dzielenie się święconym jajkiem, składanie sobie życzeń, odbywało się w prawdziwie rodzinnej atmosferze. Wielkanocna pieśń „Zwycięzca śmierci piekła i szatna” wywołała radosny nastrój świąteczny. Wszyscy czuli się jak w jednej rodzinie. Rozmawiali, wspominali dawne nawaryjskie czasy – po prostu cieszyli się, że mogli spotkać się razem i wspólnie przeżyć chwile, na które nie zawsze jest czas i nie zawsze taka jak dziś zdarza się okazja.

Wspomnienie Świąt Wielkanocnych i Rezurekcji – obchodzonych kiedyś przed wielu laty – tam w Nawarii – wzbudził wiersz p. Janiny Oparowskiej pt. „Wielkanocne dzwony”. Słowa tego wiersza spowodowały, że myśli i serca słuchaczy pobiegły ku ziemi rodzinnej – do Nawarii – do tamtego naszego kościoła. Wydawało się, że słychać dźwię-

ki dzwonów głoszących triumf Zmartwychwstania – stamtąd.

W przerwie tego spotkania odczytano życzenia, które z okazji Świąt Wielkanocnych przesłał na ręce p. Augusta Barabasza dla wszystkich dawnych parafian nawaryjskich z wyszczególnieniem ks. kanonika Franciszka Rozwoda i ks. prałata Walentego Szalegi – O. Tomasz Ryba, obecny proboszcz parafii w Nawarii.

To spotkanie stało się okazją do nawiązania od nowa kontaktów z dawnymi sąsiadami, a także z koleżankami czy kolegami ze szkolnych nawaryjskich czasów.

W czasie tego spotkania poruszono bardzo istotną sprawę – utrzymywanie łączności z naszymi rodakami za wschodnią granicą.

Mówił o tym ks. kanonik Franciszek Rozwód, a także ten temat szczególnie rozważał ks. kanonik Stanisław Draguła.

Bardzo ważnym punktem tego spotkania było omówienie programu pielgrzymki do Nawarii, która planowana jest na koniec czerwca br.

Po kilku godzinach rozmów, wspomnień, śpiewania wielkanocnych pieśni – wszyscy rozjechali się do swoich domów.

Pozostało jedynie echo pożegnalnych słów – „do następnego spotkania” – oraz wiosenny powiew nadziei i tęsknoty do dalekiej, ale jakże bliskiej naszym sercom ziemi rodzinnej. □

Alfred Janicki

Opowiadania Mamy...

„Rodzi się świadomość narodowa”

Minęła okrągła rocznica odzyskania niepodległości przez II Rzeczpospolitą. 11 listopada jest wg. mnie umowną datą, stwierdzającą ten fakt. Zastanawiające jest, jak myśl wolnej Rzeczypospolitej kształtowała się w prostych, polskich, podolskich rodzinach. Myślę, że należy zadać sobie troszeczkę trudu i poszperać w rodzinnej tradycji, zajrzeć do pamięci najstarszych członków poszczególnych rodów. Ważne jest to choćby dlatego, że tych najstarszych jest coraz mniej, a w obliczu „wejścia do Europy” grozi nam fascynacja Zachodem, fascynacja wartościami przeciwnymi wartościom naszej rodzinnej tradycji. Zamiast rzetelnej wiedzy podaje się wiedzę „na skrót”, wygodną dzisiejszym „potrzebom”. W naszej rodzinie przekazywana była wiedza od końca XIX wieku. Szczególną rolę odgrywają tutaj zapiski mojego wujka Franciszka Gałanowskiego (zwanego w naszej rodzinie „kronikarzem”). Pierwsze zapisy w Jego „Kronice” pochodzą z 1898 roku! Wszelkie opowiadania zaczynają się od słów: „... u nas w Ostrowczyku ... Zaścianoczu ... na Kapturach ... w Zubowie ... Bernadówce ... Ruzdwianach ... Strusowie ... Tiutkowie ... Trembowli ...”

Zacznę od najstarszej pieśni, którą z uśmiechem słuchałem ostatni raz chyba w lipcu 1972 roku, kiedy było spotkanie całego klanu Janickich z okazji przyjazdu cioci Maryni z Kanady. 7 lipca tegoż roku przyjechałem do Kupienina k/Świebodzina. Stanisława i Bronisław Janiccy obchodzili kolejną rocznicę ślubu. Od lat w tym dniu bywaliśmy z naszymi dziećmi u rodziców. Wtedy było to szczególne spotkanie. Była wspomniana ciocia Marynia z Kanady, Kazik i Zosia, Dolek i Hania, Frania i Władzio. Wszyscy Janiccy – dzieci Mikołaja Janickiego i wnuczka Kajetana (uczestnika

Powstania Styczniowego). Marynia wyjechała z Galicji w 1913 roku. Po latach znalazła się w Polsce ... upłynęło wiele lat ...

*„Daj nam Boże dobry czas
jak u ludej, tak u nas
i w szczastywu hodynu.
Oj nu, nu, nu,
rozweselym rodynu.
U nas rodyna wsich odna
cila nasza Ruś święta,
czy oponcza, czy serdak,
czy to Rusyn czy Polak
oj tak, oj tak, tak,
czy to Rusyn czy Polak.*

To jest bardzo stara piosenka, pamiętam, że śpiewano ją na weselach i chrzcinach – wspominała Marynia. To był początek wieku. Była tylko Ruś. Między mieszkańcami poszczególnych wsi nie było widać różnicy – mowa jednaka, strój i zwyczaje te same. Wieśniacy chodzili w koszulach z płótna zgrzebnego, szytych ręcznie. Krawatę zakładał tylko szlachcic. Do rzadkości należały małżeństwa między chłopstwem i szlachtą. Natomiast na porządku dziennym były małżeństwa między Polakami i Rusinami. Polacy stanowili mniejszość. Kto był Polakiem? Ano ten, kto chodził do Kościoła, świętował katolickie, polskie święta. Czy jednak Polak mógł chodzić do Kościoła? Ten chodził któremu było blisko. Kościoły były w miastach. Z Ostrowczyka czy Zaścianoczu było 5 km. Przy tem trzeba pamiętać, że droga była bardzo błotnista. Z innych wiosek było jeszcze dalej. Do Kościoła chodziło się pieszo lub jechało furmanką. Księżrzy rzymsko-katolickich również było niewiele. Faktem jednak jest, że ci nieliczni posiadali duże folwarki – często kilkusetmorgowe. Duchowieństwo greko-katolickie i rzymsko-katolickie żyło w tym czasie w zgodzie. Bardzo często zdarzało się, że ruscy księża pomagali księżom polskim w

ich religijnych posługach. Pamiętacie nasze zimy? Jak tu nieś dziecko do chrztu, gdy srogi mróz i śnieg kopiasty? Do Kościoła daleko. Przecież bliżej jest do ruskiego proboszcza. Po ochrzczeniu dziecka trzeba było tylko zanieść karteczkę do polskiego księdza i wszystko było w porządku. Nasz proboszcz nie czuł się obrażony. No, z pogrzebami było podobnie. Polski ksiądz dał odpowiednią karteczkę i ruski proboszcz pogrzebał nieboszczyka. Znamy też przypadki, gdy w małżeństwie mąż i żona byli różnych obrządków, wówczas ceremonię pogrzebową odprawiali księża obu obrządków. Obowiązywała jedna zasada: jeden Bóg, jedna wiara. Obrządek był odmienny. Czekaj Maryniu! Ty jesteś najstarsza, może Ty pamiętasz od kiedy było takie prawo, że w rodzinie mieszanej synowie przyjmowali obrządek jakiego był ojciec, a córki były takiego obrządku jak ich matka? O nie, was nie było na świecie, a to jak pamiętam już tak było. Tato-Polak szedł z synami do Kościoła, Matka-Rusinka z córkami do cerkwi. W takich mieszanych małżeństwach bywały często kłótnie – które święto ważniejsze, starsze, kiedy świętować, kiedy pracować? Mąż był głową domu – często on miał rację, ale częściej dla świętego spokoju rodzina świętowała jedne i drugie święta. Podobnie było z postami. Przy większości Rusinów bywało i tak, że Polak ożeniony z Rusinką pozostawał na gospodarce między Rusinami. Trwały przez czas jakiś kłótnie, później Polak obojętniał, uspokajał się. Bywało, że zapytany o wiarę odpowiadał: „Ja takoj wiry szczo ni kińcia ni miry”. Można go było nazwać dowolnie. Trzeba przyznać, że w każdej miejscowości cerkiew była. Księża greko-katolicycy wywodzili się z niższych sfer społecznych – często byli to synowie bogatych chłopów, czy synowie ruskich księży. Wiele jest znanych przypadków, że i Polacy dla kariery czy ożenku przechodzili na obrządek greko-katolicki. Znacnie przypadek Andrzeja Szeptyckiego – Arcybiskupa i Metropolity Lwowskiego – działacza na rzecz budowy państwa ukraińskiego – przypomina Marynia.

Bardzo ciekawym zjawiskiem było funkcjonowanie języka polskiego przy przewadze Rusinów. Język polski był tutaj uważany za język panów. Posługiwali się nim urzędnicy, księża, panowie, obszarnicy, jak również nauczyciele chcący się wyróżniać w środowisku. Była to mowa szlachetna i jako taka cieszyła się większym szacunkiem od mowy ruskiej. Wielu też Rusinów odmawiało modlitwy po polsku. Przy różnych okazjach śpiewali też pieśni religijne, czy tak zwane krakowiaki. Znamy przypadki używania polskiego języka przez ruskich księży u siebie na plebanii. Jeśli ktoś mieszkał w pobliżu Kościoła, to słyszał polski śpiew, bo blisko miał do słowa Bożego głoszonego w języku polskim. Cóż było robić w przypadku, gdy do Kościoła było daleko? Gdy były roztopy? Zawieja? Ano szli ludzie do cerkwi, tam też często spowiadali się. Chociaż spowiedź mogła być męczącą, gdy spowiadający nie rozumiał języka grzesznika i odwrotnie. Księża katolicycy byli nieprzejeźdzeni w dopełnianiu formalności przy zawieraniu małżeństw. Zapowiedzi dla Polki, Polaka musiały być ogłoszone w Kościele. Obowiązkowo trzeba było wykazać się znajomością pacierza w języku polskim. Jeśli kandydaci nie posiadali tej umiejętności, wówczas ksiądz proboszcz kazał nauczyć się pacierza i przyjść jeszcze raz. Jeżeli młodzi nie wykazywali dostatecznej cierpliwości to rezygnowali i szli do ruskiego księdza. Tutaj wystarczyło „popadi” dać koguta jako ofiarę z okazji zapowiedzi, a zapowiedzi wychodziły bez przeszkód. Ogłaszano je w cerkwi, tutaj też odbywał się ślub. W ten sposób przy-

bywało nowe małżeństwo w obrządku greko-katolickim, a dla „świętej Rusi” nowa rodzina. Od najdawniejszych czasów opowiadano w Ostrowczyku, że pionierem budzenia świadomości narodowej wśród Polaków był proboszcz parafii katolickiej w Trembowli ksiądz Stanisław Nałęcz-Korzeniowski. Ten powstaniec z 1863 roku, niskiego wzrostu, bystrego charakteru i umysłu postawił sobie za cel odwrócenie porządków panujących w Jego parafii od niepamiętnych czasów. Z ambony płynęły nauki w pięknej polszczyźnie. Tłumaczył swym parafianom, że muszą rozumieć „słowo Boże” głoszone po polsku, umieć spowiadać się w tym języku, śpiewać pieśni. Jego zapał i praca przysparzały mu dużo wrogów (szczególnie wśród trembowelskich mieszczan). Wielkość księdza Stanisława uwidaczniała się tym, że nigdy nie obrażał Rusinów, ani ich wiary, ani języka. Swoim parafianom powtarzał: „cudze szanuj, ale swoje kochaj”. No tak, kochaj, gdy brakuje znajomości słów. Przyznawano też rację księdzu, ale nauka wymagała ogromnego wysiłku. Wujek Gałoński opowiada, iż po jednym z nabożeństw w Trembowli ojciec, jako najstarszemu wśród rodzeństwa, zaproponował poznawanie i stosowanie mowy polskiej. Wobec ogromnych trudności to życzenie ojca wprowadzone było w życie dopiero po zawarciu związku małżeńskiego z Teklą Janicką. Parafianie trembowelscy zetknęli się też z młodym księdzem Domańskim. On to pewnej niedzieli, w czasie sumy, wygłosił piękne kazanie w języku polskim, a dotyczyło ono dziejów naszego narodu i historii Polski. Po skończonej sumie kościelny rozdawał karteczki z tekstem nowej religijnej, polskiej pieśni „Boże coś Polskę ...”. Ksiądz Domański objaśnił, że śpiewa się ją na melodię „Serdeczna Matko...”. Kiedy organista zaczął śpiewać i grać tę nową pieśń – wierni wychodzili z Kościoła. Wujek Gałoński wytrwał. Kiedy wychodził z Kościoła zaczęli go kuzyn uczyć się w miejskiej szkole w Trembowli. Przeczytał tekst nowej pieśni i z nutą ironii stwierdził, że Panom znów zachciewa się Polski, że chcą oni powrotu pańszczyzny, że znów chcą chłopów bić jak dawniej. Tego panowie nie doczekają.

Z rozrzewnieniem patrzę na fotografię Kościoła w Ostrowczyku, którą przysłała mi kuzynka – Ludwisia Gałońska. Tam był ochrzczony mój ojciec Bronisław Janicki. Historia budowy Kościoła jest dla mnie fascynująca, a podaję ją za wspomnieniami ojca Ludwika, a mojego wujka – Franciszka Gałońskiego – wspomnianego kronikarza rodzinnego (Gałońskich i Janickich). Nie jest nam znany inicjator budowy Kościoła. Miał to być Kościół dla Ostrowczyka, Zaścianocza, Zubowa i Słobódki Strusowskiej. Około 30% ogółu mieszkańców tych wsi stanowili wierni Kościoła rzymsko-katolickiego. Potrzeba była. Wikary parafii trembowelskiej – ksiądz Wojnarowicz powołał komitet budowy. Komitet ów udał się do dziedzica majątku w Darachowie – Żyda Somersteina z prośbą o podarowanie placu pod budowę. Somerstein podarował kawałek łąki w rejonie Ostrowczyka. Członkowie komitetu z radości ucałowali dziedzica w rękę (później byli przerażeni tym, że w rękę całowali Żyda). Ksiądz Wojnarowicz uspokoił ich jednak, stwierdzając, że wart Żyd był tego faktu. Kto żyw ruszył do gromadzenia budulca z miejscowego kamieniołomu. Rosła sterta kamieni nie tylko na kościelnym placu, ale i na przyległym, wiejskim pastwisku. Rychło też doszło do pierwszego „buntu kobiet”, które nie wiada z czyjej aspiracji wyszły gromadnie na wiejskie pastwisko i rychło przerzuciły kamienie na plac kościelny. Prawo musiało być zachowane. Budowa po-

stępować nadal, ale niepokój i niesmak po tym fakcie pozostały. Faktem jest, że na budowę płynęły datki od Polaków i od Rusinów. Największą ofiarę składał Atanazy Kaczorowski – Rusin. Na krzyżu wieńczącym wieżę kościoła było jego nazwisko i rok ukończenia budowy – 1891 (Kaczorowski mieszkał w Słobódce Strusowskiej i zajmował się kowalstwem). W dzień ofiarowania Najświętszej Marii Panny 21 listopada 1891 roku Kościół w Ostrowczyku poświęcono. Od tego dnia msze były odprawiane przez księży z trembowelskiej parafii. Pierwszym organistą był Józef Janicki. Wierni wzywani byli na nabożeństwa sygnaturką umieszczoną na wieży kościelnej. Na nabożeństwa uczęszczali też

Rusini – ciekawi pięknych kazań i śpiewu polskich pieśni. Pewnego jednak razu ruski ksiądz (Wolański) przemówił w cerkwi w te słowa: „Deste ne proszeni, tam sia ne pchajte, a resztu sami sia dohadajte” (Gdzie was nie proszą tam się nie pchajcie, a reszty sami się domyślcie). Słowa te dotarły i do Rusinów i do Polaków. Rusini wędrowali za swoim duchownym tam, gdzie jechał odprawiać nabożeństwo. W przekazach rodzinnych zachowała się wiadomość, że szlachcic Rusin – Florian Kulikowski uczył dzieci polskiego śpiewu kościelnego – jeszcze jeden przyczynek do osobliwości współżycia wśród członków ówczesnego społeczeństwa na początku naszego wieku. □

Tadeusz Kukiz

Z dziejów Ziemi Radziechowskiej

Zbierając materiały do dziejów Ziemi Radziechowskiej wiele uwagi poświęcam pochodzącym stamtąd ludziom, zwłaszcza tym, którzy przekroczyli próg przeciętności. Dawni mieszkańcy powiatu radziechowskiego na ogół wiedzą, że w Łopatynie spoczywa generał Józef Dwernicki i że w Pawłowie tworzył i jest pochowany autor „Choratu” Kornel Ujejski; już zapewne mniej osób będzie wiedziało, że w Dmytrowie urodził się wybitny poeta i prozaik Józef Wittlin. A to tylko paru spośród wielu stamtąd, którzy zaznaczyli się na różnych polach działalności.

O Dmytrowie i ludziach stamtąd

Dmytrów to duża wieś, położona 10 km na południe od Radziechowa; tam właśnie 17 sierpnia 1896 r., w rodzinie¹⁾ dzierżawcy majątku, przyszedł na świat Józef Wittlin. Kiedy



miał ok. ośmiu lat, rodzice przenieśli się do Lwowa, gdzie uczęszczał do VII Gimnazjum typu humanistycznego. Matka wkrótce zmarła, po dwóch latach ojciec powtórnie się ożenił, a po następnych czterech również zmarł. W tym okresie życia Józef Wittlin wiele czasu spędzał u rodziny na wsi. Dużo przebywał w majątku Nagórz-

ny koło Lwowa, a wszystkie wakacje spędzał u wujów i stryjów w Brodzkiem, Tarnopolskiem i Radziechowskiem. Nie wiemy dokładnie, gdzie przebywał (mimo moich kwerend i nawiązania kontaktu z mieszkającą w Nowym Jorku córką poety, Panią Elżbietą Lipton – nie udało się tego ustalić); w Radziechowskiem były to zapewne wsie Uwin, Wygoda i może Nowiny, bowiem przed 1939 r. tamtejsze majątki należały do Wittlinów, krewnych pisarza.

Być może częste pobyty Józefa Wittlina na wsi spowodowały, że wieś ukazana w jego twórczości należy do najpiękniejszych w polskiej prozie. Historycy literatury wskazują na „Sól ziemi”, pierwszą część zamierzonej i niedokończonej trylogii pt. „Powieść o cierpliwym piechurze”. Powieść

ta, przetłumaczona na główne języki świata, w 1936 r. przyniosła mu nagrodę czytelników i redakcji „Wiadomości Literackich”, odznaczenie Złotym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury i dwie prestiżowe nagrody amerykańskie, a nawet spowodowała wysunięcie kandydatury pisarza do Nagrody Nobla (w 1939 r.).

Lata spędzone we Lwowie zaowocowały natomiast wzruszającą książką – napisaną już po drugiej wojnie światowej, na emigracji – noszącą tytuł „Mój Lwów”. Książka ta, obok „Nieba w płomieniach” Jana Parandowskiego, to najwspanialszy literacki wizerunek miasta, które było „semper fidelis”. Z utworów poetyckich najbardziej znane są „Hymny”, powstałe we wczesnym okresie twórczości.

W latach 20. i 30. Wittlin sporo podróżował, zwiedzając Włochy (podczas pobytu w Asyżu rozpoczął pisanie książki o św. Franciszku²⁾), Francję i Jugosławię. Opisy tych podróży, drukowane w czasopiśmie, złożyły się na książkę „Etap”³⁾, która po latach, w 1963 r., stała się częścią obszernego tomu esejów, artykułów i audycji radiowych (pisarz współpracował z Radiem Wolna Europa), wydanego w Instytucie Literackim w Paryżu pt. „Orfeusz w piekle XX wieku”.

Był też Wittlin uznanym tłumaczem; jego przekład „Odysei”, udoskonalany przez całe życie, zaliczany jest do najlepszych; za przekład ten otrzymał nagrodę PEN-Clubu.

Twórczość Wittlina nie była bogata, ale wszystko, co napisał, było znakomite. Jego dzieła, po latach przemilczeń w okresie PRL, są znowu wydawane. Publikowane są też prace o nim: biografia „Józef Wittlin” Zoyi Yurieff (przekład z angielskiego) czy „Arkadia i małe ojczyzny” Józefa Olejniczaka. Z okazji stulecia urodzin w Muzeum Literatury w Warszawie w 1996 r. czynna była wystawa „Odyseusz XX wieku. Józef Wittlin”.

Zmarł w Nowym Jorku 28 lutego 1976 r.

Do leżącej nieopodal Dmytrowa wsi Dębiny Ohladowskie przyjeżdżał na wakacje jakoby spokrewniony z poetą Jerzy Wittlin (ur. we Lwowie w 1925 r., zm. w Warszawie w 1987 r.). Była to „osobowość dość szczególna, pełna mistrzostwa w sztuce życia” (Piotr Kuncewicz). Jego ojciec był właścicielem i dzierżawcą dóbr ziemskich na Kresach, co – jak się okazało – nie przeszkodziło synowi być w komunistycznej Polsce działaczem młodzieżowym i to dość wysokiego szczebla i robić karierę. Wcześniej zajął się działalnością wydawniczą; pod jego redakcją ukazał się zbiór artykułów i listów pt. „Budujemy socjalizm” (1951 r.), jako współautor wydał panegiryk „Dotrzymana przysięga. Mon-

taż sceniczny ku czci Józefa Stalina" (1953 r.), a z okazji odbywającego się w Warszawie Światowego Festiwalu Młodzieży napisał tekst do albumu „Opowieść o ziemi polskiej”, również nie pozbawiony akcentów propagandowych.

Później zajął się twórczością satyryczną; najbardziej znane są jego książki z serii „Vademecum (...)”. W katalogach Biblioteki Ossolineum naliczyłem ich dziewiętnaście – od „Vademecum grafomana” do „Vademecum zdrowego rozsądku”. W cyklu tym Jerzy Wittlin przedstawił groteskowo-surrealistyczny obraz życia w PRL, unikając jednak tematów mogących drażnić władzę ludową. Nie stronił od wydawnictw całkiem niskiego lotu takich jak „Jest taki dowcip! Vademecum 666 dowcipów do opowiadania w 600 sytuacjach” (dwa lata później, w 1975 r., ukazała się wersja poszerzona, zawierająca „999 dowcipów do opowiadania w 900 sytuacjach”).

Dość interesujące są jego wspomnienia z lat 1980-1983 r. pt. „Pójdź ze mną³. Dziennik-Pamiętnik”, w którym odsłania zakulisowe sprawy peerelowskiego establishmentu, nie dziwi więc, że wywołały burzliwe odgłosy w „Poliyce”, „Żołnierzu Wolności” i innych pismach.

Jako dyrektor wydawnictwa „Iskry” wślawił się bojem o polskie „kieszonkowce”, później, kierując Wydawnictwami Artystycznymi i Filmowymi, lansował edycję reprintów, dzięki czemu przywrócił kulturze polskiej wiele cennych dzieł.

14 września 1868 r. w rodzinie nauczycielskiej w Dmytrowie urodził się Zenon Leńko, znany później lekarz, jeden z pierwszych polskich urologów. Po ukończeniu miejscowej szkoły uczył się w I Gimnazjum typu humanistycznego im. Franciszka Józefa we Lwowie. Studia odbył na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Wiedeńskiego w latach 1888-1894; był tam członkiem stowarzyszenia polskich studentów „Ognisko”. W dziejach tego stowarzyszenia zapisał się dość osobliwie: kiedy austriackie Ministerstwo Oświaty zasięgało opinii środowisk studenckich w sprawie dopuszczenia do studiów dziewcząt, „Ognisko” wypowiedziało się negatywnie; panowało przekonanie, że przeważało stanowisko Leńki.

Po uzyskaniu dyplomu i – jak każdy ówczesny absolwent Wydziału Lekarskiego – tytułu doktora wszech nauk medycznych (stąd wywodzi się, irytujące niektórych, tytułowanie lekarza doktorem) rozpoczął pracę w oddziale chirurgicznym Krajowego Szpitala Powszechnego we Lwowie. Dwa lata później, w 1896 r., miał miejsce głośny we Lwowie incydent, kiedy to znany malarz Stanisław Kaczor Batowski (1866-1946) otrzymał w pojedynku z oficerem austriackim ciężki cios szablą w prawą rękę. Operował go wówczas – z pełnym sukcesem – dr Leńko; jako wyraz wdzięczności Batowski wykonał jego portret.



Prymariuszem (ordynatorem) oddziału, w którym pracował dr Leńko, był dr Grzegorz Ziembicki, propagujący rozwój nowych specjalności chirurgicznych m.in. urologii. Doceniając zdolności dr. Leńki wydzielił jedną salę dla chorych urologicznych i powierzył jego opiece.

W 1900 r. dr Leńko objął stanowisko prymariusza

i dyrektora szpitala w Husiatynie, by – zgodnie z ówczesnymi wymogami – zdobyć doświadczenie w pracy administracyjnej. Po niespełna roku powrócił do Lwowa i ponownie objął opiekę nad chorymi urologicznie w szpitalu i ambulatorium. W latach 1907-1910 odbył podróże naukowe do Francji, Niemiec i Danii zapoznając się z postępowaniem urologii w tych krajach. „Był człowiekiem niezmiernie pracowitości – pisał o nim historyk medycyny – jego ruchliwa postać była przez długie lata jedną z najpopularniejszych sylwetek lekarskich wielkiego lwowskiego szpitala”.

W roku 1918 dr Leńko mianowany został prymariuszem; pod jego kierunkiem staż urologiczny odbyło około stu lekarzy innych specjalności. Otwarty w 1926 r. we Lwowie oddział urologiczny był pierwszym w kraju. W roku 1928, z uwagi na stan zdrowia, Zenon Leńko przeszedł na emeryturę, ale pracował jeszcze w poradni urologicznej PKP.

Popularne pismo nie jest właściwym miejscem do omawiania specjalistycznych tematów lekarskich. Podkreślić jednak trzeba, iż dr Leńko był na gruncie polskim pionierem nowatorskich badań urologicznych i zabiegów operacyjnych na narządzie moczowym; opublikował 35 prac naukowych. Był jednym z założycieli Związku Lekarzy Państwa Polskiego; w lwowskich oddziałach Polskiego Towarzystwa Lekarskiego i Towarzystwa Chirurgów Polskich pełnił przez kilka kadencji obowiązki prezesa; był współzałożycielem i współwydawcą „Lwowskiego Tygodnika Lekarskiego” i jednym z 15 założycieli Polskiego Towarzystwa Urologicznego, a także członkiem Międzynarodowego Towarzystwa Urologicznego.

W grudniu 1939 r. sowieckie władze Lwowa wydały dr. Leńce – jako przedstawicielowi polskiej inteligencji z zasady uważanej przez nie za wrogą Związkowi Radzieckiemu – nakaz opuszczenia miasta wraz z rodziną w ciągu siedmiu dni i wyjazdu co najmniej na odległość 100 km. Tylko dzięki interwencji dwóch ukraińskich lekarzy (i łapówce) nakaz ten cofnięto. W marcu 1945 r. rodzina Leńków została „repatriowana” do Przemyśla, a dwa lata później przeprowadziła się do Krakowa; tam 10 marca 1950 r. dr Zenon Leńko zmarł.

Najmłodszy syn dr Leńki, Jan (1917-1993), był również urologiem, profesorem Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi, później AM w Krakowie, autorem wielu prac naukowych i podręczników dla lekarzy.

Jego żoną była Antonina (1917-1995) z Mozerów, zasłużonej lwowskiej rodziny, niegdyś ludwisarzy, potem profesorskiej, autorka książek popularyzujących ochronę przyrody, z których najgłośniejszą jest „Oskalpowana Ziemia”, kilkakrotnie wydawana w kraju i tłumaczona na wiele języków.

Wszyscy wymienieni Leńkowie spoczywają na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie.

Trzeba jeszcze wspomnieć o urodzonym w 1937 r. w Dmytrowie, w rodzinie nauczycielskiej, wybitnym artysty grafiku Leszku Hołdanowiczu. Studiował w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, a następnie w Warszawie, uzyskując dyplom w pracowni Henryka Tomaszewskiego. Obecnie jest profesorem tej uczelni; jego prace były wielokrotnie wyróżniane i nagradzane.

O ile o ludziach związanych z Dmytrowem można by napisać o wiele więcej, to o samej wsi jest mało wiadomości. Po raz pierwszy wzmiankowana w 1502 r., tamtejsze dobra w latach 80. ubiegłego wieku należały do Starzyń-

skich, a przed drugą wojną światową do Walentego Ślęzaka. Dmytrów liczył wówczas ok. 2750 mieszkańców w tym ok. 500 Polaków. Czteroklasową szkołę powszechną w roku 1938 przekształcono w siedmioletnią; jej kierownikiem był Ewaryst L. Hołdanowicz, który prowadził również teatr amatorski i świetlicę oraz kierował budową kościoła. Sowieckie władze okupacyjne działalność tę uznały za wrogą ZSRR i w grudniu 1939 r. aresztowały go, zsyłając do Wor-

kuty (szczęśliwie z Armią gen. Andersa opuścił nieludzką ziemię).

1) Spowinowaconej z Buberami, z których wywodził się znany filozof żydowski, teolog i działacz społeczny, Martin Buber (1878-1965).

2) Właśnie się ukazała.

3) Odpowiada łacińskiemu „vademecum”. □

KRESOWE MIASTA

Edward Rudka

Gród nad Stryjem

(ciąg dalszy – uzupełnienia i sprostowania)

W Semper Fidelis nr 5 (46) z IX, X 1998 ukazał się artykuł Jarosława Tadeusza Leszczyńskiego pt. „Gród nad Stryjem”, który zawiera cały szereg nieścisłości czy wręcz przekłamań z historii miasta Stryja.

Wprawdzie autor używa szumnego tytułu „gród”, to artykuł w swojej treści nie nawiązuje do tego zwrotu i nie wspomina, że Stryj był kiedyś grodem – a szkoda.

Miasto Stryj w wieku XIV-XVII było istotnie grodem i posiadało wspaniały zamek, o czym brak w artykule.

Od zarania swojego powstania w XI-XII w., jako osada miała stworzony system obronny, który z czasem przekształcił się w zamek, stale rozbudowywany i umacniany, co było podyktowane położeniem miasta, permanentnymi napadami, najazdami czy też ochroną szlaków tranzytowych. W XV w. zamek stryjski był bardzo okazałym gmachem obejmującym 61 pokoi dużych, z których jedna komnata liczyła dziewięć okien, dwie izby malowane po osiem okien, kilka po cztery. Były nadto trzy kuchnie, skarbiec z kratą żelazną w oknie. Nad bramą mieszkanie podstarościego. Zamku strzegło sześć baszt, liczna załoga, czeladź zamkowa. Dwór starosty był bardzo liczny. Uzbrojenie dostateczne.

Hetman Jan Tarnowski w roku 1549 wzmocnił zamek armatami. Przy odbieraniu inwentarza w 1588 r. było 18 hakownic, 33 rusznic, działo na bramie, drugie na baszcie, trzecie polne. Za fortem stała łaźnia, browar i dwie stajnie. Na podwórzu spiżarnia o dobrych zasiekach i podłodze.

Wg lustracji z r. 1664 zamek był oblany dookoła wodą, miał dwie bramy, cztery baszty, sześć dział spiżowych i 18 hakownic. Do zamku należeli dragoni w liczbie 70 i ok. 100 robotników na potrzeby adaptacji, odnawiania fos itp.

Na utrzymanie zamku łożyło miasto, korzystając nie tylko z obrony jaką on dawał, lecz i ze skarbcza zamkowego, w którym była składnica gotówki i kosztowności. W czasie najazdu wroga był schronieniem dla okolicznej szlachty i jej dobytku, włościan, kupców i rzemieślników. Szczególnie po klęsce Olbrachta pod koniec XV w., kiedy to Tatarzy, Turcy i Wołosi ustawicznie pustoszyli ziemie kresowe.

Rok 1648 był to rok początkowy tzw. „ruiny”, która zaznaczyła się krwią i pożogą. Pochód Bohdana Chmielnickiego i Tuhaj-Beja pod Lwów i Zamość, choroba i śmierć króla Władysława IV, a następnie klęski wojsk polskich, podziały jak płomień, który ogarnął wszystkie zie-

mie, zwłaszcza wschodnie Rzeczypospolitej. Rozgorzały antagonizmy klasowe i religijne. Swawole, wyprawy rabunkowe były rzeczą zwyczajną. W owym czasie włościanie i szlachta okoliczna chroniła się w mieście i jego zamku, gdzie znajdowała opiekę.

W tym czasie powietrze morowe pochłaniało liczne ofiary – grzebane na oddzielnym maleńkim cmentarzyku, którego wydzielona i ogrodzona powierzchnia do dzisiaj istnieje przy ul. Fredry, obecna Nyżankowskiego. Na tym cmentarzu chowano również ofiary dżumy z 1831 r.

Po śmierci starosty Krzysztofa Koniecpolskiego w 1660 r. starostą stryjskim został Jan Sobieski.

Po upadku Kamieńca Podolskiego w 1672 r., gdy Tatarzy rozłali swe zagony po Lwów, Stryj i Dolinę, hetman Jan Sobieski ruszył spod Drohobycza i przybył do Stryja w pogoni za Adzi-Girejem. W nocy wysłał do Kałusza i Nowicy kurierów z rozkazem, by chłopci zarybali w lasach Bednarowskich szlaki. Ruszywszy na Kałusz odciął Tatarom tyły i zaszedł ich z boku. Tu nad Petranką i Średnim Uhrynowem zniósł 8000 Tatarów, wyzwolił około 10000 zabranych w jasyr poddanych.

Na zamek stryjski przyjeżdża 20 stycznia 1674 r., jako zwycięzca okryty sławą. W tym czasie w zamku przebywa Marysienka. Za liczne zasługi wojenne Jan Sobieski otrzymuje we władanie od króla starostwo stryjskie.

Należy przypomnieć, że w owych czasach Stryj był królewszczyzną. Wiek XVIII przynosi w mieście wiele zmian. Z powodu braku funduszy oraz zmian w strategii obronnej zamek popada w ruinę i ostatecznie zostaje rozebrany. Materiał budowlany z murów zamku zostaje wykorzystany do budowy na tym terenie koszar. Budynki koszarowe istnieją do dnia dzisiejszego, a teren wraz z nimi wykorzystywany jest jako baza transportowa.

Następnym tematem do sprostowania jest sprawa kościołów w mieście i ich historia.

Kościół parafialny rzym.-kat. istniał od zarania miasta i prawdopodobnie był fundowany przez Kazimierza Wielkiego, gdy włączył księstwo Halicko-Wołyńskie do korony. Przebudowany i odnowiony został przez ówczesnego starostę stryjskiego Krzysztofa Koniecpolskiego w 1642 r. Przeszedł liczne pożary wraz z miastem w 1772 r., 1827 r. i 17.I.1886 r. W czasie tych pożarów płonęły m.in. dach i wieża kościelna oraz plebania z księgami metrykalnymi. Po odbudowie kościoła zachował swe cechy arch. z 1642 r. do dnia dzisiejszego. Wymaga dziś pilnego remontu dachu.

Zniszczenie, w wyniku pożarów, ksiąg metrykalnych i akt kościelnych odczuwamy do dnia dzisiejszego. Założone po pożarze księgi i prowadzone do 1945 r. zostały przez ówczesnego proboszcza ks. Golenia, w czasie repa-



Fot. Marian Orliński

Hoszów – cerkiew grekokatolicka oo. bazylianów p.w. Przemienienia Pańskiego z widoczną kaplicą przybudowaną do zewnętrznej ściany prezbiterium.

triacji, przewiezione do Polski i są przechowywane w Warszawie w Archiwum Akt Nowych przy ul. Jezuickiej.

W drugiej połowie XVII w. istniał w Stryju, położony za bramą Halicką, kościół pw. Marii Magdaleny wraz z klasztorem oo. Franciszkanów. Dziś odpowiada to ulicy Cerkiewnej. Zakon oo. Franciszkanów został zniesiony dekretem cesarza Austro-Węgier Józefa II ok. roku 1780, w okresie tzw. „Józefinizmu” – ograniczeń uprawnień kościołów i kasat klasztorów. Po licznych protestach ludności ograniczenia zostały częściowo cofnięte. Wówczas kościół Marii Magdaleny został przejęty przez cerkiew greko-katolicką pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP. Dlatego to właśnie cerkiew ta mimo pożarów w 1827 r. i 1886 r. po odbudowie zachowała ostałe elementy architektury kościołów rzym.-kat. Tu właśnie, jeszcze przed kościołem Marii Magdaleny miały się dziać cuda, ludzie doznawali licznych łask, pojawiła się jasność, a dzwony same dzwoniły. Przed tą świątynią, w tych czasach postawiono figurę Matki Boskiej, która istnieje do dzisiaj i wszelkie legendy, że jest to figura MB Fatimskiej, są nieuzasadnione. Może istnieje podobieństwo. Obecnie zachowana figura istniała przed 1917 r. tj. przed objawieniem w Fatimie. Powoływanie się, że kościół Franciszkanów pw. św. Marii Magdaleny znajduje się przy ul. Salomei Kruszelnickiej jest dużym błędem z wielu przyczyn. Istotnie przy dzisiejszej ul. Salomei Kruszelnickiej znajduje się kościół, tylko został erygowany w 1912 r. (budowany od podstaw 1910-1912 r.) i był pod wezwaniem św. Józefa. Dziś przekazany został w użytkowanie cerkwi prawosławnej. Był on jednym z dwóch kościołów rzym.-kat., które były czynne przed wojną w Stryju. Zaprojektowany w stylu neogotyckim, i wyciąganie wniosków jakoby był odbudowany w tym stylu po pożarze 1886 r. mija się z prawdą, gdyż pożar nie dotarł w te rejony i tam wcześniej nie było żadnego kościoła. Pożar 1886 r. wybuchł w domu Maziaka przy ul. Basiówka i ogarnął rynek i przyległe ulice.

Przedwojenna ulica J. Kochanowskiego, przy której był kościół św. Józefa, została przez Sowieców w 1940 r. nazwana ul. Salomei Kruszelnickiej – Ukrainki, śpiewaczki operowej ur. 23.IX.1873 w Białej pod Tarnopolem, występującej m.in. w Operze Warszawskiej 1898-1902, zmarłej 16.XI.1952 r. we Lwowie. W czasie okupacji niemieckiej była ul. Kochanowskiego. W 1944 r. władze sowieckie



Fot. Jarosław Tadeusz Leszczyński

Hoszów – wnętrze cerkwi grekokatolickiej oo. bazylianów p.w. Przemienienia Pańskiego z malarstwem iluzjonistycznym na ścianie prezbiterium i wyobrażonym na nim wizerunkiem M.B. Hoszowskiej

wrócili do nazwy S. Kruszelnickiej, która do dnia dzisiejszego obowiązuje.

Tym trzecim, jakoby niewielkim kościółkiem neogotyckim, jak podaje autor artykułu, przekazany Kościołowi Chrześcijan Baptystów, jest zbór ewangelicki budowany w latach 1890-95 i mieszczący się przy ul. Chmielnickiego, przed wojną Lwowskiej.

Następnym przekłamaniem autora publikacji, które należy sprostować, jest sprawa grobów na cmentarzu katolickim. Leżą tam w alejce naprzeciw siebie ochotnicy Wielkopolscy i Strzelcy Siczowi, jak podaje autor publikacji, z okresu walk między sobą w latach 1918-1919 o utworzenie Zachodniej Ukrainkiej Rep. Ludowej.

Istotnie, leżą tam Legioniści i naprzeciw Strzelcy Siczowi, którzy razem, na mocy układu z 1919 r. pomiędzy J. Piłsudskim a S. Petlurą szli na Kijów. W czasie odwrotu razem osłaniali Lwów i Polskę przed nawałą sowiecką – armią Budionnego. Przypomnieć należy, że powstanie ukraińskie na tych terenach, które miało stworzyć Zach. Ukrainką Rep. Lud. trwało od 1.XI.1918 do 19 kwietnia 1919 r.

Znajdująca się w centralnym punkcie cmentarza kaplica, to miejsce pochówku pomordowanych przez NKWD w ostatnich dniach czerwca 1941 r. więźniów na terenie więzienia. Był to okres wycofywania się Armii Czerwonej pod naporem Wehrmachtu. Ciała pomordowanych zostały przez oprawców wrzucone do szamb więziennych. Ofiary istotnie były różnej narodowości, w tym i Polacy, lecz Ukraińcy stanowili większość ze względu na prowadzoną w tym czasie przez NKWD likwidację nacjonalistów ukraińskich sprzyjających Niemcom. □

Poszukiwani

Elżbieta Jakubik z domu Biszczy zam. 30-669 Kraków, ul. Okólna 5 m. 11, tel. 658-14-87 poszukuje:

Emilię Krępa ur. 1933 we Lwowie, córkę Zofii i Emila Krępy, którzy mieszkali na cmentarzu Zamarstynowskim (był dozorcą i grabarzem). W czasie wojny mieszkali u wujka Stanisława Krępy w Hołosku Wielkim. Przebywali w domu sierot na Zamarstynowie (domem opiekowały się zakonnice) i stamtąd zostali wywiezieni w latach 1945-46 w nieznanym kierunku.

Szanowny panie Radaktorze

Lata okupacji spędziłem w Podkamieniu pow. Rohatyn nad Gniłą Lipą, woj. stanisławowskie. Mój ojciec śp. Karol Teplicki był nauczycielem polskiej szkoły w Podkamieniu. Kilka dni przed pogromem Polaków w tej miejscowości dokonanej przez UPA i SS Galizien uciekliśmy z Podkamienia co uratowało nam życie. Bardzo chciałbym nawiązać kontakt z jakimś mieszkańcem Podkamienia. Będę bardzo wdzięczny panu za ogłoszenie w Semper Fidelis mojej prośby.

Gdynia 31.03.1999

Z poważaniem

Zbigniew Teplicki, 81-589 Gdynia, ul. Serdecznikowa 4, tel. (058) 6298042

WŚRÓD KSIĄŻEK

Nieczęsto zdarza się aby książka powstawała jako wynik radiowej audycji. Raczej jest dokładnie odwrotnie – z radiowej anteny padają zdania, frazy, a niekiedy nawet całe rozdziały różnych książkowych publikacji. Z takim właśnie ewenementem jednak mamy do czynienia sięgając po pracę *Ta joj, ta Lwów*. Lwowskie opowieści Kazimierza Wesołowskiego wydana nakładem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Oddziału w Tarnowie.

Jak do tego doszło? Dokładną historię czytelnik pozna podczas lektury książki. Przypomnijmy tylko pokrótce. Pomysł zrealizowania cyklu audycji poświęconych Lwowowi i jego piosenkom zrodził się w maju 1996 roku. Jej twórcami stali się Piotr Pawlina redaktor Radia Dobra Nowina (obecnie Radio Plus) w Tarnowie i Kazimierz Wesołowski kompozytor, dyrygent i aranżer, a nade wszystko lwowianin. Pierwsza audycja na radiowej antenie pojawiła się 21 października 1996 roku. Od samego początku rozpoczynała się jinglem opartym na refrenie Marsza Lwowskich Dzieci, zaś jej nazwa brzmi *Ta joj, ta Lwów*. O Lwowie i jego piosenkach. 50 audycja wyemitowana w styczniu br. stała się dobrym momentem, aby to wszystko co raz tylko popłynęło w eter ocalić. W ten sposób powstała książka.

Jej struktura różni się w sposób znaczący od radiowych audycji. Wprawdzie zachowana tu została forma rozmów red. Piotra Pawlina z Kazimierzem Wesołowskim, to jednak materiał pogrupowany został w cykle tematyczne zawarte w poszczególnych rozdziałach. I tak książka rozpoczyna się od prezentacji miasta i ludzi zamieszkujących dawny Lwów. Kolejne rozdziały poświęcone zostały lwowskim piosenkom,

wykonawcom tych piosenek oraz temu jak Lwów się bawił. Dalej następuje spacer po Lwowie wspomnień i wspomnień o religijności, waleczności i obronie Lwowa. Osobny rozdział został poświęcony historii Nieznanego Żołnierza, który – pochodzący z lwowskiego pobojuwiska – miejsce wiecznego spoczynku znalazł w Warszawie. Nie brak oczywiście najtragiczniejszych kart historii Lwowa, które odkryła II wojna światowa i temu został poświęcony przedostatni rozdział. Ostatnie strony mówią o tym jak bardzo Tarnów związał się duchowo ze Lwowem i jak wiele robi się w tym mieście, aby ocalić pamięć Miasta Zawsze Wiernego. Natomiast całość zamyka kilkanaście nowych piosenek lwowskich ujętych w formę śpiewnika.

Książka ma formę wywiadu-rzeki. Chyba w ten sposób lwowskie gawędy Kazimierza Wesołowskiego stają się bliższe radiowym spotkaniom. Ponadto chyba sprawia to, że książkę można czytać nie tylko „od deski do deski”, ale także na wrywki, przez co staje się ona specyficznym vademecum.

Być może niektórzy z czytelników będą rozczarowani wybiórczym potraktowaniem niektórych zagadnień. Nie jest to jednak praca naukowa, ale działanie, aby Lwów ocalić od zapomnienia. Ponadto audycje wciąż trwają i ciągle pojawia się nowy materiał. Być może kiedyś doczekamy się następnych wydań.

Piotr Pawlina: *Ta joj, ta Lwów. Lwowskie opowieści Kazimierza Wesołowskiego. Tarnów 1999.*

Książkę można nabyć pod adresem: Adam Lewicki, ul. Norwida 13 33-101 Tarnów, tel. (014) 33-01-14, cena 1 egz. 10 zł plus koszty wysyłki. □

Zbigniew Domosławski

*„Niech to ocaleje, niech to się uchowa,
ta mała cząsteczka prawdziwego Lwowa!...”*

(z Mariana Hemara)

KRZYSZTOF BULZACKI „ZAWSZE WIERNI TOBIE POLSKO”. Jelenia Góra 1999. Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, stron 260.

Autor swą czwartą już książkę pisał przez około 15 lat, zbierając materiały i publikując w tym czasie fragmenty głównie w wydawanym w Jeleniej Górze czasopiśmie regionalnym „Rynek Jeleniogórski”.

Całość podzielona jest umownie na cztery rozdziały, a w ramach nich są przedstawione w barwny sposób:

– Rody Lwowskie (Alembeków, Boimów, Korniaaków, Kampianów, Barączów, Baczewskich)

– Lwowskie Sylwetki (15 barwnych biogramów, począwszy od Jana III Sobieskiego do błogosławionej Marceliny Darowskiej i generałów Władysława Sikorskiego, Stanisława Maczka i Romana Abrahama). Oczywiście wspomina tu ciepło też o Marianie Hemarze (właśc. Heszzeles). Wspomniane osoby są znane, natomiast wiersze Hemara były w PRL zakazane, a nawet jego nazwisko podlegało cenzurze. Jak podnosi autor „... On Żyd, uczył nas cośmy winni swemu miastu i jak Polak winien kochać Ojczyznę, on uczył nas patriotyzmu...”

– Lwowskie Sylwetki Jeleniogórczan czyli Jeleniogórskie Sylwetki Lwowian – obejmuje 19 szczególnie barwnie przedstawionych biogramów, ludzi przeważnie już nieżyją-

cych, z lwowskim bądź kresowym rodowodem, ale związanych ze Lwowem, których powojenne losy związane były z regionem jeleniogórskim.

Spośród przedstawionych jest 7 wojskowych (Tadeusz Czapkiewicz, Roman Józków, Zygmunt Kniżatko, Stanisław Ratajski, Franciszek Szubert, Kazimierz Seroiszka, Bolesław Tomaszewski), 2 kapłanów (ks. prałat Michał Banach, ks. prałat Dominik Kostial), 2 lekarzy (dr Tadeusz Rolski, prof. dr Lesław Węgrzynowicz), 4 pedagogów (Janina Bulzacka, Juliusz Jaszczuk, Kazimierz Lelo, Zuzanna Łozińska), 1 artysta (Tadeusz Świątkowski), 2 inżynierów (Adam Pauli, Zbigniew Kus-Bobrowski). Wszyscy, to barwne sylwetki, o bogatych życiorysach, którymi można by wypełnić niejedno „curriculum vitae”.

Spośród przedstawionych postaci z większością zetknąłem się osobiście. Z drem Tadeuszem Rolskim współpracowałem długie lata w Szpitalu Jeleniogórskim, z profesorem Lesławem Węgrzynowskim zetknąłem się jako student Wydziału Lekarskiego we Wrocławiu. Studenci po prostu nie wiedzieli o tym, że ów starszy elegancki Pan, o wysokiej kulturze osobistej i rzetelnej wiedzy fachowej z zakresu chorób płuc – to też żywa legenda Obrony Lwowa.

Autor starał się wiernie wykorzystać zebrane materiały, a także to co uzyskał z osobistych kontaktów, zasługuje na

szczególne podkreślenie. Stąd rozdział Lwowskie Sylwetki Jeleniogórczy czyli Jeleniogórskie Sylwetki Lwowian ma szczególną wartość, gdyż dokumentuje często nieznane szczegóły z życia niewątpliwie najwybitniejszych mieszkańców regionu jeleniogórskiego. Jest to też cenny wkład do dziejów całego Dolnego Śląska, w którym ten region odgrywał i nadal pełni ważną rolę.

– Rozdział IV bez tytułu zawiera 4 eseje autora („80 rocznica Obrony Lwowa”, „W poszukiwaniu źródeł historii”, „Polskie Skrzydła nad Lwowem”, „Mit Kresów Wschodnich”, obok danych faktograficznych, które nie pozabawione są emocjonalnego stosunku piszącego do poruszanych problemów). Oryginalną i przekonującą jest polemika z Danielem Beauvois, autorze opracowania „Mit Kresów Wschodnich”, będącym nieobiektywną krytyką nie tylko „mitu”, ale też całego dorobku polskiego na Kresach. Wiadomo, iż ten tylko nie ma potknięć, kto nie chwytą za pióro, stąd i tu przydałaby się w kolejnym wydaniu bardziej staranna adiustacja tekstu. Szkoda, że spis treści nie zawiera wyszczególnienia tytułów rozdziałów, ale nie można nie podnieść wielkiej iście benedyktyńskiej pracy autora, jego talentu pisarskiego i zaangażowania w utrwalenie tego, co może zaginać, gdy odejdą świadkowie wydarzeń. □

Andrzej Kaminski

„Koropiec nad Dniestrem”

14 maja 1999 r. odbyła się promocja książki Michała Sobkowa pt. „Koropiec nad Dniestrem”, w Domu Lekarza we Wrocławiu zorganizowana przez Stowarzyszenie Lekarzy Dolnośląskich i Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. Książka Michała Sobkowa jest wyjątkowa. Stanowi barwny, ciekawy opis życia i obyczajów mieszkańców polskiej podolskiej wsi Koropiec – rodzinnej miejscowości autora.

Losy żyjących obok siebie Polaków, Rusinów i Żydów na tle istotnych wydarzeń historycznych. Napisana literacko dojrzałym i jednocześnie przystępnym językiem. Sobkow przenosi nas w niedawno umarły czas, ale wciąż żywy. Dzięki wyborczej pamięci autora zobaczymy Kresy tętniące życiem, ludzkimi tragediami. Obok siebie ukazuje żyjących – na przemian zgodnie i niezgodnie – Polaków, Ukraińców i Żydów.

Gościwie polecam książkę wszystkim – nie tylko tym mającym korzenie na dawnych Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej.



Od lewej: J. B. Kos – Prezes wrocławskiego oddziału stow. Pisarzy Polskich, Michał Sobkow – lekarz, autor książki „Koropiec nad Dniestrem”, Andrzej Kaminski – Prezes ZG TMLiKPW. 15.5.99 Wrocław

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Jerzy Petryński

Wspomnienie o śp. profesorze Alfredzie Jahnie (22.IV.1915-1.IV.1999)



Przyszedł na świat w rzemieślniczej rodzinie na lwowskim Kleparowie jako jeden z czworga rodzeństwa. Dzieciństwo i lata szkolne upłynęły mu nie w zbytku, ale już wtedy zaczęły w nim kiełkować pewne aspiracje, choć nie mógł nawet przypuszczać do jakich pozycji i godności go one zawiodą.

Po maturze zapisał się na wydział nauk przyrodniczych Uniwersytetu Jana Kazimierza, gdzie został słuchaczem wykładów takich sław naukowych jak Eugeniusz Romer, Henryk Arctowski czy August Zierhoffer. Okazał się studentem tak obiecującym, że już na drugim roku studiów prof. Julian Tokarski zaproponował mu pracę naukową. Aspiracje zaczęły się ziszczać. Jako młodszy asystent wziął udział w pierwszej polskiej wyprawie arktycznej na Grenlandię w 1938 roku. Wyprawa ta ukierunkowała jego zainteresowania naukowe na geomorfologię glacialną i peryglacialną, której to dziedzinie poświęcił całe swoje naukowe życie.

Drugą wojnę światową przetrwał pracując jako asystent w lwowskim instytucie prof. R. Weigla.

Po wojnie, wraz z innymi naukowcami lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza, znalazł się we Wrocławiu, gdzie wkrótce habilitował się i został profesorem. Tu rozwinął

polarny kierunek badań geofizycznych organizując szereg polskich wypraw naukowych na Spitsbergen, gdzie jedna z gór w pobliżu Stacji Uniwersytetu Wrocławskiego została nazwana jego nazwiskiem – JAHN-FJELLET.

W roku 1962 został rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego, którym kierował do roku 1968. W tym burzliwym roku buntu i strajków studenckich, okazał się człowiekiem niezłomnym, stając zdecydowanie po stronie młodzieży w konflikcie z ówczesną władzą.

Oprócz wybitnych prac naukowych profesor Jahn zostawił po sobie wspaniały efekt pracy społecznej jako przewodniczący Komitetu Budowy Panoramy Raclawickiej. To głównie dzięki jego wysiłkom i walce z ówczesnymi kierownikami resortu kultury możemy dziś oglądać to bezcenne dzieło światowej sztuki malarskiej rodem ze Lwowa.

Profesor spisał swoje wspomnienia w książce zatytułowanej „Z Kleparowa w szeroki świat”, którą zadedykował następująco: „Pamięci chłopców z Kleparowa, pomordowanych w więzieniach Brygidek i Zamarstynowa, zamęczonych w łagrach syberyjskich i obozach hitlerowskich. Byłem jednym z nich, tylko miałem więcej szczęścia.”

Pracowite i owocne życie Profesora dobiegło końca pierwszego kwietnia roku bieżącego. Na cmentarzu Św. Wawrzyńca we Wrocławiu pożegnaliśmy go z żalem na jego ostatnią, najdłuższą podróż. Ale na tej ziemi pozostawił po sobie ślady tak znaczące i trwałe, że zapomnieć o nim nie można.

Hanna Dobias-Telesińska

Bolesław Sikorski



Bolesław Sikorski urodził się 1 marca 1923 r. we Lwowie. Pochodził z bardzo patriotycznej rodziny, był synem Franciszka – majora Wojska Polskiego, w stanie spoczynku – i Józefy z domu Glatte. Ojciec i stryjowie bronili Lwowa w 1918 r. i również w 1939 r. Sikorscy stanęli do walki z najeźdźcą. Jeden ze stryjów podzielił los polskich oficerów w Starobielsku (płk. Walerian Sikorski). Szkołę gimnazjalną Bolesław ukończył we Lwowie. Kiedy w 1938 r. rodzice przenieśli się do Poznania, Bolesław pozostał sam w swoim ukochanym Lwowie, by chodzić nadal do swej szkoły i ukończyć ostatnią klasę gimnazjalną. W chwili wybuchu II wojny światowej był w Poznaniu. Cała rodzina Sikorskich została zabrana do obozu na Główniej, skąd wywieziono ich do Ostrowca Świętokrzyskiego. Zamieszkali w

Sobowie, a od 1942 r. w Ożarowie w powiecie opatowskim.

Przynależność do harcerstwa Rzeczypospolitej Polskiej oraz będąc junakiem Przysposobienia Wojskowego i członkiem Sodalicii Mariańskiej, sprawiły, że nie mógł pozostać obojętny na to co się wokół działo. Wstąpił w szeregi Armii Krajowej we wrześniu 1941 r. i działał do stycznia 1945 r. Jako łącznik w obwodzie opatowskim przewoził meldunki i „bibułę”. Brał udział w koncentracji i szkoleniu oddziałów z placówek w lasach Wojnowskich i Szymanówki. Uczestniczył w akcji na posterunek Wehrmachtu w Cieszczy Górnjej k. Tarłowa, dowodzonej przez „Dąbrowskiego” – Jana Siwca, w czasie której uwolniono Polaków zagonionych do budowy umocnień. Ubezpieczał rzuty broni i amunicji w Szymanówce i pod Tadeuszowem. Był świadkiem zlikwidowania przez oddział Tarzana sztabu generała Wehrmachtu w okolicy Ożarowa. Był także przesłuchiwany przez Gestapo w Sandomierzu. Brał udział jeszcze w wielu akcjach i cudem uniknął śmierci, gdy na skutek zdrady wymordowano wielu AK-owców.

W PRL nie ujawnił się. I też nie należał do żadnej partii. Gdy wichry wojny rzuciły go w obce dla Niego strony, odezwała się ogromna tęsknota za Lwowem, która trwała do końca życia.

Dalszą naukę kontynuował w Poznaniu. Dużą maturę otrzymał w 1946 r. Studia na Akademii Handlowej rozpoczął w 1946 r., ukończył w 1950 r. i uzyskał tytuł magistra nauk ekonomicznych. Podjął studia specjalistyczne i ukończył wyższy kurs księgowych rewidentów przy AH (1948-1949). Pracę zawodową podjął 10 stycznia 1951 r. w charakterze kierownika spraw planowania w Poznańskim Przemysłowym Zjednoczeniu Budowlanym. Przez szereg lat pracował jako ekonomista w różnych zakładach. W 1981 roku odszedł na emeryturę.

Pod wpływem domu rodzinnego i przynależności do harcerstwa, rozwijał zainteresowania turystyczne oraz pracował społecznie. Działal w Sekcji Turystyki Górskiej przy poznańskim HCP, tworzył Oddziałową Komisję Turystyki Górskiej. Posiadał uprawnienia Przewodnika miejskiego i terenowego. Brał udział w licznych wyprawach zagranicznych. Działal także w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym, Stowarzyszeniu Absolwentów Akademii Ekonomicznej oraz w Światowym Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Wiele siły poświęcał działalności w poznańskim oddziale Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, gdzie przez szereg lat pełnił funkcję wicepre-

zesa. Do Lwowa zawsze powracał, chociaż na krótko. Miał tam wielu przyjaciół. Utrzymywał kontakty, odwiedzał ich i pomagał. Rozumiał, że oprócz głodu chleba powszedniego istnieje głód Ojczyzny i On przybliżał im Ojczyznę. Miłość do Lwowa przejawiała się między innymi dużym zaangażowaniem w organizację pomocy humanitarnej. W organizację wycieczki-pielgrzymki z pomocą charytatywną wkładał wiele siły. Organizując wycieczkę opracowywał trasę tak, by wszyscy jej uczestnicy mogli odwiedzić swoje domy, ulice, a czasem tylko groby najbliższych.

Za swą działalność w podziemiu otrzymał: Krzyż Partyzancki, Krzyż Armii Krajowej, Odznakę Weterana Walk o Niepodległość. Był także wyróżniony wieloma odznaczeniami za pracę zawodową. Zarząd Główny TMLiKPW, na wniosek poznańskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, przyznał Bolesławowi Sikorskiemu Złotą Odznakę TMLiKPW. Medal X-lecia nie zdążyliśmy Mu wręczyć. Pośmiertnie odbierze go rodzina. Bolesław Sikorski zmarł 7 stycznia 1999 roku.

Od Redakcji: Bolesław Sikorski był bratankiem Waleriana Sikorskiego, którego sylwetkę przedstawiliśmy w nr. 2 (49) 1999 r.

Śp. Michał Siera (1924-1999)



Urodził się w 1924 r. w Uszkowicach k/Przemyślan. Szkołę podstawową i gimnazjum ukończył w Przemyślanach. W 1942 r. złapany na ulicy we Lwowie, został przez Niemców wywieziony „na roboty”. Wspomnienia są aktualnie drukowane w naszym piśmie. Po wkroczeniu

Rosjan do Lwowa w 1944 r. został wcielony do II Armii W. P. 30 maja 1945 r. został ranny i po wyjściu ze szpitala został zdemobilizowany. Po wojnie pracując i ucząc się ukończył SGPiS. Przez wiele lat pracował w centralach Handlu Zagranicznego – w Iraku i w Egipcie jako radca handlowy. Przed przejściem na emeryturę był dyrektorem naczelnym Budimexu. Do ostatnich chwil życia działał w Radzie Nadzorczej tego przedsiębiorstwa. Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari i Medalem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata” i in. Zmarł 24 kwietnia 1999 w Warszawie.

Cześć Jego pamięci.

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Zarząd Główny

Siedziba: 50-079 Wrocław ul. Ruska 32/33

Prezes Zarządu Andrzej Kaminski

Wiceprezysi: Emil Teśluk, Danuta Krupska

Sekretarz Danuta Śliwińska

Skarbnik Danuta Tabińska-Juhasz

Oddziały (O) i Kluby (K)

Adres, Przewodniczący Zarządu

1. (O) Bielsko-Biała ul. Zajazdowa 2 32-600 Oświęcim, Barbara Luks
2. (K) Bolesławiec ul. Bielska 3/25, Stanisława Belawender
3. (O) Brzeg Rynek-Ratusz, Zbigniew Grata
4. (O) Bydgoszcz ul. Konarskiego 1 p. 153, Danuta Śliwińska
5. (O) Bytom ul. Moniuszki 13, Danuta Skalska
6. (O) Częstochowa ul. Nowowiejskiego 3, Bronisław Radomski
7. (O) Elbląg ul. Moniuszki 2, Jerzy J. Szewczyński
8. (K) Gdańsk im. Króla Jana III ul. Długa 56 m. 1, Andrzej Machniewicz
9. (K) Gdańsk im. Lwowskich Dzieci ul. Dubois 26, Anna Kmiecik
10. (K) Gdynia im. „Orląt Lwowskich” ul. Świętojańska 118/10, Tadeusz Zieliński
11. (O) Gliwice pl. Inwalidów 20, Jan Darlewski
12. (O) Gliwice „Stryjanie” ul. Zwycięstwa 37
13. (O) Gniezno ul. Biskupińska 26 „a”, Janusz Sekulski
14. (O) Gorzów ul. Młyńska 4 „zazomet-Wutech”, Jerzy Dorota
15. (O) Gryfino al. Wojska Polskiego 4 m. 1, Antoni Rak
16. (O) Jarosław ul. Sobieskiego 2, Elżbieta Mielnicka
17. (O) Jasło (brak danych)
18. (O) Jelenia Góra ul. Bohaterów Getta 2, Kańczukowski Stanisław

19. (K) Kalisz ul. Polna 35-45 m. 82, Kazimierz Krukowski
20. (O) Katowice ul. Dworcowa 8 (Rej. Przewozów Kolej.), Lesław Hawling
21. (K) Kędzierzyn-Koźle ul. Bema 3a m. 3, Witold Listowski
22. (K) Kępno ul. Broniewskiego 5, Kazimierz Dradrach
23. (O) Kielce pl. Moniuszki 2B p. 217 (Kiel. Centr. Kul.), Jacek Dębicki
24. (K) Kluczbork ul. Kościuszki 19, Stanisław Rakowski
25. (K) Kluczbork „Pokucie” ul. Strzelecka 34, Mieczysław Budzianowski
26. (O) Kłodzko ul. Łukasiewicza 4 Muz. Ziemi Kłodzkiej, Marian Stopiński
27. (K) Kozuchów ul. Kolorowa 6 (K-Nr 1), Urszula Płachcińska-Walczak
28. (K) Kozuchów ul. Słowackiego 3/1 (K-Nr 2), Stanisław Rutkowski
29. (O) Koszalin Szczeglino 29 – Sianów, Tadeusz Zawadzki
30. (O) Kraków ul. Marszałka Piłsudskiego 27, Andrzej Chlipalski
31. (O) Legnica ul. Zielona 13, Wojciech Szydłowski
32. (O) Leszno ul. Sikorskiego 26/9, Janusz Ragankiewicz
33. (K) Lubaczów ul. Kościuszki 2 (Klub Int. Kat.), Zbigniew Urban
34. (K) Lubin „Boryczówka” ul. Wrzosowa 21 Tow. Mił. Ziemi Trembowelskiej, Stanisław Sierociński
35. (O) Lublin ul. Radziwiłłowska 11, Władysław Stażka
36. (O) Łódź ul. Urzędnicza 39/74, Bolesław Bolanowski
37. (K) Milicz ul. Wrocławska 6 (Klub Seniora), Mieczysław Hołowko
38. (K) Nowy Sącz ul. Rynek 9, Jerzy Masior
39. (O) Nysa ul. Moniuszki 5, Stanisław Maćków
40. (K) Oleśnica ul. Lwowska 24 m. 6, Leszek Mulka
41. (K) Olsztyn ul. Prosta 5-6, Zbigniew Wrześniowski
42. (O) Opole ul. Nysy Łużyckiej 17/9, Zdzisław Kuhl
43. (O) Opole – „Nadwórna” ul. Bat. „Parasol” 11/803, Adam Karcher
44. (K) Opole – Klub Stryjan ul. Ligonja 13/2, Zdzisław Holiński
45. (O) Płock ul. Sportowa 1/36, Andrzej Jerzy Walawski
46. (O) Poznań ul. św. Marcina 80/82 (Pałac Kultury), Tomasz Naganowski
47. (K) Prudnik ul. Mickiewicza 1 (Miejski Ośr. Kult.), Zdzisław Kogut
48. (O) Przemyśl ul. Biskupa Glazera 10, Stanisław Lepszy
49. (K) Przeworsk ul. M. Konopnickiej 17/64, Edward Dzikiewicz
50. (K) Rabka ul. Orkana 18c/31 (Inst. Matki i Dziecka), Adam Jung
51. (K) Radom brak danych
52. (O) Rzeszów ul. Jagiellońska 4 1 p., Bolesław Opalek
53. (K) Sanok ul. Traugutta 9 (Os. Dom Kult.), Maria Siekierzyńska
54. (O) Stalowa Wola ul. Żwirki i Wigury 6 Klub „Emka”, Bogusław Maziak
55. (O) Szczecin ul. Ogińskiego 15 (Dom Harcerza), Remigiusz Węgrzynowicz
56. (O) Szczecinek ul. Boh. Warszawy 21 I p., Jan Maszkowski
57. (K) Szprotawa ul. Kościuszki 24 B m. 9, Józef Winnicki
58. (O) Sulików pl. Wolności (Dom Kultury), Stanisława Szczerba
59. (O) Świdnica ul. Zamenhofska 11/7, Edward Rudnicki
60. (K) Świdnica ul. Rynek 47 (Świdn. Ośr. Kultury)
61. (K) Świdwin ul. Niedziałkowskiego 1/98, Mieczysław Kostur
62. (O) Tarnobrzeg pl. Tysiąclecia 1 (Klub „Promyk”), Tadeusz Pfeiffer
63. (O) Tarnów ul. Bernardyńska 24, Adam Lewicki
64. (O) Tychy ul. Wodna 25, Franciszek Ferenc
65. (K) Tymowa Koło „Rudczan” Dzieślaw 25 39-342 Tymowa, Michał Kupczyński
66. (O) Wałbrzych ul. Pietrasinskiego 1/7, Romana Stach
67. (O) Warszawa ul. Krakowskie Przedm. 64 (Dom Wspóln. Polskiej), ks. Janusz Popławski
68. (O) Wrocław ul. Kołłątaja 31, Krystyna Karbownik
69. (O) Wrocław „Buczacz” ul. Pretficza 51/5, Władysław Szklarz
70. (O) Wrocław „Czortków” ul. Ruska 32/33, Bolesław Adameczyk
71. (K) Wrocław „Leopolis” ul. Adm. J. Unruga 17/1, Janina Flis
72. (K) Wrocław „Nauczyciela” ul. Kołłątaja 31, Jan Słaby
73. (K) Wrocław „Orląt Lwowskich” ul. Olszewskiego 150/4, Marek Rogalski
74. (O) Wrocław O. Mił. Kołomyi „Pokucie” Ruska 32/33, Danuta Krupska
75. (O) Wrocław – Tow. Ziemi Stanisławowskiej ul. Abramowskiego 39, Marian Ziobrowski
76. (K) Wrocław „Strzecha Stryjska” ul. Kościuszki 104/4, Stanisław Tomanek
77. (O) Wrocław „Tłumaczenie” Ruska 32/33, Zygmunt Burczyński
78. (K) Wrocław „Złoczów” ul. Estońska 21, Marek Bosek
79. (O) Węgliniec ul. Wojska Polskiego 13/1, Alfred Janicki
80. (O) Zabrze ul. 3-go Maja nr 19 (Muzeum Górnicze), Andrzej Michniewski
81. (O) Zakopane ul. Zborowskiego 1/24, Lesław Polinkiewicz
82. (K) Zgorzelec ul. Kościuszki 62/3, Jerzy Ostrowski
83. (O) Zielona Góra al. Wojska Polskiego 54/9, Michał Ciesielski
84. (K) Żary ul. Obrońców 5/1, Tadeusz Czuba

Anegdoty lwowskie

Opracowała Danuta Śliwińska

1. Wielki pies Badeni

We Lwowie swego czasu mieszkał niejaki adwokat Majewski, którego jeden ze znanej, byleż rodziny hr. Badenich po prostu nie lubił. Obydwaj panowie spotkali się na przyjęciu towarzyskim i wówczas Badeni wznosił toast – „gdzie są wielkie psy, są i małe pieski, wiwat niech nam żyje adwokat Majewski”. Adwokat nie był dłużny i odpowiedział – „mały pies wielkiego łaskę sobie ceni, wiwat niech nam żyje wielki pies Badeni”.

2. „Mikado” – Badeni

W końcowych latach ubiegłego stulecia w teatrze Skarbowski we Lwowie występował znakomity aktor, śpiewak i reżyser Tadeusz Skalski (pochowany jest na cmentarzu Łyczakowskim). Występował m.in. w operetce „Mikado” i gdy zjawiał się na scenie Mikado – Skalski padał na kolana i bił czołem o podłogę, skandując „Mi – ka – do”. W czasie jednego z przedstawień miejsce w loży honorowej zajęł ówczesny namiestnik Kazimierz hr. Badeni (w latach 1895-1897 był premierem monarchii austro-węgierskiej). Gdy Tadeusz Skalski zauważył namiestnika – natychmiast padł na kolana wołając „Ba – de – ni”. Wywołało to ogromną radość wśród widzów, natomiast dyrekcja teatru ukarała aktora, nakazując wpłacić do kasy teatru 100 koron. Dla aktora była to duża kwota, zapłacił za niego namiestnik.

3. Ślepa Mińcia

Do wyjątkowych osobliwości Lwowa należała Ślepa Mińcia (pisano o niej i śpiewano piosenki). Można ją było spotkać siedzącą na stołeczku przed kawiarnią Wiedeńską, przy ul. Hetmańskiej 14, grającą na harmonii i sprzedającą lwowskie precle. Miała wyjątkowo dobre wyczucie czasu, pytającym odpowiadała bezbłędnie. W przypadku, kiedy ktoś do niej podszedł, zapytał o godzinę w taki sposób, żeby z niej zadrwić – odpowiadała obcesowo „twoja ostatnia batiaru”.

4. Imartykulacja

Na uczelniach lwowskich studiowali również studenci z małych miejscowości i ze wsi. Na Uniwersytecie Jana Kazimierza jakiś chłopak z takiej miejscowości miał stawić się u rektora. Gdy stanął przed obliczem rektora coś mu się pomylilo i zamiast „wasza magnificencjo” powiedział „wasza imartykulajo”. Po tym zdarzeniu na uczelniach lwowskich zaczęto tworzyć różne zabawne tytuły, m.in. „wasza korpu-lencja”, „wasza impertynencja”, „wasza ignorancja”.

5. Cesarz w ...

Autentyczna anegdota, pochodząca z 1913 r., opowiedziana w jednym z programów Lwowskiego Radia, drukowana w prasie, a także zamieszczona w książce Czesława Halskiego „Polskie Radio Lwów”. Sędzia miał ogłosić w gazecie wyrok skazujący lwowskiego batiara za to, że publicznie powiedział „mam cesarza w d...”, po dłuższym namyśle sędzia wydał takie uzasadnienie wyroku: „za roz-siewanie fałszywych wiadomości o miejscu pobytu Jego Cesar-sko-Królewskiej Mości”.

6. Czapka

Na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie ekonomię wykładał znany prof. dr Stanisław Grabski. Na wykłady do uczelni przyjeżdżał bryczką, na głowie nosił staroświecką czapkę z klapkami zapinanymi na guziki. Jeden ze studentów za namową innych zatelefonował do Profesora z zapytaniem, gdzie taką czapkę można kupić. Profesor odpowiedział „ta czapka to nie na taką głupią głowę, jak pańska”.

7. Cesarzowa – Maria-Teresa

W czasie zaboru austriackiego we Lwowie szeroko opowiadano różne kawały na temat panujących Habsburgów. Kiedyś w obecności Marii Teresy słynny jej kanclerz Wacław Kaunitz powiedział, że można mieć każdą kobietę, tylko zależy to od ceny. Oburzona cesarzowa powiedziała: „Ekscelencjo, przecież ja jestem kobietą” a kanclerz nie zbity z tropu odpowiedział: „A gdyby tak Fryderyk oddał Śląsk?”. Maria Teresa zamilkła. □

Drodzy Przyjaciele Lwowa,

Parafia rzymskokatolicka na Zboiskach we Lwowie została zarejestrowana w r. 1991. Drewniany kościółek, oddany w stanie grożącym zawaleniem, był jak dotąd jedyną świątynią zwróconą Polakom po wojnie. Niestety, zmuszeni byliśmy go rozebrać i rozpocząć budowę nowego kościoła.

Bardzo gorąco prosimy o wsparcie finansowe tego wielkiego dzieła jakim jest budowa pierwszej, od ponad 60 lat, nowej świątyni we Lwowie. Prosimy o przekazanie tej wiadomości wszystkim, którzy pragną wspomóc naszą pracę.

Bóg zapłać!

ks. Andrzej Jagielka CR z parafianami

Parafia pw. Matki Bożej N.P.

vul. Mazepy 46, 290059 Lwów

Ukraina

Ofiary prosimy przysyłać na konto:

Złotówkowe: Bank PEKAO S.A. O/LUBLIN 12401503-1753590-201112

Dewizowe: Bank PEKAO S.A. O/LUBLIN 12401503-1753590-17872

Informacja

Węgier Adam dyrektor polskich szkół nr 18 i nr 30 we Lwowie otrzymał pośmiertnie uprawnienia kombatanckie (22.09.1998) za organizację i kontynuację tajnego nauczania w latach 1941-1944.

Artykuły córki, Krystyny Węgier-Maksymowicz, umieszczone są w:

– „Gazecie Lwowskiej” nr 16 z r. 1992 pt. „Z cyklu Sylwetki Lwowian. Adam Węgier – dyrektor szkoły”.

– Biuletynie Informacyjnym Światowego Związku Żołnierzy AK nr 2/51 i 3/52 z r. 1995 pt. „Mój Ojciec – wspomnienia kresowe”.

Errata do Nr 2 (49) 1999

str. 9 – 6 wiersz od dołu lewa szpalta

Jest

Ma być

2 listopada 1941

2 listopada 1943

Dziękuję p. Jadwidze Podlewskiej z Gliwic za sprostowanie.

Contents

A. Kaminski – Foreword by Editor-in-chief.....	1
J. Masiór – Shocking with improper views	2
D. Nęspiak – Towards Europe or Asia?.....	3
Florence of the East awakens sentiments – a talk with professor Olgierd Czerner	4
H. Ostrowski – Festive reason of State	5
Z. Lubicz-Ojrzyński – An address to Kossovians	6
BORDERLAND PRIESTS	
W. Łukaszynski – Rev. Prelate Walenty Bał – Chaplain to the Rzeszów Section of the Lwów Lovers' Society	7
BORDERLAND CHARACTERS	
Z. Kratochwil – Marian Kratochwil, a painter (1906-1997) (II)	9
S. Błasiak, S. Babiarczyk – In memory of Bolesław Orliński, the eminent Polish airman (cont.)	12
B. Broś – A recollection of dr eng. Zbigniew Schneigert (1910-1998).....	16
RECOLLECTIONS	
S. Scheller – Lwów Defenders in time of peace (I)	18
M. Siera – My solitary escape from the German Reich (cont.)	21
F. Grodecka – Recollections of 1939 in Lwów	23
Announcement to the Scouts of Podwołoczyska and their sympathizers	25
CELEBRATIONS AT LWÓW LOVERS' SOCIETY DIVISIONS AND CLUBS	
J. Ragankiewicz – Celebrities at the Lwów Lovers' Society, Leszno	26
K. Karbownik – Vth Rally along the route of Lwów relics and Competition in knowledge about Lwów	26
The decade of Lwowers at Kłodzko	27
Celebrities at Nysa Kłodzka	28
A. Przewoźny – Charm of the Lwów song	29
CURRENT EVENTS	
W. Poliszczuk – Blindness or amorality? (I)	31
J. Dębicki – Celebrities at Kielce	33
YESTERDAY, TODAY, TOMORROW	
Z. Umański – Borderland diary	35
A. Michniewski – What's going on at Zabrze?.....	38
Xth anniversary of Lwów and South-East Borderland Lovers' Society in Przemyśl	39
J. Oparowska – Easter at Borderers	40
A. Janicki – My Mother's tales (cont.)	41
T. Kukiz – From the past of the Radziechów Dzstrict.....	43
BORDERLAND TOWNS	
E. Rudka – City on the river Stryj	45
Search for missing persons.....	47
AMONG BOOKS	47
OBITUARY COLUMN	49
List of Lwów and South-East Borderland Lovers' Society Divisions and Clubs	50
D. Śliwińska – Lwów anecdotes	52
An appeal of rev. A. Jagielka from Our Lady parish in Lwów	52
Announcement concerning the late Adam Węgier, the Head Master of Polish schools in Lwów during German occupation in 1941-1944	52
Errata to No 2 (49), 1999	52

Lista ofiarodawców w m-cu IV-V 1999 r.

- | | |
|--|---|
| 1. M. Berezowski, Kanada 100,- = USD 50,-
(pren. 99 r., SF 72,87) | 22. Janina Pilichowska, Brzeg 20.- |
| 2. Gabriel Wójcik, Toruń 28.- | 23. Kazimierz Woźniewski, Gliwice 50.- |
| 3. Stefania Kowalińska, Poznań 28.- | 24. Józef Bieńko, Stalowa Wola 55.- |
| 4. Józef Winnicki, Szprotawa 50.- | 25. Maria Matejuk, Opole, Cm. Orl. Lw. 20.- |
| 5. Anna Pawlak, TMLiKPW Toruń 100.- | 26. Andrzej Hanuszewski, Pyskowice, Cm. Orl. Lw. .. 70.- |
| 6. Kazimierz Hrynyk, Gdańsk Wrzeszcz 50.- | 27. Piekarnia-Cukiernia „Lwowska”
Leszek Płonka, Mierzyn, Cm. Orl. Lw. 1000.- |
| 7. Bolesław Hadziaki, Świdnica 18.- | 28. Władysław Mierzwiak, Przemyśl 10.- |
| 8. Zbigniew Kubas, Brzozów 50.- | 29. Jerzy Fic, Sosnowiec 100.- |
| 9. Adam Nikorowicz, Dębica, Cm. Orl. Lw. 20.- | 30. Janina, Roman Chrzastowscy, Katowice,
Cm. Orl. Lw. 40.- |
| 10. J. T., USA 758,72 = \$ 200.- | 31. Józef Wojciechowski, Legnica 21.- |
| 11. Henryk Tarnawski, Bytom, Cm. Orl. Lw. 25.- | 32. Maria Żurowska-Gangi, Toruń 10.- |
| 12. Władysław Bednarski, Szczawno Zdrój 50.- | 33. Stanisław Massoczy, Bielsko-Biała, Cm. Orl. Lw. 60.- |
| 13. Zbigniew Bończyk, Warszawa 100.- | 34. Urząd Miasta Przeworska, Przeworsk,
wolne datki z diet radnych 320,50 |
| 14. Filip Wojciechowski, Przemyśl, Cm. Orl. Lw. 20.- | 35. Chór „Symfonia” – Hamilton, Radio Polonia
Toronto, Cm. Orl. Lw. 13002,31 = CAD 4992.- |
| 15. Kamil Wojciechowski, Żurawica, Cm. Orl. Lw. 20.- | 36. Adam Pobóg-Spolski, Gliwice, Cm. Orl. Lw. 25.- |
| 16. Danuta Markiewicz, Trzebnica 20.- | 37. Helena Wiewiórska, Wrocław, Cm. Orl. Lw. 20.- |
| 17. Henryk Wołoszyn, Żywiec 20.- | 38. Jerzy Czyżycki, Wrocław
gablota na sztandar ZG TMLiKPW |
| 18. Helena Padwińska, Lubsko 20.- | |
| 19. Stanisław Łoś, Wilczyn Leśny 20.- | |
| 20. Janina Blum, Wrocław 40.- | |
| 21. TMLiKPW Oleśnica 200.- | |

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Od Wydawcy

Z dużą satysfakcją oddajemy dziś w ręce Szanownych Czytelników jubileuszowy 50 numer naszego dwumiesięcznika „Semper Fidelis”. Ukazuje się on nieprzerwanie od 1989 roku. Uprzejmiem zawiadamiamy, że Fundacja Kresowa „SF” dysponuje już rocznikami tego czasopisma (cena 10 zł).

Z nowości wydawniczych możemy polecić:

Mieczysław Waclawski - II tom „Liberka”,

Michał Sobkow - „Koropiec nad Dniestrem”,

Janina Augustyn-Puziewicz - II tom „Lwów - wspomnienia lat wojennych” (do przedpłat należy dopłacić 16 zł),

Henryk Hordt - „Piękno utraconej ziemi”,

Kornel Makuszyński - „Listy ze Lwowa”,

Bronisław Szeremeta - „ZWZ zwalczany przez NKWD we Lwowie 1939-1941”.

Z Białej Serii polecamy:

Stanisław Ciesielski - „Polacy w Kazachstanie”,

Zbigniew Rusiński - „Tryptyk Brzeżański”,

J. Dobulewicz-Rutkowska - „Pamiętnik nastolatki”,

Jerzy Masior - nowy tomik poezji „Widnokreśli do powtórzenia”,

Karol Kosek - „Moja droga do zawodu nauczycielskiego”, „ANTY-ludzie i NIE-Moralność Socjalistyczna”,

Drugie poszerzone wydanie katalogu o Cmentarzu Orłąt Lwowskich „wędrującej” wystawy pt. „Historia-Dewastacja-Stan obecny”,

„Dawny Lwów” - zestaw reprodukcji pocztówek.

Posiadamy także koszulki z herbem Lwowa (dla dzieci i dorosłych), znaczki (do przypinania) z herbem Lwowa i logo TMLiKPW, krawaty o barwach lwowskich, medal X-lecia TMLiKPW, plakietka-cegiełka Polskie Radio Lwów.

Mamy również duży wybór kaset magnetofonowych z nagraniami melodii lwowskich oraz kaset video pt. „Podróże na Kresy” red. Auguścika.

Dysponujemy kwartalnikami: „Cracovia Leopoldis”, „Karta”, „Zeszyty Tłumackie”, „Głos Buczacza”, „Rezonans”; półrocznikami: „Gdzie szum Prutu”, „Strzecha Stryjska”. Prowadzimy sprzedaż wysyłkową w/w pozycji doliczając porto pocztowe.

Szczególnie polecamy nasze wydawnictwa i pamiątki Oddziałom i Klubom TMLiKPW organizującym obchody jubileuszowe, festiwale, spotkania. Sprzedaż tych pamiątek uatrakcyjnia każdą uroczystość kresową (nie sprzedane pozycje przyjmujemy z powrotem).

Szanownych Prenumeratorów przepraszamy w imieniu redakcji „Gazety Lwowskiej” za jej opóźnienie. Powstało ono nie z winy dystrybutora, tj. Fundacji Kresowej „SF”.

Prosimy Prenumeratorów o uregulowanie należności (7 zł) za przesłany kalendarz „Lwowskie pomniki” na 1999 rok.

Wszelkie wpłaty prosimy kierować na konto bankowe Fundacji Kresowej SF.

PKO-BP IV O/Wrocław nr 10203253-10012-270-1-11.

Życzymy wszystkim Czytelnikom udanych wakacji z naszą lekturą!

Dyrektor
Fundacji Kresowej „SF”
Danuta Tabińska-Juhasz